Presented to the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

by

PETER KRAWCHUK

M. SYNORADZKI

ROGATA DUSZA

POWIEŚĆ
z podań szlacheckich

347

M. SYNORADZKI.

ROGATA DUSZA

Powieść
z podań szlacheckich.

DRUKIEM
DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO I ZGODY 1406-08 W. DIVISION STREET
CHICAGO, ILL. 1918.

LIBRARY
JULY
27
'89
OHIO STATE UNIVERSITY

Saskatoon, Sask.
Branch No. 9

I.

Dzwony wiejskiego kościołka grały smutno, żałobliwie, poruszane wyschłą ręką dziada. Raz wraz uderzało zimne, twarde, metalowe serce, o również twarde piersi dzwonu, dobywając z niego jakąś rzewną, posępną, a łzawą nutę. Szła ona w powietrzu— rozchodziła się wszerz i wzdłuż, a najwięcej szybowała w górę, aby stamtąd spaść na ziemię więcej jeszcze tęsknię, więcej ponuro i płaczliwie, aby upadłszy być porwaną przez echa chciwe, które podobnie jak plotkarze, rozrywały ją w mgnieniu oka i niosły na wszystkie świata strony, powtarzając lasom milczącym, niwom zbożem obficie porosłym, i rzeczułce nieopodal płynącej kościołka. Zdawało się, że chcą one zwabić wszystko i zgromadzić gwoli oglądania pogrzebowego konduktu, który powoli z kościołka wychodził — dążąc w kierunku pobliskiego cmentarza... Pogrzeb był nie suty, skromny, a nawet ubogi. Proboszcz z wikaryuszami szli na czele w żałobnych kapach, poprzedzani kościelnym, niosącym w obydwóch rękach długi krzyż drewniany, — obok toczył się krągły organista, z rozwartą, zatłuszczoną księgą, snać nie od dziś mu już służącą, z której nucił półgłosem jakąś pieśń, intonowaną przez księży, — za nim trumnę sosnową niosło sześciu szlachty, dalej postępowała gromadka niewielka — zaledwie dwie dziesiątki ludzi licząca.

Cmentarz — jak się rzekło — nieopodal kościołka leżał. Niewielki, zaniedbany... smutny... Gro-

dził go płot z żerdzi dębowych, a raczej szczątki płota, bo zaledwie z całości koły stały, deski zasię gdzieniegdzie się jeno trzymały, leżąc zresztą to z tej to z owej strony. Onego czasu była tu i brama, masiw z dębiny, rzeźbiona nawet; aliści czas... który źre wszystko, jak zgłodniała bestya pochwyconą zdobycz, tknął i ją... obalił... omszył... pozostawiając oto miejscu zgromadzenia umarłych wchód wolny zupełnie. Od bramy biegła ścieżka w głąb cmentarza, rozchodząc potem w rozmaitych kierunkach. Wszystkie ścieżyny zielska porosły dzikie — pokrzywy, osty, łopuchy, warzęchwiec... ze ścieżek porzucały się na skromne mogiłki, które z pod zieleni ledwie przezierały, dając znać o sobie to prostym krzyżykiem z sosniny, to gromadką kamieni, to blachą oderwaną od trumny. Drzew kilka wznosiło się gdzieniegdzie, najwięcej o płot zwalony przypierając... a wszystkie były krzywe... garbate... rosły nie wysoko... opuszczały gałęzie w dół, jakby zasmucone losem człeka na ziemi.

Smutno było na cmentarzysku... Każdego wchodzącego obejmowało zimno, snać z mogił buchające. Wyraz martwy cechował tę miejscowość jawnie — a nie zacierała go ani zieloność roślinności, ani świergot i cierkanie ptaków, które siadały na drzewach, niby piastuny, kołyszące swym śpiewem trupy. Wszystko tu czyniło wrażenie smętne — nawet zabłąkane. Bóg wie skąd kwiatuszki habru, nagietków i lilii polnych, podobne były do łez... tej niemej oznaki żalu.

Orszak pogrzebowy stanął wreszcie nad świeżo wykopanym grobem — który rozwarł żółte objęcia do nowo przybyłego mieszkańca cmentarza. Niosący trumnę postawili ją na ziemi... Ksiądz rozpoczął "requiem..." pokropił następnie trumnę, którą gra-

barz z swym pomocnikiem do grobu na postronkach spuścili. Wnet każdy z obecnych garść ziemi na ostatnie pożegnanie zmarłego rzucił... "salve regina" wreszcie oznajmiło koniec obrzędu. Za chwilę cmentarz opustoszał prawie — zostało na nim jeno dwóch ludzi. Jeden z nich liczył nie więcej nad dwadzieścia sześć lub ośm lat, rosły był, krępy, zdrowego oblicza, dziś nacechowanego smutkiem, a wskutek tego przybladłym nieco. Oko miał duże, jasne — spoglądał niem łagodnie; rysy twarzy świadczyły o stanowczości i wielkim zasobie woli — przebijała w nich prócz tego duma... Drugi, staruszek nagarbiony, średniego wzrostu i tuszy, łysy dobrze, pomimo jednak wieku, ruchliwy i umysłu bystrego, co można było poznać z oczu przenikliwie patrzących i z ust odcieniem uśmiechu naznaczonych.

Gdy się znaleźli sami — staruszek milcząc spoglądał na towarzysza, poruszał wargami chcąc coś przemówić, lecz się wstrzymywał widocznie. Wreszcie ozwał się pierwszy, trącając zamyślonego młodzieńca:

— Panie Stanisławie, pora by do domu wracać. Wieczór zachodzi, a do domu mila opętana.

Zagadnięty oczy załzawione na niego zwrócił.

— Et, porzuć waszmość stękanie i płacze.... Faramuszki mościdzieju! — znowu ozwał się stary, postrzegając, że towarzysz łzy ociera. — Wola Boża. Stało się. Choćbyś waszmość oczy wypłakał, z grobu ojca nie wywołasz...

— Żalowi oprzeć się trudno — szepnął nazwany Stanisławem. — Rodzic mój najmilejszy, co bez niego poczne?

I ręce załamał.

— Faramuszki mościdzieju — ofuknął stary sam tłumiąc wzruszenie. — Zwykłyć to porządek na

świecie. Starzy schodzą, pozostawiając miejsca młodym. Co zrobić? Mus! Chwali się waszmości afekt synowski, wszelako nie zapominaj, żeś nie dzieciuch ani baba, jeno stateczny mąż... Z losem zgodzić się, ta i kwita.

— O tem wiem — rzekł wzdychając młodzieniec — zawdyć serce nie kamień, ani drewno. Pan regent sam to przyzna. Jak je co ściśnie... człek odczuje...

— Temu nie przeczę. Drewno... Jużcić prawda, że nie drewno. Gdybyś krzyż pański obojętnie przyjął, każdy miałby ci za złe. Ja pierwszy, Ano, widzisz panie Stanisławie, tyś wszak nie jeden w tem położeniu. Rozpaczać ostatecznie grzech. Wola Boża, ta i kwita.

Sam jednak łzy otarł ukradkiem starowina, odwróciwszy się, by go młody nie widział.

— Wola Boża, — powtórzył cicho Stanisław.

— Ano... klęknij waść, pomódl się i do domu. Ot i słońce zachodzi — rzekł stary. — Wszystko ma czas i miarę, a co za wiele — to nie zdrowo. Znasz przysłowie.

Ukląkł pierwszy — młodzieniec machinalnie poszedł za jego przykładem.

Byłby do późnej może nocy pozostał młody klęczącym na grobie i zatopionym w niemem jakiemś, letargicznem niemal osłupieniu, które zwykle sprowadza bolesny cios na ludzi — gdyby nie staruszek. Ten ostatni wstawszy szarpnął za wylot towarzysza.

— Dość tego, panie Stanisławie.

Nie przecząc dał się prowadzić młody.

Przed cmentarzem czekał na nich wózek parokonny, do którego wsiedli obydwaj i ruszyli wnet.

Konie wystałe ciągnęły ochoczo, rwały do domu

niecierpliwie, gdzie przy pełnym żłobie obiecywały sobie wynagrodzić kilkogodzinny postój. Parskały głośno, raz po raz kiwając łbami, przez co wstrząsały długie grzywy i dzwoniły uprzężą na sposób krakowski brzękadłami przepełnioną.

Droga szła wązkim, piaszczystym gościńcem, na którym co krok spotkać można było kamienie lub wyboje. Ówdzie mostek sklecony z nawpół spróchniałych bali w poprzek się kładł, zmuszając konie do zwolnienia biegu — to szeroka kałuża, lśniła brudną powierzchnią... Na polach otaczających drogę było pusto... rozlegał się zewsząd ów szmer harmonijny, zwiastujący koniec dnia. W istocie bo słońce powoli zanurzało się w przepaście białych obłoczków, barwiąc je na podobę rubinów i korali... Olbrzymi złoty krąg czerwieniał coraz to więcej, przeszedł w purpurę, w pąs się zamienił, aż przybrał barwę zastygającej krwi. Wraz z tem zmieniały sukienki i obłoczki — tło niebieskie z lazurowego przybierało barwę więcej ciemną przechodziło w szare, brudne... Gdzieniegdzie przerzynały je pręgi purpurowe lub złociste... odblaski znikającego słońca: natura podtenczas szeptała pacierz i do spoczynku się gotowała. Zdawało się, że wszelkie twory żegnają się wzajem, życząc snu dobrego. Więc brzozy, dęby i olchy mruczały kiwając gałęźmi, szeleściały trawy i kwiaty, trzęsąc różnobarwnemi główkami... brzęczały muszki a żuczki złocistoskrzydłe, wracając do gniazdek z obfitą zdobyczą... W powietrzu płynęły stada kaczek, żórawi... czasami bocian pruł białą piersią atmosferę, lub rybitwa kołowała nad wodami, chciwa pożywy z rybek, które przeczuwając noc bliską, śmielej na powierzchnię wypływały... Z błot i trzęsawisk jęły skrzeczeć żaby — pojedynczo najprzód, łącząc się następnie w chór tak powszech-

nie znany. Mógłby kto myśleć, że w grzęzkich kałużach ukryta cała doborowa kapela, tak owe rechotanie zlane w jednolitą całość, rozlegało się bez dysonansu, owszem — z pewną harmonijną dźwięcznością... Błotnym tym grajkom dopomagały chrząszcze nocne — bąkając niby basy obok skrzypiec.

Podróżni nasi jechali w milczeniu. Młody głowę o ręce wsparł i brwi zmarszczył, patrzał przed siebie, nie widząc pono nic. Staruszek co chwila na niego spoglądał, głową trząsł — od czasu do czasu naszeptując coś. Po godzinnej jeździe, stanęli przed skromnym dworkiem — nie różniącym się wcale od wszystkich innych dworków szlacheckich.

Dworek ów stał na gruncie siedmiowłókowego folwarczku, zwanego Pełki, będącego własnością J. W. P. kasztelana Szreńskiego. Trzymał go tytułem zastawu Trzciński Piotr, potomek ongi dostatniej rodziny, któregośmy pogrzeb na wstępie opisali. Folwark był pięknie zagospodarowany — znać było wszędzie pracowitą rękę i gospodarskie oko dzierżawcy. Budowle po większej części stare lecz utrzymane w porządku; między niemi spichlerzyk jeno, owczarnia i stodółka jedna świeciły nowemi ścianami.

— Nareszcie i dom — rzekł stary schodząc z wózka. — A no, prowadź panie Stanisławie, boś ty teraz sam tu gospodarzem.

— Panie mecenasie miły... bez ceremonii. Wybaczcie, jeżeli obowiązkom swoim chybię; ale Bóg świadkiem, żem bez głowy. Radźcież sobie sami wedle myśli.

Mecenas mruknął coś i do dworku wszedł — za nim Stanisław.

Skromnie wyglądał dworek wewnątrz, więcej nawet jak skromnie. Mieściły się w nim trzy komna-

ty, kuchnia i wyżki z okienkiem dla dziewek służebnych. Sprzęt wszędzie prosty, drewniany, ściany wapnem bielone, — znać było, że mieszkańcy dostatków nie mieli.

Przybyli, posiliwszy się cokolwiek, siedli naprzeciw, obydwaj zamyśleni.

— Biedne ojczysko! — ozwał się Stanisław. — Nie spodział się, że tak rychło zamrze i jedynego syna zostawi sierotą.

— A któż z nas pewien dnia albo godziny? Spodobało się Bogu, ta i kwita! — rzekł mecenas fajeczkę nakładając — człek nie wieczny.

— W sile wieku przecież — żalił się Trzciński. Tak nagle...

— Faramuszki mościdzieju! — mruknął stary. W sile! W sile! Co nam roztrząsać wyroki Boże? Apelować do nieba nie będziesz, bobyś nic nie wygrał, lepiej oto, panie Stanisławie, rozpowiedz mi, co myślisz z sobą poczynać. To ważniejsze.

Zapytany ramiona do góry podniósł.

— Sam nie wiem — odparł.

— Jakże to może być? Toć waszmość wiek po temu masz, abyś sobie radził. Wiem, żeś statek i uczciwość po ojcu wziął, tedy nadzieję, że w świecie nie zginiesz.

— Zginąć nie zginę... ale — począł Trzciński i urwał.

— Faramuszki mościdzieju! Oto mi zdanie... Wątpisz o sobie?

— Pan mecenas sam przyzna, że znajdując się w mojem położeniu można nawet i zwątpić.

Skrzywił się stary.

— Gadasz wasze, z pozwoleniem, ni w pięć ni w dziewięć. Że ci nieboszczyk fortuny nie zostawił, to prawda, wszelako dzierżawa siaki taki chleb ci da.

Nie rozkoszny, nie magnacki — ale uczciwy. Zresztą młody jesteś, więc pracować możesz, a przy pracy z ziarna wyrastają kłosy...

— Tak ci jest — przyświadczył Trzciński.

— A widzisz. Po co się tedy kłopotać i głowę bezpotrzebnie strachami zaprzątać? Faramuszki mościdzieju! Strachy choć przyjdą na Lachy, nic im nie zrobią...

— Tchórzem nie jestem...

— A widzisz waszmość! Ba! Wieleż to w gorszem są położeniu od ciebie, bo nie mają i połowy tego, co ty masz.

— Miły panie mecenasie, pono mniej odemnie nikt mieć nie może.

Stary mu przerwał fuknięciem.

— Ot! Gadasz waść. Złocistych kolebek i cugów nie potrzebujesz ani też marcypanów żadnych, a na ubogi i uczciwy chleb ci wystarczy. Wstydziłbyś się, panie Stanisławie, coś podobnego prawić... Istne faramuszki!

— Nie faramuszki panie mecenasie, jedno szczera prawda. Gdy wam rozpowiem dokładnie całe położenie, przyznacie sami.

— Ano, posłuchać mogę twej obrony, zasie z góry ci przepowiadam, że sprawy nie wygrasz.

— Obaczymy to — rzekł Trzciński ze smutnym uśmiechem.

Poczem w ten sens rozpoczął.

— Jak wiadomo panu mecenasowi, nieboszczyk ojciec mój po śmierci matki był zmuszony sprzedać Sośnicę z przyczyny onego łotra Obojczyckiego, który wplątał nas w nieprawny proces, wyniszczył i sam później rodzinne nasze gniazdo w nieuczciwe ręce pochwycił.

— To wasza wina — zauważył mecenas.

— Skądże, panie mecenasie? Wszak broniliśmy się do ostatka... a chociaż jasnem było jak na dłoni, że Obojczycki racyi żadnej nie miał i na Sośnicę z dawien dawna dybał, bo mu się klinem w jego pola wrzynała — przecież... krętemi drogami idąc, potrafił na swojem postawić i Sośnicę ma!

— Trzeba było mojej rady słuchać, byłoby do tego nie przyszło — przerwał mecenas — ale nieboszczyk podstoli, ojciec waści, gorączka był i rogatej duszy człek... uparł się, i... ot biedę sam sprowadził....

— Sam? — pytając, rzucił Stanisław.

— A sam mościdzieju! Świeć tam Panie duszy jego, ale co prawda, to prawda. Mówiłem mu, radziłem, przestrzegałem, żeby pilniej około sprawy swej chodził, zasie on jedno mi odpowiadał — "łap sędziom lizać nie będę, ani przed nimi karku giąć... czysty jestem, proces wygram".

— I dobrze mówił.

— Gadasz waść! Że racya była — temu nie przeczę, ale waść wiesz, jak się na świecie dzieje. Czapką, papką i solą... oto nervus rerum! Obojczycki lis, wytrawna sztuka, tego się trzymał i choć bez słuszności, wygrał.

Odsapnął mecenas.

— Aus — dodał po chwili — stało się. Gadaniem tego nie odrobimy. Praw jeno waść dalej.

— Znajoma to prawie historya dla pana mecenasa. Ojciec procesem wyniszczony, zaledwie 1,200 czerwonych złotych miał. Trafiły się Pełki zastawne... one tedy wziął i do samej śmierci na nich siedział. **Folwarczek mały**, ziemia nieosobliwa, ano, można było żyć z niej, gdyby nie nowe nieszczęście. Przez ostatnie lat cztery dojmowały nas wciąż: grad, desz-

cze podczas zbiorów, ogień... Musiał nieboszczyk aż z cudzej kieszeni pomocy prosić...

— Hm! — mruknął mecenas. — Więc są i długi?

— Są i niemałe — odparł Stanisław. — Na dobitek JW. kasztelan z folwarku na św. Jan wynosić się kazał, bo sprzedał go komuś z dobrą lichwą.

— Jakże bo... tego roku ustępować masz z Pełek? — żywo zagabnął mecenas.

— Nieodmiennie. Folwark sprzedany... św. Jan niespełna za tydzień... W głowie mi się kręci, nie wiem co poczynać.

— A sumka zastawna mościdzieju?

— Niewiele mi z niej pozostanie. Dwa lub trzysta dukatów najwięcej.

Patrzaj jeno mościdzieju, to tak historya? — zawołał.

— Taka, miły panie mecenasie. Nie dziwota, żem ręce opuścił i w błąd popadam.

— Istotnie mościdzieju... casus fatalis! — bąknął mecenas, palcami o palce stukając. — Nie do pozazdroszczenia! Ano... wszelako możeby kasztelan ex re nieszczęścia, którem cię Bóg dotknął, zastaw jeszcze przytrzymał.

Potrząsł głową Trzciński.

— Niepodobna. Pełki finalnie sprzedane i nowy właściciel sprowadza się do nich wnet po świętym Janie... Zresztą prosić się kasztelana nie będę.

Wymówił to z dumą i stanowczo.

— Kubek w kubek nieboszczyk podstoli — szepnął mecenas. — Twardy kark! Rogata dusza...

W głos zaś dodał:

— Ano, masz przecie stryjów... Oni ci poradzą, poratują.

— Stryjów mam, nawet jak opowiadał nieboszczyk, zasobni są, lecz prosić ich o wsparcie nie będę.

— Faramuszki mościdzieju! Prośba prośbie nie równo... Toć rodzeni bracia ojcowi?

— Jam panie mecenasie natury takiej, że giąć się przed nikim nie potrafię. Prośba czy do krewnego czy nie — zawdy żebractwo.

— Wolisz tedy z głodu umrzeć?

— Chociażby — odparł Trzciński.

— Faramuszki mościdzieju — porwał się mecenas. — Młodyś waść, w głowie myśli się kręcą jako one wróble przed bramą, a krew tłucze po żyłach zbyt szparko.

— Jak bądź tak bądź... wszelako mnie pan mecenas nie przekona — powtarzał Trzciński nieugięty. — Może i źle robię przez to, ale jeżeli tak jest, to nikomu nie szkodzę jeno sobie.

— Biedy nie znasz jeszcze. Jak się do kogo przypnie — niełatwo ją odszpilić. A źre, a dowiera, a szarpie... nie daj ci Boże z nią się pobratać.

Westchnął.

— Nadzieja w Bogu! — szepnął Trzciński z jakąś ufnością w przyszłość.

Mecenas nic nie odparł, przystąpił do niego i uściskał serdecznie. Na tem stanęła rozmowa.

II.

Wypada nam zapoznać czytelników z osobistościami, które wprowadziliśmy do wstępu opowieści naszej.

Pan Stanisław Trzciński był potomkiem zacnego rodu, zdawna na Mazowszu zamieszkałego w Mławskiem. Pieczętowali się Trzcińscy Pobogiem

(to się wspomina dlatego, że istniały dwie jeszcze familie Trzcińskich, jedni za klejnot mający Ślepowrona, zamieszkali w Łukowskiem, drudzy Rawicza, osiadli na Rusi, około Sokala). Pobogowie-Trzcińscy jak wiadomo, od Jastrzębca się wywodzili. W rodzie ich historya nam wskazuje wielu zasłużonych i sławnych mężów — jako to: Stefana Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Stefana również biskupa Płockiego, o którym Długosz pisze, że był: Vir modestus vitae castae et pudititiae amalor... Niemniej z ich rodu był on Bolesta, który wedle słów Kromera: erat autem castellanus Visnesis et illam oram Prussis finitimem pro Bolesław Crispo administrabat, a który, chociaż w zapalczywości wielkiej biskupa Wernera zabił, przecież mężem serca był i odwagi niepospolitej. Prócz tych byli wojewodowie, kasztelani i inszych wiele wsławionych zasługami dla kraju mężów. Biegiem czasu atoli ród ten podupadł, nie na zacności,, lecz na dostatku. Dziad pana Stanisława zostawił synów trzech, którym trzy folwarki oddał. Najmłodszemu dostała się Sośnica, posiadłość piękna, — na nieszczęście człek złej woli w drogę mu szedł i niesumiennie majątku go pozbawił. Mógłby się ostać przy nim podstoli, lecz człek to był "rogatej duszy" — jak słusznie powiadał znajomy nam trochę mecenas Sabinka. Ani giąć, ani kłaniać, ani czapkować nie umiał, szedł zawdy drogą pustą w tem przekokonaniu, że prawda nieomylnie bierze górę nad łajdactwem. Adwersarz zaś podstolego, niejaki Obojczycki, przybłęda Bóg wie zkąd, który dawno parol na Sośninę założył, bo mu się wrzynała klinem w jego posiadłości — owóż człek ten inszego był całkiem pokroju. Wynalazł jakieś impulsum do Sośnicy, wytoczył podstolemu proces, a krzątając się żwawo

i pieniędzy nie szczędząc, w trybunale sprawę wygrał. Pan podstoli splunął na podłość ludzką, ręką machnął... zmuszony był atoli sprzedać Sośnicę, wyniszczywszy się na proces.

— Bóg da, że nie zginę, a taki oliwa na wierzch się dobędzie, mosanie — zakonkludował.

Nie mogąc, za pozostałą po sprzedaży Sośnicy, sumkę, własności nabyć, w zastaw wziął Pełki od J. W. kasztelana Szreńskiego i tam osiadł. Aliści... nie wiodło mu się. Rok w rok klęska go nawiedzała, że się aż biedak zadłużył. Dobił go wreszcie pożar, który ogromny straty zrządził — tak, że wkrótce od umartwienia zamarł.

Zostawił pan podstoli syna jedynaka, znanego nam już ze wstępu. Młodzian przejął naturę po ojcu. Wzrósł pod jego okiem na zagonie rodzinnym, nigdzie z niego nie wyruszając. Na oddanie do konwiktu syna podstolemu nie starczyło zasobu, nauczył go tedy — co sam umiał. Więc Stasiek (tak go nieboszczyk rodzic nazywał zdrobniale) Pana Boga chwalił szczerze, braci bliźnich miłował po bratersku, mówił zawdy prawdę bez obwijania w bawełnę i cenił godność własną. Nie nauczył go pan podstoli dworowania, lizusostwa i czapkowań, bo się sam tem brzydził.

— Pamiętaj Staszku mosanie — powtarzał — że ten jeno człowiekiem zwać się może, kto przykazań Pana Boga słucha i na swojem przestaje. Lepszy suchy kawał chleba, choć twardy i czarny, aniżeli marcypany darowane. Twego — i dyabeł ci nie weźmie, a darowizna często gęsto bokiem wyłazi.

Żegnając się z synem, przed śmiercią jeszcze go o to upominał, dodając:

— I to sobie w pamięci zapisz, abyś się nad stan

nie piął. Szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie, powiadają. Nie zapominaj o tem, lecz się do jasnych progów nie wiąż. Wszystko na świecie powinno iść wedle osobliwej segregacyi. Jaśni niech się bratają z jasnymi — chudy pachołek z równymi sobie. Fortuny ci nie zostawiam, jeno uczciwe imię, nieskalane żadnym brudem. Klamki pańskiej się nie rwij, bo możesz sromotnie się splugawić. Kto wie jaka ręka się jej dotyka. A wiedzieć masz — żeś choć biedny, ale rodu zacnego...

Staszek przyrzekł święcie wedle rad ojcowskich postępować.

Łacno przedwidzieć, że będąc takim, pan podstoli zjednać sobie miru u panów braci nie potrafił. Przyznawali mu cnoty i hart duszy w przekonaniu, nie garnęli się atoli do niego. To też gdy umarł garść zaledwie sąsiadów na miejsce wiecznego spoczynku go odprowadziła i jeden tylko się znalazł, który Staszkowi w nieszczęściu z radą i pomocą pospieszył. Tym był Wincenty Sabinka, mecenas Płocki, z którym nieboszczyk był w zażyłych stosunkach.

Mecenas Sabinka wywodził się z Glaubiczów i tym się klejnotem pieczętował. I on również miał w rodzie zacnych antenatów, między inszymi zaś Teodora, o którym powiadają herbarze — że cum non contemnenda manu Polonorum renit in fines Moraviae, anno 1361, 17 Martii vel 18 Septembris, ut alii dicunt sed pulsus et fugatus a Venceslas — prócz tego sławnym był za króla JM. Stefana Stanisław Sabinka, medeicinae phisicae doctor, advocatus et phisicus vilnensis — lecz tak samo jak podstolic fortuny nie posiadał, chociaż winien był ją mieć, gdyż posiadał swego czasu ogromną moc klejnotów. Praktyką jurystyczną od lat kilku nie trudził się — mie-

szkał w Płocku unikając ludzi, w maleńkiej izbinie na poddaszu, nie trzymając nawet chłopca do usługi. Dziwowali się wielce ludzie, jakim sposobem pan mecenas mógł być bez grosza (sam to powiadał) — żył bowiem zawsze skromnie i zdało się namiętności żadnej, któraby się przyczyniła do marnotrawienia funduszu, nie posiadał. Różne też o nim prawiono gadki, które atoli podstawy nie miały. Skąpym pan Sabinka nie był — bo żaden biedak nie odszedł od niego bez wsparcia i porady.

Istotnie, człek był dziwny. Zamknięty w sobie, obojętny na pozór, zimny — gdy jednak kto go bliżej podpatrzył, dostrzegał w nim wiele serca. Od ludzi stronił, jak gdyby się ich bał, całemi dniami nie wychodził ze swej izdebki, do biesiady wesołej w rzadkich wypadkach i to na usilne prośby znajomych, którzy go szanowali pomimo zamknięcia w sobie — zasiadał.

O śmierci podstolego dowiedział się trafunkiem i wnet zjechał do Pełk acz nieproszony, a widząc Staszka w kłopocie, dopomagał mu wiele mógł i jak potrafił.

Nazajutrz wstał pan Sabinka o świcie i nie budząc Staszka wyszedł w podwórze, zmierzając ku budynkom gospodarczym. Oglądał je nader uważnie, wstąpił do stajni, obory, nie pominął nawet wozarki i kuźni.

Oględziny te zajęły dobrą godzinę mecenasowi.

Powróciwszy zastał Staszka na nogach, krzątającego się około posiłku rannego.

— Cóż pan mecenas tak rano? — zapytał podstolic wracającego. — Myślałem już, bodaj jedyny przyjaciel odstąpił mnie w nieszczęściu, pozostawiając w tarapatach bez życzliwego słowa.

— Faramuszki mościdzieju! — odparł Sabinka na dobry humor się siląc; znać było jednak z twarzy, że nie był wielce wesoły. — Zazwyczaj rankiem wstaję i świeżego powietrza szukam, aby noc ciężką wydychać.

Zasiedli do klusek żytnich podlanych maślanką obficie.

— Ano, panie Stanisławie — począł w trakcie jedzenia Sabinka — Pełki wcale nie najgorszy folwarczek. Szkoda, że tak rychło opuścić go musisz...

— Cóż robić, panie mecenasie — westchnął Stanisław.

— Szkoda! szkoda! — mruczał stary kładąc łyżkę i wąsy z maślanki ocierając. — Porządeczek widzę wszelaki jest, budowle nowe... i inwentarzyk niczego.

— Wszystko praca ojca nieboszczyka.

— Jabym ci radził do kasztelana pojechać i przedstawiwszy swoje położenie prolongatę zastawu suplikować — od niechcenia rzucił mecenasa.

— Raz, że to się na nic nie przyda, panie mecenasie, a powtóre — "łaska panów na pstrym koniu jeździ."

— Wszelako co przedsięweźmiesz?! Co!?

— Co Bóg da! — odparł z uśmiechem podstolic.

— Jużcić kogo On stworzy tego nie umorzy, ale... na dwoje babka wróży. Piękną jest rzeczą ufność w Panu Bogu, lecz przytem trza sobie też radzić. Z piasku bicza nie ukręcisz, a pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki! Nie!

— Wiem o tem, panie mecenasie.

— A więc...

— Ha... świat szeroki... pójdę jak niejeden szukać szczęścia.

Mecenas się zżymnął.

— Faramuszki mościdzieju... Z nieba ci ono nie spadnie.

— A nuż? — śmiejąc się, rzekł podstolic.

Porwał się z miejsca Sabinka i po izbie przeszedł.

— Widzę, żem się omylił na tobie, panie Stanisławie — ozwał się po chwili. — Ofiarowałem ci z serca przyjaźń tak, jakiejem dotrzymał nieboszczykowi ojcu twemu. Ano, nie ufasz mi... trudno. Napierać się i narzucać nie będę.

— Ależ panie mecenasie dobrodzieju! — zawołał podstolic, całując go w obadwa ramiona. — Zkądże przypuszczenia takie. Bóg mi świadkiem, żem nawet nie pomyślał o podobnej rzeczy... Przed panem mecenasem nic skrytego nie mam i za grzech bym poczytywał kryjomość, bo go za ojca liczę...

Stary go z rozrzewnieniem ucałował.

— Tedy czemu omijasz responsu na moje zapytanie? — rzekł. — Wierzaj mi Staszku, że mnie twój los nader obchodzi. Chociaż dopomódz ci niewiele mogę, bom ubogi, wszelako rada starego może ci się zdać.

— Doprawdy, panie mecenasie, odpowiedzieć mi niełacno. Dotąd nie zebrałem myśli jak należy. Mam jeno tę błogą nadzieję, że nie zginę w świat poszedłszy. Młody jestem i zdrów... Ręce do pracy wszak zdolne, a nieboszczyk rodzic powiadał mi zawdy, że kto z Bogiem a pracowicie poczyna, ten nie zginie marnie.

— Wielka to prawda, mój Staszku, jedno zważ i na to: że, aby pracować, trza mieć nietylko zdrowie ufność i ręce, ale nadto i produkt, przy którym się trudząc sposób do życia znajdziesz... Mówiąc mię-

dzy nami, położenie twoje wcale niemiłe, jakośmy już wczoraj zadecydowali. Gdzież się obrócisz? Ożenić się bogato... trudno. Panna by za chudeusza nie wyszła, chociażeś niczego. Zresztą trafy się zdarzają, ale rzadkie. Służyć wojskowo — na to trza grosza mieć, ty zasie, jak sam powiadasz, prawie nic nie masz...

— Znajdę przecież kąt jaki, o który się zaczepię...

Mecenas głową potrząsł zlekka.

— Z twoją naturą... trudno — odparł.

Zamilkli obydwaj.

— Jeżeli w istocie moja rada co zaważy — wszczął Sabinka — to proponowałbym ci jedno.

— Usłucham z należną atencyą pana mecenasa dobrodzieja.

— Owóż mościdzieju, rzecz takiego jest kształtu. Wiem, żeś stateczny, pracy się nie lękasz, głowę masz... gdybyś zechciał, mógłbyś się wyrobić...

Tu zatrzymał się i po chwili dodał pytająco.

— Cobyś rzekł, gdybym ci radził na palestranta się kierować?

Staszek szeroko oczy rozwarł.

— Ależ panie mecenasie, jam do tego nie zdolny — zawołał.

— Faramuszki mościdzieju! — przerwał Sabinka. — Święci garnków nie lepią, a i nie odrazu Kraków zbudowano.

— Na jurysprudencyi się wcale nie znam.

— To się poznasz.

— I głowy mi nie starczy na objęcie tylu statutów, a inszychł przeróżnych nauk.

—Faramuszki powiadam. Odrazu przed kratkami nie staniesz, jedno trza będzie od a b c zaczynać.

Słuchaj waść — mam w Warszawie starego kamrata mecenasem. Zwie się Nabierczyński... Uczciwy człowiek i tęgi jurysta. Chcesz? u niego cię umieszczę, a na moją prośbę Nabierczyński zajmie się tobą i na człowieka wykrzesze.

Słuchał podstolic, jednakże nie mogło mu się to w głowie pomieścić, iżby on, który dotąd nie często inkaustu i pióra dotykał, i nawiasem mówiąc, do tych materyałów pociągu wielkiego nie miał — naraz zagrzebywał się w folianty, księgi i piórkiem od rana do nocy po papierze wodził.

Wydawało mu się to niepodobieństwem.

— Pan mecenas wiele o zdolnościach moich mniema — tłómaczył się.

— Faramuszki! — przerwał mu stary z ożywieniem. — Powiadam ci Staszku, że chleb to dobry i uczciwy. Rozumie się niektórzy na złe go używają aliści gdzież ci chwast nie wyrośnie? Piel go codziennie — taki wschodzi. Moje zdanie: posłuchać jako mówię, a da Bóg na limitach rej będziesz prowadził...

Rozpoczął przemawiać gorąco, usiłując przekonać podstolica do zgodzenia się na rzeczony projekt.

Ożywił się staruszek, odmłodniał — aż się z krzesła porwał i dopomagał mowie doraźną gestykulacyą. Ktoby nań wtedy spojrzał — pomyślałby, iż nader ważnej sprawy przed kratkami trybunału broni.

A potrafił wynajdować tak doraźne i przekonywujące dokumenta, że Staszek widocznie do przyjęcia projektu się skłaniał.

— Niechajby wreszcie i ulokować się u onego Nabierczyńskiego — rzekł, gdy stary przestał — ale...

— Żadnego ale mościdzieju. Posłuchaj waść i kwita. Ręczę, że mi jeszcze pięknie podziękujesz.

— Dziękuję już z góry panu mecenasowi, ale o grosz mi idzie? Warszawa... hm... Miasto wielkie... Słyszałem od nieboszczyka rodzica, że o grosz tam łatwo, jeno że się toczy szelmostwo i przepada w mig.

— Faramuszki mościdzieju! Toć ostanie ci ze dwa albo trzy sta dukatów, jakieś sam mówił, a z tem potrafisz wyżyć, dopóki na własną rękę zarobek ci się nie trafi.

— Gdyby to tak!

— Jeno mi głowę do góry trzymać i miny nie tracić. To najważniejsze.

— I to jeszcze... jakże sam w Warszawie obracać się będę? Można zginąć wśród tumuldu jak ruda mysz...

— I to foramuszki. Nie turbuj się waść i zawierz mi. Zaraz skoro do Płocka powrócę, wystosuję list do Nabierczyńskiego — tobie zasię przyślę drugi, abyś miał z czem mu się przedstawić. — Powiadaj że mi — rezykujesz się, czy nie?

— Ano, cóż mam robić. Gdy inszej rady niema...

— Rzecz zatem skończona. Obaczysz waść, że mi będziesz serdecznie dziękował... Mam nos, żeś na palestranta jak ulał. Należy jeno ze wszystkiem się obłatwić, inwentarz sprzedać, sumkę zastawną odebrać, długi popłacić, a potem... w imię Boże.

Mówił Sabinka z taką wiarą w pewność sukcesu, że Staszek coraz więcej do palestranckiego chleba się przekonywał.

To go jeno niepokoiło, jak sobie poradzi w Warszawie, pośród tylu ludzi — gdzie nie zna nikogo, ani też od nikogo znanym nie jest.

Sabinka się roześmiał, gdy mu podstolic obawę swoją przełożył.

— Faramuszki! — odparł zwykłym przysłowiem. — Powiem waści, żem sam był w podobnem położeniu. Nie dziwię się, że cię to niepokoi, boś młody i mało świata świadczysz — możesz mi przecież wierzyć, żebym ci na złe nie radził. Ani do tego prawa nie mam, anibym, mając je, gwałt komu zadawał. Chcesz po dobrej woli słuchać rady uczciwej — dobrze. Nie? — to drugie dobrze i kwita!

Wieczorem tego samego dnia Sabinka odjechał, zapewniony przez podstolica, że rad jego posłucha.

Staszek długo patrzył za odjeżdżającym, który mu z oddali ręką pożegnanie przesyłał. W głowie młodego podstolica roiły się myśli jedne po drugiej, tłoczyły tak gwałtownie, e przez czas pewien chodził jak odurzony. Co chwila wyrywało mu się z ust:

— Warszawa! Hm...

Wąsa kręcił, ręce zacierał — czasami nawet się uśmiechnął.

— Warszawa — powtarzał— Oho! Ba...

Nieme te wykrzykniki były jakoby dysputą z myślami, którą wywołał tak nagły przełom w jego życiu.

Wychowany na wsi podstolic, zaledwie Płock i Mławę znający, nagle za stałe mieszkanie obrał stolicę, ten stek różnorodnych tłumów, różnorodnych myśli, to źródło, z którego tryskało światło oświaty na całą Rzeczpospolitą — miejsce, z którego ludzie wychodzili z czołem jasnem, podniesionem do góry, z okiem śmiało patrzącem na ludzi, z myślą ukształconą nabytkiem wiedzy — lub też z duszą skuloną i upadłą.

— Toć sobie radę dam — konkludował zbijając protesty, które mu się co chwila w głowie wysnuwały. — Wszak Sabinka z głową nielada...

Naraz przypomniało mu się, że ma przed wyjazdem do Warszawy bardzo wiele do załatwienia.

Czas naglił, Święty Jan za pasem... Tydzień jeno pozostawał podstolicowi do uregulowania interesów.

Będąc po raz pierwszy w życiu na podobnem rozdrożu, pozostawiony samemu sobie — podstolic omal rąk nie opuścił. Nie wiedział do czego ma się najprzód zabrać. Do tego jeszcze Warszawa oszołomiła go: nie schodziła z myśli.

Trza tu nadmienić, że prócz odebrania sumki zastawnej i uregulowania interesów, przed wyjazdem do Warszawy, podstolic miał jeszcze dopełnić ostatniej woli nieboszczyka ojca; ta zaś nakazywała mu, aby sam osobiście stawił się u stryjów obudwóch oznajmił im o śmierci brata i oddał listy, które nieboszczyk już na łożu śmiertelnem, snać koniec życia przeczuwszy, do nich napisał.

Po pierwszych kurach dopiero spostrzegł się zakłopotany Staszek, że dawno spocząć pora.

— Co będzie to będzie! — zakonkludował, rozbierając się. — Kiedy Warszawa — to Warszawa...

Z temi słowami usnął.

III.

W tydzień wyjeżdżał podstolic z Pełk najętym wózkiem, parą zaprzężonym koni. Nadspodziewanie szybko i składnie potrafił załatwić się z interesami — zastaw odebrał, długi popłacił, inwentarz nowonabywca folwarku kupił, jednem słowem — poszło mu jak z płatka. To też otuchy w przyszłość nabrał i począł się coraz więcej do wywodów mecenasa przekonywać.

Poczciwy Sabinka dopomagał mu jak mógł. Ułatwiał, co się dało, radził, ostrzegał na przyszłość a wszystko to czynił z takiem sercem, jak gdyby podstolic rodzonym mu był synem. W końcu obiecanem pismem do Nabierczyńskiego obdarzył i pożegnał potem.

— Jeno na byle co nie zważaj waść i nadziei nie trać. W Bogu moc... reszta — faramuszki — dodał, ściskając go po raz ostatni.

Wyjeżdżał z Pełk podstolic smutny. I nic dziw. Tyle czasu przeżył tu z ojcem, każde więc miejsce miało dla niego wspominek serdeczny, w każdem, jakoby cząstkę życia zostawił. Co chwila oglądał się po za siebie, żegnając niemal ze łzami siedzibę tyloletnią...

Wkrótce Pełki znikły mu z przed oczu. Westchnął, głową kiwnął, poprawił się na siedzeniu i w inną stronę zwrócił myśli. W którą? Odgadnąć łatwo. Przeniósł się wyobraźnią do stolicy, która miała mu zastąpić dotychczasową siedzibę.

Jak każdy prawie, nieświadomy życia stołecznego i podstolic nasz pragnął je poznać. Od chwili w której Sabinka myśl mu podsunął, coś go ciągnęło w ten nieznany wir, w ten chaos z najróżnolitszych złożony czynników, który tak oszałamia ludzi zdala nań patrzących. Nie mógł jednak wykorzenić z umysłu obawy, pomimo, że się starał ją przytłumić wszelako.

— Alboż tam ludzie inni? — kalkulował. — Wszakże z jednej co i ja gliny ulepieni? Tylu ich tam żyje i dobrze im się dzieje, czemużby mnie inaczej wieść się miało?

Krzepił się jak mógł i obawy odpędzał.

Na podobnych kalkulacyach czas mu zszedł rączo; ani się obejrzał jak w Rypińskie wjechał. Dopiero mu chłopak powożący uwagę zwrócił, iż niezadługo staną w Zgierczyku, folwarku do jednego ze stryjów podstolica należącym.

To przerwało rojenia podstolica, otrząsnął się i rozejrzał dokoła.

Okolica była piękna, jak wogóle każda naszej ziemi. Dodawały jej uroku niwy urodzajne, porosłe bujnem zbożem i łany czarne borów w dali ciągnących się nieprzerwanie i gęsto. Pomiędzy zbożami i borami zieleniły się pastwiska, z trawą po pas, które znowu przerzynały zdrojowice i rzeczułki.

— Owo granica Zgierczyka — mruknął chłopek, wskazując rzęd kopców po stronach drogi.

Podstolic głową przytaknął, chcąc tem wyrazić, że widzi wskazywany przedmiot. W pół godziny później stanął przed dworkiem, zamieszkiwanym przez stryja Tomasza.

Rzuciwszy okiem w tę i ową stronę, zrozumiał podstolic, że właściciel wcale nie jest zasobnym, a przynajmniej mało się troszczy o gospodarstwo. — Dworek, a raczej chałupa stara, pochylona, tu i owdzie drągami wsparta, świeciła gęsto dziurawymi, jak w dachu tak i na bokach. Komin na niej sterczał krzywo, podobny do rogatywy z fantazyą na głowę naciśniętej; ganek niegdyś z okapem i ławeczkami; dziś szczątki tego zaledwie zostały. Inne budynki nie odznaczały się wcale ani porządkiem, ani nowością. Wszystko stare, krzywe, uszkodzone, ozdobione to dziurą, to znowu łataniną niezgrabną — zgoła upadek przezierał z każdego kąta...

Widząc to, podstolic westchnął. Zrobiło mu się smutno, bo nauczony przez ojca skrzętności i do gospodarki nawykły, wiedział, że tu się znać ludzie marnowali samochcąc.

Długo atoli zastanawiać się nie mógł, bo wnet od stajen zjawił się krótki, posuwisty, krępy szlachcic, dobrej tuszy, twarzy okrągłej, podbródkami kilkoma zakończonej — oczu jasnych, wesołych, a ruchliwy osobliwie. Wszystko się w tej pogodnej twarzy śmiało: — usta, oczy policzki... zgoła każdy muskuł podrygiwać się zdawał, lub chichotać wesoło.

Ubrany buł w kubrak dreliszkowy, wysokie buty i czapkę wysoką; przepasał się rzemiennym pasem, przy którym ongi zdatnych, dziś wytartych rapciach wisiała szabla, dziwnie się odbijając od całego odzienia.

Zdala spostrzegłszy przyjezdnego, rękę do czoła przyłożył, starając się go rozejrzeć, a stanąwszy przed nim zawołał.

— Staszek, dalipan!...

— Stryj dobrodziej — zawtórował podstolic.

— Jak się masz chłopcze... A zkądżeś? A jak? Miraculum dalipan! — wołał pan Tomasz Trzciński, porywając w objęcia przybyłego. — Ot to mi niespodzianka!... Niechajże cię uściskam.

I całował a obejmował bez końca, ledwie że podstolic tchu złapać mógł.

— Niewesołą stryjowi przywożę nowinę—przemówił, chcąc ono serdeczne powitanie przerwać.

— Wiem! wiem! — rzucił pan Tomasz. — Mówił mi o tem Zatora z Bylinki... Miraculum, dalipan... Tak nagle! Ano... chodźże Staszku do śro-

dka, boć stoimy tu jak chamy jakie... Toż to się jejmość zdziwi.

Wziął gościa pod ramię i pwrowadził do dworku dogadując bez ustanku.

— Siadajże! siadaj! — prawił, gwałtem popychając Staszka ku sofce wytartym kilimkiem obitej. — Zdrożonyś? głodny? Ho... drogi sztuk!! Wnet jejmość ci przekąskę sporządzi...

Zwrócił się ku drzwiom.

— Basiu! Baś!

Na to wołanie zjawiła się pani Tomaszowa. znać od gospodarstwa głosem męża oderwana, o czem świadczył fartuch gruby i rękawy zakasane.

Spostrzegła gościa, cofnęła się śpiesznie, lecz jej mąż przeszkodził — skoczył i za ręce porwał.

— Patrz ino Baś, jakiego mamy gościa... A? Miraculum? Co? Poznajesz?

Kobiecina sromała się, oczy na męża znacząco zwracając.

— Puść że mnie Tomku, co ci w głowie... Widzisz, żem do gościa nie ubrana...

— Boć to nie gość — żwawo podchwycił pan Tomasz. — Nie poznajesz go? Staszek nieboszczyka Marcina... Miraculum- Co?

Staszek się sumitował i witał stryjenkę należnie.

— Ano, Baś... każ jeno co podać naprędce... Aby, aby... Codź obiad za pasem, nie wądzi z drogi się otrząsnąć.

To mówiąc, pocałował żonę w oba policzki i ręce zatarł.

— Pan Stanisław Tomkowi przebaczy,ale on zawsze jeden — szepnęła jejmość odedrzwi. — Wnet przyślę przekąskę.

— Ot to mi się nazywa — wrzasnął pan Tomasz. — Widzisz Staszku u mnie tak wszystko! Raz, dwa — i jest... Mores dalipan! Jejmość mnie już zna z tego... Obaczysz jak nas ufetuje...

I zaśmiał się gaduła wesoło.

Staszek przyjęciem tem był zbity z tropu i jakby oszołomiony — atoli gospodarz tego nie zauważył, bo sam się bawił a gadał za trzech.

— I ty pamiętaj Staszku, gdy się ożenisz, rób jak ja. Inaczej przepadniesz, zginiesz. Kobieta widzisz to... ziółko! Ba! jakie jeszcze... Stworzenie dobre, ale trza z nią umieć... I moja jejmość z początku chimerowała. To... sio... tędy... owędy... A dziś? Miraculum! Ot co jest. Jak widzisz. Co powiem, święte. Odrazum się wziął, i sza... ani mrumru. Każę tak — i basta! Oho... u mnie mores.

Znał usposobienie stryja Tomasza Staszek i wiedział, że mimo poczciwości, gadulski był straszny, a plótł co mu ślina do gęby naniosła — dziś przecie ta wesołość raziła go.

— Stryj dobrodziej pozwoli, że mu przerwę — ozwał się, chcąc rozmowę zmienić.

— To mi dobre! Mów, słucham, rozkazuj!... Kocham cię Staszku jak syna, boś mi najbliższy i uczciwy. Co chcesz powiadaj...

W tej chwili wniesiono przekąski.

— Aha! O wilku mowa — zwrócił się ku nim pan Tomasz. — Staszku mój... pozwól proszę... Co Bóg dał. Na frykasy ani zamorskie wymysły... Ino ceremonii nie rób, bo tego nie lubię. W twoje ręce.

Potężny kubek gorzałki wychylił i napełniawszy go znowu, Stanisławowi podał, dodając.

— Z tatarakiem. Zaprawiam ą sam i ręczę ci,

że podobnej nigdzie nie znajdziesz. Wytrawna i smaku dodaje. A to w gorzałce grunt.

Wypił i Staszek onej zachwalanej, a tatarakiem zaprawionej gorzały, która co prawda haniebnie była gorzka i piekła w gardle strasznie, ale nic nie mówił — za ser się wziął, który wraz z gorzałką podano...

— Marcin ją bardzo lubił — gadał pan Tomasz. — Poczciwy Marcin... Tak mu się oto zmarło... Ktoby się spodział? Miraculum dalipan... Młodszy odemnie lat cztery... i zdrowie okazywał... Szkoda człeka... Uczciwy był i zacny... Cóż robić? Wola Boża. Gdy mi Zatora powiadał — nie chciałem wierzyć. Niema pół lata jakiem był w Pełkach. Pamiętasz? Był wtedy Klimkiewicz, z którym-em się o mały włos nie podarł. Jedno nas Sabinka stary uspokoił, a byłoby źle... Szkodaby Klimkiewicza — ale ze mną nie żarty! Szablę noszę nie od parady, rękę mam... Musiał ci nieboszczyk powiadać, jak się składam, bo wiedział. Ba! i widział nieraz... Szabla też sama nie cacko — patrz!

Wyrwał z pochew szablicę, śmignął nią w powietrzu, wywinął kilkakroć młyńca, spuścił potem i czoła namarszczył.

— Jeszcze dziś a biega jak panienka... Miraculum? Co? A może waść nie wiesz, gdzie ta panienka tany zawodziła?... Z królem miłościwym naszym jeszcze za onego przebrzydłego Wazy... Za Korybuta ....Podhajce... Chocim a Słobodyszcze, gdzieśmy Szermentjewa przepłoszyli... Zwijało się też, a moja panienka tańcowała!

Westchnął.

— A myślisz Staszku, żem ociężał i zniedołężniał. Powiadają ludzie, ale nie wierz... Gdyby o-

kazya... Oh! gdyby to prawda była, co ludzie powiadają, że nasz Sobek ma na Turczyna iść, obaczyłbyś ilem wart...

— Na Turczyna? — powtórzył podstolic od niechcenia.

— Nie wiesz? Gadają o tem głośno, zasie ja, słysząc to, opowiadam w duchu: bodajby wygadali. Niektórym to nie w smak; mówią, że Pan Miłościwy za Niemców chce przelewać krew naszą... ano, głupcy są... Nasz Sobek wie co robić, nie darmo go królem obrano. Kiep kto przeciw niemu... Miraculum! Zresztą niech gadają co chcą, ja taki na Turczyna z nim pójdę. Ino wici roześlą — pal kat wszystko. Szabla jest, szkapa w stajence i hajda dalipan.

Mówił to z ferworem wielkim, coraz bardziej się zapalając, aż się Staszek mimowoli uśmiechnął.

— Śmiejesz się waść? — rzekł spostrzegłszy to pan Tomasz. — Miraculum? Co? Niemasz z czego doprawdy, bo mnie nie znasz. Łeb się świeci, włos z niego oblazł, a co go się ostało to siwy — ale serce jest, animusz też... Nie jednego młokosa bym przeskoczył choćby wnet... Ot co jest!... Ale co tobie gadać... z starego dziada się uśmiejesz, powiesz, że piątej klepki mu brak i tyle.

Machnął ręką i znowu gorzałki się napił.

— Źle o mnie stryj dobrodziej trzyma — wtrącił podstolic. — Nie nawykłem z siwego włosa żartów czynić, tembardziej z najbliższego opiekuna. Ale skoro stryj pozwoli ,oddam pismo ojca nieboszczyka, które na śmiertelnem łożu skreślił.

— Czemuż mi odrazu nie oddał Staszku marudo! — fuknął łagódnie pan Tomasz. — Dawaj że mi go! Daj!

Wyjął z zanadrza pismo podstolic i takowe stryjowi wręczył.

— Poczciwy Marcinek — mruknął stary. — Nie zapomniał o mnie... Miraculum dalipan... Ano, obaczmyż co pisze.

Nasadził na nos okulary i jął zwolna odczytywać list. Krótki był i zwięzły. Jedno zawierał pożegnanie i prośbę o opiekę nad Staszkiem.

Pan Tomasz odczytał go po dwakroć, przyczem łzy mu się puściły z oczu.

— Poczciwy Marcinek — powtórzył. — Świeć tam Panie jego duszy... Nie mogę sobie darować, żem na pogrzebie nie był. Posłaniec twój w domu mnie nie zastał, wyjeżdżałem do Dobrzynia na jarmark... wczoraj-em się od Zatory dowiedział...

— A Bartosz był? zagabnął nagle.

— I jego nie było. Stryj Bartłomiej chorobą się wymówił.

Pan Tomasz splunął.

— Miraculum dalipan... Gdyby nie był rodzonym bratem, czterema literami bym go nazwał. Skała nie człowiek!

— Może doprawdy chory... — zauważył podstolic.

— Niech go tam kat spali. Świntuch jest i basta... odrodził się od nas zupełnie, ani śladu w nim Trzcińskich... Ale co tam o tem gadać!

— Nieboszczyk rodzic i jemu pismo nakazał oddać... Od stryja wnet do niego zajadę.

— Masz po co! — z ironią zawołał pan Tomasz. — Za drzwiami cię przyjmie i psami wyszczuje. Lepiej byś nie jeździł. Powtarzam ci, że świntuch i cała rzecz.

— Bądź co bądź, pismo sam mu oddać muszę, bo taka jest wola nieboszczyka.

— Jak chcesz. Radzić ci nie będę, bo swój rozum masz. Ino tak prędko cię nie puszczę, żebyś wiedział. Sam jesteś... w Pełkach gospodarstwo ci nie ucieknie — posiedzisz u mnie chociaż z parę niedziel.

— Ani nawet dni parę, stryju dobrodzieju.

— Miraculum dalipan! Czemuż to? Co cię pili? Hę? W Pałkach nic się złego nie stanie... na żniwa czas...

— Do Pełk się nie spieszę, bo tam nie powrócę wcale — odparł podstolic. — Gdzieindziej jadę...

Stary duże oczy zrobił.

— Co znowu? Albożeś z zastawu puścił? Ejże Staszku niecnoto, źleś zrobił. Pełki dobry kęs chlebo. Ot co jest... Młodość we łbie ci warem zawierciła i głupstwoś pono spłatał? Niechże cię nie znam!...

Podstolic opowiedział stryjowi całą historyę swego położenia, oraz wyłuszczył zamiary, jakie na przyszłość miał.

— Miraculum dalipan. Tegom się co prawda nie spodziewał — powoli ozwał się pan Tomasz, skoro wysłuchał opowiadania. — Szkoda Pełk... Hm... Biedak z ciebie mój Staszku...

— I do palestry przystajesz?

— Tak mi stary Sabinka radził.

— Sabinka... Sabinka — mruknął pan Tomasz. — Dusza człek, zacności, ale może zbytnio ciągnie za swojem. Palestra?... nie przeczę dobry chleb, bo dzisiaj wszyscy za łby się wodzą; jeno powiem ci szczerze — nie aprobuję jej wielce. Szlachetna rzecz — szabla. Ot to się nazywa rzemiosło. Jabym ci radził wojaczkę...

— Stryj dobrodziej wie, żem goły jak bizon, a

czapkować nikomu nie będę, bo to za grzech śmiertelny uważam.

— I to racya Staszku kochanie... Hm... gdybym miał, chętnie bym ci dopomógł z serca — alem niewiele od ciebie bogatszy. Kęs ziemi jest i rodzi należnie, inom ja niedołęga i nie potrafię wedle niej się obracać — więc bieda i mnie. Człek z dnia na dzień żyje...

Tu uciął i po chwili żwawiej dodał.

— Wiesz co Staszku?... Ostań się u mnie. Dwoje nas z jejmością... dzieci nie mamy, tego kęsa ziemi do grobu nie zabierzem... Ostań u mnie...

— Ależ stryju dobrodzieju...

— Zrób tak i kwita. W domu będzie weselej; przynajmniej człek do kogo zagada, a dziś?... patrzymy oto z jejmością na siebie niby dwa samsony. Chleba nie zbraknie. Ubogo będzie — ale uczciwie. Zresztą tyś nadatniejszy do roli, niżeli ja... Ostań u mnie...

— Za sentyment dziękuję i wdzięczność do zgonu za dobrodzieja stryja zachowam, jedno korzystać z łaski nie mogę.

— Młody jestem, zdrów, pracować mogę. Wstyd by mi było cudzą pracę jeść, skoro sam chleba dostarczyć sobie potrafię. Jużci niech mnie stryj dobrodziej nie odmawia od zamiaru, bo stanowczy.

Pan Tomasz wąsa pokręcił.

— Miraculum dalipan Gadasz z sensem jak stary. Skoro masz tak mocne predicatum — przeczyć ani namawiać nie będę. Idź w świat i niech ci Bóg błogosławi.

Uściskał podstolica stary, ucałował, a nawet łzy mu w oczach stanęły. Wnet potem dano obiad

— przy którym podstolic z jejmością się rozgadał. Pan Tomasz nad podziw mało mówił, znać było po nim, że czemś miał głowę zajętą.

Aż się jejmość zastanowiła.

— Cóżeś Tomku osowiał? Niezdrów jesteś, albo co innego? — zapytała.

— Nic mi Baś! Jednakim zawdy — odparł krótko.

Chciał jechać Staszek pod wieczór, ale go stryj nie puścił.

— Tego mi nie zrobisz — uparł się. — Jutro puszczam, dziś przenocujesz u mnie... Bóg wie, kiedy się obaczym.

Staszek nie oponował wiele, bo go stryj za serce wziął. Zgodził się przeto zanocować.

Gawędzili z panem Tomaszem kawał z wieczora i byliby pono do białego przesiedzieli, gdyby nie jejmość, która o spoczynku przypomniała.

— Ano, chodźmyż, gdy nas wypędzają — wstawszy, rzekł stryj. — I tobie wczasu potrzeba. Ja bo bym z tobą Bóg wie dokąd przesiedział, boś tęgi chłop. Tak mnie Boże dopomóż!

Wprowadził Staszka do izby sypialnej, kędy im obudwom usłano.

Nad łożem pana Tomasza wisiał niewielki wizerunek króla jegomości przedstawiający. Oprawiony był w ramki wązkie ze szczerozłota, kameryzowane bogato dyamencikami.

Staszek mimowoli zwrócił nań oczy, bo od światła woskowej świecy promienie snopami sypały się z ozdobnych ram wizerunku.

Spostrzegł to pan Tomasz.

— Toć jest co najdroższego mam — rzekł wskazując na portret. — A pono dla każdego obywatela Rzeczypospolitej niema droższego przedmiotu...

Człowiek bo też to człowiek! Nie będziem mieli lepszego... o! nie...

Wpadłszy na ulubiony temat, ożywił się.

— Znam ja go dobrze jeszcze z tych czasów, gdy korony nie nosił. Bywało nagadałem się z nim do syta i to twarz w twarz jakoby z tobą... Ano... miałem nawet szczęśliwy traf, z łaski Bożej snać dozwolony, przysłużyć mu się acz niewiele...

Westchnął.

— Dawne to dzieje... minęło kawał czasu... poszliśmy z królem jegomością — naonczas starostą jarosławskim był... i sławę miał z niejakim szołdrą Mikołajem Askmanickim... Zapozwał on łotr pana starostę, a dzisiejszego króla miłościwego, o sumę 40.000 czerwonych złotych. Dług to był po ojcu pana starosty, którego zaspokoić odrazu syn nie mógł. Askmanicki — znany z pieniactwa warchoł, pierwszej próby infamis, zamiast położenie ciężkie widząc młodego starosty — ten bowiem 24 lat zaledwie liczył— owóż Askmanicki wystąpił z wielką natarczywością, wyrok na swoją korzyść otrzymał, przez co pan starosta bannistą został. Ile na tem wycierpiał, Bóg jeno wie... Ano... to do rzeczy nie należy. Trafunek zdarzył, że służąc pod znakiem Sobieskiego, łotram napotkał, jak w dobranej kompanii śmiał się naigrawać z mego wodza... Krewkim zawdy i — niecnoty cierpieć nie mogę... Zadarłem z nim i palnąłem go w gębę... Larum się zrobiło wielkie... ledwie mnie sam Sobieski salwował, bo warchoł uwziął się mnie zgubić... Aleści Bóg strzegł — całym oto i żyję jako tako. Zaiste Sobieski — któremu o całem zajściu doniesiono — przyrzekł, że mi tego nie zapomni. I dotrzymał słowa... Zawdy mi przypominał ujęcie się za nim, gdy mnie napotkała. A napotykał mnie

często, być prawie we wszystkich jego wyprawach-em uczestniczył... Miraculum, Staszku... co?

Znowu westchnął i głową kiwnął.

— Słyszałem o panu miłościwym wiele od ojca nieboszczyka — wtrącił podstolic.

— Któżby o nim mógł źle powiedzieć? — przerwał żywo pan Tomasz. — Jedno poganin chyba jaki? Ej! gdyby na Turka szedł, powiadam ci Staszku i ja z nim... Obaczyłbyś wtedy, co mogę i krew stara, zwodniała... aliści przy nim odżyłaby znowu... Człowiek bo też to, a pan miłościwy...

Dokończył gestem.

— Ano... co tam o tem gadać... Młody — nie zrozumiesz. Widzę, że ci się oczy kleją i na sen zbiera.

Ukląkł przed łożem i pacierze odmawiał półgłosem.

Podstolic mimowoli zwrócił oczy na portret i zamyślił się. Nie wiedział sam, czemu nie mógł oczu oderwać od tej pełnej twarzy, zdobnej wyrazem powagi i godności wielkiej. Dopiero go stryj z zamyślenia wyrwać, modlitwę ukończywszy.

IV.

Zaledwie około południa wypuścił pan Tomasz Staszka. Żegnał go serdecznie, dogadując raz wraz, aby Zgierczyka z pamięci nie wypuszczał i gdy traf zdarzy potrzebę jakową, prosto jak w dym do niego się udawał.

— Poradzę ci wtedy jak będę mógł. Niewiele, ano i to coś znaczy! Pamiętaj Staszku, żem ci nie językiem serdeczny, ale myślą...

Dziękował podstolic stryjowi, obiecując od czasu do czasu chociaż dawać znać o sobie.

— Ruszaj tedy z Bogiem — kończył stryj. — W imię Ojca i Syna...

Słońce dopiekało skwarne, sypiąc istne ognie z nieba, jak łza czystego, bez chmurki. Droga była piaszczysta, konie z trudnością ciągnęły wózek acz lekki, brnąc w rozpalonym piasku. Piana im pyski okryła, zbieliła boki — pot na skórę wystąpił i stoczał się po niej, tworząc czarne pręgi.

Podstolic siedział zamyślony, półsłówkami odpowiadając na zapytania chłopaka powożącego, który chcąc drogę skrócić co chwila się odzywał. Jechał teraz do Owbor, folwarku będącego własnością stryja Bartłomieja... A jechał co prawda niechętnie — serca bowiem do Bartłomieja nie miał, ile że znał go i słyszał wiele o jego charakterze. Wszelako wolę ojca szanując, osobiście tam stanąć musiał.

Od Zgierczyka do Owbor było opętanych mil pięć. Pomimo dobrych koni, zaledwie pod wieczór stanął podstolic pod wrotami.

Folwark z pozoru świetnie się przedstawiał. — Wszędy znać było skrętność — każdy kęs ziemi był zużytokowany, co pod owe czasy niezwykle się trafiało. Obejście folwarczne acz potwierdzało dobre mniemanie o gospodarzu, zarazem jednak musiało zastanowić każdego. Otoczone było częstokołem wysokim — opatrzonym wąską furtą i również wązkiemi wrotami. Stodoły, spichlerzyki — zgoła wszystko zabudowanie, wyłączając dworka, było masiw z kamienia, trwałe i dostatnie. Dwór stanowił dziwny z temi kontrast. Znać ongi stał tu zameczek, bo z cegieł był wzniesiony, pospołu z kamieńmi, ślady się jeszcze spostrzegać dawały baszt i wieżyczek, jeno, że strawione to wszystko było czasem, a niedbałością właściciela. Można go było nazwać gromadą gruzów,, bo całość inaczej nie wyglądała.

Mchy, zielska, chwasty, porastały bujnie tę ruinę zczerniałą i smutnym napiętnowaną wyrazem — nadawały jej pozór mogiły zapomnianej, której przeznaczono marnieć powoli.

Podstolic przed wrotami stanąwszy, wysiadł, z ciekawością rozpatrującego się dokoła. Wnet atoli gromada psów go opadła, skamląc a naszczekując głośno — i z taką zażartością rzuciła się na niego, że byłaby go z pewnością pokąsała szpetnie, gdyby napowrót do wózka nie wskoczył.

— Bestyjstwo, z-pozwoleniem, jak dzikie — mruknął chłopak powożący, zwracając się do podstolica z wyrazem zapytania, co ma robić, bo wrota stały zaparte.

— Nie, odpowiedział Staszek, jedno obzierał się dokoła, ażali jakiej ludzkiej istoty nie dojrzy, — pomimo jednak wrzawy, jakiej psiarnia narobiła, nie spostrzegł nikogo.

— Pono pustka — mruknął znowu chłopak.

Uśmiechnął się na to podstolic ,ale smutnie jakoś, westchnął — poczem ręce w trąbkę zwinąwszy huknął.

— Jest tam kto?!!!

Psy mu jeno odpowiedziały głośniejszym szczekaniem.

Powtórzył Staszek wołanie, a widząc, że się nikt nie odzywa, biczysko od chłopaka wziął, z woza zszedł i rozpędzając psy, do wrót dotarł.

Musiał kilka razy hukać a nawoływać, zanim ze dworka wyszedł człowieczyna skulony, nizki, z podełba patrzący, wytartym kubrakiem odziany i do wrót się zbliżył.

— Kto i z czem? — zapytał stanąwszy przy wrotach.

— Otwieraj nie bałamucąc! — zawołał zniecierpliwiony podstolic. — Do pana Trzcińskiego Bartłomieje z interesem pilnym jadę.

Człeczyna spojrzał na mówiącego wylękłemi oczyma i nadstawił ucha, jakby chcąc powtórnie usłyszeć odpowiedź.

Twarzą i wzrokiem jasno świadczył, że uszom nie dowierza.

— Otwierajcie, boć czekam oddawna! — huknął podstolic. — Nie tatar ani poganin inszym przecie, jedno swój..(

— Jegomość chory i gości przyjąć nie mogą — krótko odparł człeczyna.

— Wiedz że o tem, żem nie gość jedno synowiec rodzony jegomości — odparł Staszek psy rażąc biczem. — A widzieć się z nim muszę koniecznie.

Człeczyna nic nie mówiąc do dworka wrócił— niezadługo znowu się zjawił i również milcząc wrota rozwarł.

Podstolic zrażony na wstępie ku dworkowi skierował.

Poprzedzał go on człeczyna, idąc ze spuszczoną głową, snać wielce zdziwiony przybyciem gościa, który tu nie często zaglądał ,o czem świadczyła trawa suto porastająca dziedziniec. Wchodziło się do zameczku po wschodach kilku, tworzących taras misternie się dokoła zabudowania wijący, a otoczony szpalerem drzew, dających obficie cienia, — z tarasu onego wszedł podstolic do szerokiego kurytarza stropionego łukowato, a stamtąd na lewo do wnętrza zameczku. Minąwszy dwie komnaty literalnie puste, za cały dobytek kilka starych ław posiadające, przewodnik zatrzymał się wreszcie przed małemi drzwiami.

— Jegomość tutaj — szepnął i odsunął się, dając przejście gościowi.

Staszek wszedł.

Znalazł się w wązkiej a długiej komnacie, wyłożonej posadzką kamienną, o dwóch również wązkich oknach, mało wpuszczających światła dziennego. W jednym roku stał komin wielki, przy oknie fotel skórzany z wysokiemi poręczami — przed tym biuro starożytne, pięknie rzeźbione, po nad którym wisiał portret kobiety niezwykle pięknej. Przy drugiem oknie stał stoliczek i ławeczka — na ścianie tuż wisiało kilka szabel i rapirów szwedzkich, oraz dwa całkowite rynsztuki wojenne, dziwnej roboty, pono w Wenecyi robione — popsute nieco przez czas i wilgoć, która ściany zameczku przejęła na wskróś.

Na fotelu siedział sam gospodarz.

Pan Bartłomiej liczył przeszło dziesiątków sześć wieku, lecz wyglądał z pozoru przynajmniej na jakie ośm. Postawę miał bynajmniej nie przyciągającą, przeciwnie — budziła ona wstręt nieokreślony. Chudy jak wiór, wysoki, lecz w pałąk prawie zgięty, twarz miał przeciągniętą, suchą, na której żyły nabrzmiałe tworzyły istną sieć — nos maleńki, spiczasty, wyrastał pomiędzy zżółkłemi jak pergaminowa karta policzkami, w których szczęki znać było — oczy wielkie, bez wyrazu, zapadłe w doły pod wysokiem czołem, zaledwie garścią włosów pokrytem. Na sobie miał kaftan z jarmułuku bez rękawów, z pod którego przeglądała koszula auszurowa podejrzanej nazbyt czystości — szarawary z tegoż samego co i kaftan materyału i buciska niezgrabne, domowej znać roboty.

Całość tej postaci składała się na wrażenie smutne i odrażające. Było jawnem, że człowiek ten

na świat i ludzi nie uważa, a żyje sam, sobą i dla siebie. Dobiegał kresu żywota w brudzie, skąpstwie, zapomnieniu, odtrąciwszy własną wolą wszystko, coby go ze światem wiązać mogło.

Na wchodzącego synowca spojrzał bącznie, orzucając go od stóp do głów — a twarzą niedowierzanie wyrażał.

— Mam honor submisyę winną złożyć stryjowi dobrodziejowi... Stanisław jestem, podstolego syn — począł Staszek zbliżając się do Bartosza.

— A! a! — mruknął niechętnie gospodarz. — Podstolego??... Brata mam... Tyś tego?... Staszek mu było...

Zakaszlał się.

— Tak jest... — odparł Staszek rozglądając się po komnacie, a widząc, że go stryj nie prosi przysunął sam ławy i siadł.

— Co tu porabiasz? Co cię tu przygnało? — dopytywał Bartosz wciąż z nieufnością, spoglądając na przybyłego. — Podstoli mieszka hen gdzie? Koniec świata... Wedle Mławy, pod Szreńsk... Skądeś waść się zjawił...

— Nieboszczyk ojciec polecił mi listy wręczyć stryjowi, bo zmarło mu się o czem-eśmy umyślnym donosili.

Stary się krzywił niemiłosiernie.

— Zmarł? No proszę... — mruczał. — Człek odemnie młodszy... A! a! Trudno... Wszyscyśmy śmiertelni. Dnia ani godziny nikt nie wie... Anim wiedział o tem...

Kłamał pan Bartłomiej, bo posłaniec Staszków list mu do ręki oddał i otrzymał w zamian od niego odpowiedź, że chory jest, dla czego przybyć nie może.

Przypomniał mu to Staszek.

— Może być... może! — po chwili namysłu odparł stary. — Ja nie pamiętam! A chory jestem— bardzo... bardzo! Dychawica dusi... lada dzień skończę... Ot!

To mówiąc zakaszlał się znowu.

— Może być... — powtarzał. — Człek pamięć traci... Nie dziw... Stary jestem... Wiek gniecie... Zmiłowania Bożego czekam... lada dzień...

Westchnął.

— Mówiłeś waść o listach — począł przemilczawszy. — Masz je?

Nie odpowiadając, podał Staszek żądane listy.

— Ino nie wiem czy odczytam... Oczy nie domagają jak i cielsko całe... — stękał, biorąc je do ręki Bartosz. — Światła by trza naniecić... Hm...

— Skuba! a, Skuba niecnoto!... Bywaj sam! — zawołał podniesionym i zupełnie silnym głosem, co usłyszawszy, zdziwił się Staszek.

Na to wezwanie, wsunął się do komnaty ten sam człowieczyna, który był podstolica prowadził.

— Światła mi tu daj... Kaganek roznieć — gderał stary. — Albo nie... Masz oto świecę... Zapal i przynieś.

Wziął z okna zeschłą woskownicę.

— Nie marudź a przynoś. Byleś ognia nie zarzucił niecnoto. Ano, idź mi skoro...

— Hultaj jest niezdarny... trza go pilnować na każdym kroku — tłómaczył stary gościowi, gdy Skuba ze świecą wyszedł. — Oni wszyscy tacy! Byle żreć, spaść a kraść... Do tego jedyni...

Rozwinął list — tymczasem Skuba zapaloną świecę przyniósł. Stary przysunął papier do oczu i czytał powoli.

List był krótki, podobny jak i do pana Tomasza. Jedno było w nim wzmianka o położeniu Stasz-

ka, przyczem nieboszczyk nadmienił, że mógłby mu stryj pomódz, jako człek zasobny. W miarę czytania twarz starego chmurniała — wreszcie wstał żywo i list zmiął.

— Gadanie!... Albo ja co mam? Ja? Ja? Ledwie kęs czarnego chleba, więcej nic... Nieboszczyk w gorączce pisał... Pomódz, pomódz!! Do mnie jak w dym. Jeżeliś się waszmość z tem wybrał, z góry powiadam próżnica. Ja nie mam nic. Ziemia nie rodzi... ludzie kradną... długów pełno... Nie mam nic. Czem dopomogę? Chyba próżną garścią... Trafił oko w sedno...

Zapomniawszy o dychawicy i dolegliwościach inszych, po komnacie latał żywo i mówił głośno, zdradzając silne zdrowie.

— Jeżeli ci rodzic obiecywał pomoc z mojej ręki — omylił się. Ludzie baśnie prawią, bogaczem mnie robiąc, a ja... ja... nędzarz jestem... żebrak! Z dnia na dzień żyję... Ot! końce wiążę... Skąd bym brał? Skąd? Z nieba mi nie spadnie, a ziemia?... jałowizna, piaski... Ledwie ziarno owsa się urodzi... Miałem trochę gotowego grosza i to przepadło Bóg wie gdzie! Ukradli — kto? Nie wiem. Jak mi Bóg miły, ukradli. Zresztą sam widzisz jak u mnie jest... Nędza, bieda... rozpacz ostatnia. Czasami głodny idę spać... Skądbym mógł ci pomagać... A ludzie? Kłamią niecnoty. Nie wierz im.

Staszek słuchał wąsa kręcąc, aby się nie roześmiać, bo wiedział, że nie ludzie a stryj kłamie wierutnie. Potakiwał więc głową, kiwając a udając, że wierzy.

— Ja wcale nie z prośbą o pomoc przyjechałem — rzekł, gdy stary umilkł wygadawszy się. — Nieboszczyk w ręce mi kazał pismo oddać, inaczej bym nie bywał...

— Bo niema po co — żywo podchwycił Bartosz. — U mnie nie zyskasz nic. Dogorywam w nędzy. Nie proszę od nikogo pomocy, chociaż potrzebuję... Byle czem się obywam, aby z dnia na dzień...

— Powtarzam stryjowi, że nic wcale od niego nie żądam i choćby mnie chciał stryj czem obdarzyć, nie przyjąłbym.

— Nicbym ci nie dał, chociaż byś niewiem jak prosił. Skąd wezmę! Cały dobytek oto co widzisz... (ręką dokoła komnaty wskazał). W łachach chodzę bo na odzież lepszą nie stać.

Staszek ponowił zapewnienia, dodając w końcu, że jedyną prośbą było pozwolenie przenocowania.

Noc zapadła — konie strudzone, a nazajutrz przed świtem miał wyruszyć ku Warszawie.

Stary niechętnie wysłuchał tej propozycyi.

— Radbym ci bardzo wygodził — począł kręcąc młyńca palcami. — Szczerzebym rad... Jedno u mnie co prawda i miejsca niema... Barłożysko moje nie dla ciebie... Zresztą ja sam potrzebuję wygody...

— Byleby kąt jaki pod dachem — to dla mnie dość.

— Bardzo ci chwalę tę niewybredność... Wielce chwalę! Wygody tylko rozbabiają człeka i siły odbierają... Hm... Tyś pewnie zdrożony i głodny Staszku... a u mnie w domu jak po tatarskim najeździe. Niema nic... zgoła nic! Ledwie chleb czarny i sól się znajduje, a i po to chyba do podstarościego poszlę, bo mi baba pieczywa w zeszłym tygodniu spaliła...

Staszek porwał się z prawdziwym oburzeniem i już miał na języku jakąś ostrą przymówkę — zdołał się jednak pomiarkować.

— Mam na wózku bigosu trochę i wiktuałów, któremi mnie stryj Tomasz na drogę zaopatrzył. Wystarczy mi tego — rzekł.

— Tomasz... A! a! Uczciwości człowiek... Szczęśliwy! Wiedzie mu się z jak z płatka; może sobie pozwalać. Nie to co ja! Nie to!

Nie słuchając eksplikacyi pana Bartosza, wyszedł Staszek na dziedziniec, strawę swemu chłopakowi dał, wiedząc, że na gościnność w Oborach nic rachować nie można — zaczem węzełek, który mu stryjenka wsunęła gwałtem do wózka, wyjął i z nim wrócił do zameczku. A była tam faska bigosu z kiełbasą, ser owczy smakowity, udziec barani, kiszka podgardlana i flaszka gorzałki tatarakiem przyprawnej.

Gdy to wszystko na stole postawił, pan Bartosz wstał z fotelu i zwolna przeszedł się po komnacie, z boku na zabierającego się do jadła spozierając.

— Ja bo na noc jeść nie mogę — rzekł nagle przystając. — Zakazali mi doktorowie. Mówią — nie zdrowo... Silny nie jestem... Lada co — kwęczę, stękam... Chorobliwa natura... Przytem ślubowałem przez cały ten miesiąc suchoty... Do przemienienia-m ślubował. Może to Bóg wejrzy na grzesznego i miłosierdzie swoje zwróci...

— Nie śmiem prosić stryja, ale gdy wola... w kompanii raźniej — ozwał się podstolic.

— Dziękuję ci, Staszku... Nie mogę! Ślubowanie rzecz święta... A i zdrowie coś znaczy. Staremu nie wszystko wolno. Młody co innego.

Splunął i siadł, nie spuszczając oko z przygotowującego się do jedzenia synowca.

— Ha... gdy stryj solennum uczynił namawiać nie będę. Sam zrepetują, bom doprawdy wygłodniał.

Na dobre przypuścił szturm do jadła.

Pan Bartosz przypatrywał mu się z ukosa... spluwał, poruszał się, sapał, kaszlał... Nagle wstał i podszedł ku stołowi.

— Gorzałczysko! — mruknął biorąc flaszkę do ręki. Powiadają, że krew czyści i wzmacnia.

Powoli nalał sobie kubek i wychylił.

Staszek omal śmiechem nie parsknął.

— Dla kompanii dał się cygan powiesić — ciągnął pan Bartosz, sięgając do faski, z której porządną porcyę chwycił. — Dla ciebie to robię, miły Staszku, bo nijako ci samemu dary boże spożywać...

— A! a... wcale niczego gorzałka — dodał po chwili. — I bigos ad rem! Ma smak.

— Niechże stryj sobie nie żałuje.

— Kruszynkę... Zdziebło... Byle dla kompanii— mruknął stary zajadając szczerze. — I serek wart gęby... Dalipan wart... Ou! iście królewska wieczerza.

Przysunął się bliżej i nie zważając ani na wrzekomy zakaz doktorów, ani na "ślub uczyniony", jadł chciwie jakby na wyścigi.

— Tomaszowi znać się wiedzie — dogadywał.— Ha... różnie bywa! Wszyscy żyją jak należy, jedno ja... żebrak, nędzarz... Taki już los...

— Stryj Tomasz zawiele niema, a ludzie powiadają, że stryj dobrodziej masz daleko więcej — wtrącił od niechcenia Staszek.

Pan Bartosz aż się zatrząsł.

— Ja? Ja? — zawołał. — Fałsz wierutny! Kłamstwo! Oszczerstwo! Ja? Co ja mam? Co? Łachmany, głód.. .nędzę! Widzisz sam. Powiadają ludzie?... Hm... Czy widzieli...

Patrzył na Staszka, jakby się chciał dowiedzieć czy go przekonał.

— To, że łaski nie potrzebuję,... moja zasługa. Nie narzucam się nikomu bo nie chcę. Wolę nic nie mieć, aniżeli być winnym wdzięczność...

Widząc atoli, że synowiec nie zważa na to, rozmowę zmienił.

— Jakże u siebie? Pełki słyszę folwark — złote jabłko... Ziemia czarna jak smoła... Powodzi się? Co?...

— Pełki już nie moje...

— Jakże bo? Kupiłeś co innego? Rodzic uzbierał tam może — dopytywał się gorąco stryj.

— Straciliśmy wszystko... Jadę teraz do Warszawy, aby się na palestranta promować.

Ręce załamał stary.

— Nie może być! Nie może być!

Staszek opowiedział mu bieg interesów, które go skłoniły do poddania się radzie Sabinki.

— Ależ to nieszczęście... Zgroza... Horrendum — wołał stryj zaniepokojony. — Ino nie myśl, byś odemnie co zyskał. Goły jestem jak turecki święty. Nie dam nic bo nie mam... Nie dam! Nie mogę...

— Nie proszę i prosić stryja nie będę — odparł sprzątając wieczerzę Staszek. — A chociaż wiem, że stryj pomódz by mógł, bo w możności jest, daję słowo moje, że ani mi w myśli suplika do niego postała...

Na takie dictum pan Bartosz oniemiał. Chrząknął, spuścił głowę, palce wyłamywał, w końcu oburzony zawołał.

— Nagadali ci ludzie bajek, a ty im wierzysz. Jak chcesz zresztą. Złamanego halerza przy duszy nie znajdziesz. Powiadam ci jak jest...

Staszek ramionami tylko wzruszył.

— Niema o czem gadać... Gdy łaska, stryj mi kąt wskaże... Pora by spocząć...

Stękając, mrucząc, niechętnie, z pewnem wahaniem krzyknął na Skubę, słomy pęk nakazał mu przynieść, na której Staszek rozciągnął opończę i zasnął wkrótce twardo.

Pan Bartosz światło wnet zgasił i w przeciwnym końcu na prostym tapczanie się ulokował.

Jak długo spał podstolic, nie możemy określić— aliści zapewnie nie zbyt, bo go rozbudziły dziwne jakieś głosy. Szły one z poza ściany, przy której leżał, a to, co słyszał, dziwem go przejęło.

Rozmowa się toczyła pomiędzy dwojgiem ludzi, z których jeden był stryj Bartosz.

Staszek wsparty na ręku słuchał uważnie.

— Niewinny jestem... Nie wiem nic... Po co mnie męczysz! Długo tak trwać będzie... W spokoju zostaw mnie... Apage satana! — jęczał pan Bartosz żałobnie.

— Tyś prawdziwym szatanem człecze... — dźwięczał głos inny, poważny a surowy — krzywda, którąś wyrządził, o pomstę do Boga woła... Zbrodniarzem jesteś niepoprawnym, gorszym od dzikiego zwierza... Podłą masz duszę, nikczemnością żyjesz, która bodaj cię zgubiła...

— Fałsz... Nieprawda... Kłamstwo! — bronił się Bartosz.

— Tak samo, jakieś ty uczciwy. I potrzebaż ci krzywdy sierocej? Mało jeszcze nagromadził ci do bytku... Redde quod debes! wołam do ciebie nikczemniku, w imię władzy, którą mi suknia nadaje...

— W spokoju mnie ostaw!

— Nie! Głosem jestem krzywdy bliźniego, głosem pomsty bożej... Do skruchy cię wzywam i po-

kuty... Upamiętaj się zapamiętały w grzechu człowiecze, albowiem czas jeszcze...

— Niewinnym! — powtarzał pan Bartosz głosem błagalnym. — Okoliczności złożyły się dziwnie...

— Nie kłam obłudny... Grzech ci serce w skałę przetworzył! Redde quod debes wołam, zanim, gdzieindziej rachunek zdać ze spraw niecnych staniesz.

Więcej rozróżnić nie mógł podstolic — rozmawiający zniżyli głosy, słyszał tylko jęki stryja i wciąż gromiący ton przeciwnika.

— Co się to znaczy? Co to jest? — zapytywał sam siebie.

Sen go odbiegł; złowrogie uczucie nim owładło. W posłyszanej rozmowie jawnie widział sprawę jakąś nieuczciwą, której był przyczyną stryj rodzony.

Wzdrygnął się mimowoli — przeżegnał.

Różnorodne myśli tłoczyły mu się do głowy gromadnie... mięszały wytwarzając najróżnorodniejsze widziadła. Ledwie zbudził się znowu, zastał już stryja krzątającego się po komnatce. Pożegnał go krótko — wnet odjechał nie zyskawszy nawet życzliwego słowa.

— Szczerze ci mówię, nie rachuj na mnie — dc mawiał pan Bartosz na ostatku. — I Salomon z próżnego nie naleje dzbana... Ludziom nie wierz, bo jedno kłamią a poduszczają... Ja niemam nic...

V.

Rad był niezmiernie podstolic, że się misyi tak nieprzyjemnej pozbył. Gościna u stryja Bartosza dała mu się we znaki i wrażenie smutne sprawiła; osobliwie zaś rozmowa tajemnicza, którą w nocy słyszał.

— Człek bez serca, skała, jak powiadał stary Tomasz — mówił sam do siebie — odrodził się od braci, ani w nim poznać Trzcińskiego.

Podróż do Warszawy była długa i mozolna. Upały czyniły ją jeszcze przykrzejszą, konie zaledwie nogami powłóczyły. Nazajutrz po wyjeździe od stryja, zajechał Staszek na noc do karczmy przydrożnej. Budynek nieosobliwie się przedstawiał, jak ze względu struktury tak trwałości; a i wewnątrz nie znalazłbyś nic takiego, coby podróżnemu obiecywało wygodny spoczynek, lub posiłek dostatni. Atoli utrudzenie swoje prawo ma, Staszek postanowił zanocować.

Gdy wózek przed wjazd się zatoczył, wybiegł naprzeciw żyd Aaron, gospodarz na owej tabernie, zapraszając do siebie. Obiecywał wygody wszelkie, jak zwykle każdy karczmarz, aby tylko co mógł utargować.

— Skorom stanął, nie potrzebujesz mnie żydzie zapraszać — rzekł opędzając się natrętowi. — Przygotuj ino dla mnie izbę i dawaj, co masz jeść...

Wszedł do karczmy, za nim żyd człapiąc pantoflami.

Okazało się po bliższem rozejrzeniu, że uczciwego kąta w całej budowli nie było; Aaron chciał własną izbinę odstąpić gościowi, ale brud, niechluj-

stwo i odór, który tam panował, stanowczo zniechęciły Staszka.

— Nocować nie będę — zamknął gębę żydowi. — Jaj mi usmaż i gorzałki daj niezwłócząc.

Skrzywiwszy się Aaron poszedł wypełnić polecenie.

W oczekiwaniu siadł podstolic na ławie.

Izba karczemna była wielka, z pułapem dziurawym, przez który strzechę można było oglądać — w pośrodku niej stał stół, ławy pod ścianami, naprzeciw wchodu szynkwas otoczony rodzajem sztachet drewnianych, za którym siedziała brzydka, jak noc, stara żydówka, robiąc na drutach pończochę... Przed nią stały miarki blaszane, flaszki z gorzałką, chleb leżał czarny i krajanki zeschłego sera. Na gościa nie zwracała uwagi, jak gdyby go wcale nie było...

Milczenie w izbie przerwało wejście nowego gościa, który się dziwnie zaprezentował: wtoczył się do wnętrza posuwisto, z czapką wytartą na głowie do góry podniesionej, okolonej strzępami włosów białych — w odzieży obdartej, połatanej, brudnej, wskazującej rozpaczliwą nędzę.

Wiek go znać złamał, nagarbił ramiona, zorał twarz w zmarszczki — ale przy tem fantacyę zachował i animusz pokaźny. Wzrost miał średni, krok zdradzał niepewność, skutkiem wieku, czy też życia niewstrzemięźliwego, które mu twarz zeszpeciło purpurowym rumieńcem i obrzmiałością wstrętną. Wejrzenie miał śmiałe, dumne, uśmiech na ustach zgryźliwy — wąsiska do góry zakręcał, fantazyi sobie dodając.

— Dawaj gorzałki, psiajucho — krzyknął, stanąwszy przed szynkwasem, rzuciwszy garść pieniążków drobnych.

Żydówka, milcząc, odmierzyła mu żądanego napoju, siadła potem napowrót, wziąwszy się do roboty.

Przybyły tęgi chaust z miarki pociągnął, splunął, otarł wąsy i chlebem zagryzł.

— Aaron gdzie? — spytał krótko.

— Gdzie ma być? — odparła żydówka. — Doma jest...

— Cóż u was? Pusto... głucho... Lepiejby wam tę budę spalić, bo nic z niej nie macie... Pies nie zajrzy... Ja jeden tylko... Ha! ha! Stały gość...

Roześmiał się dziwnie jakoś.

— Stały gość... — powtórzył przemilczawszy — bo indziej takich nie przyjmują... Póki grosz w kalecie był, a ziemi kęs, a dach własny... drzwi wszędzie otworem, dziś — fora ze dwora... Tak się zawdy dzieje...

Splunął.

— Hej... dawaj mi gorzałki niecnoto! — wrzasnął nagle pięścią w stół waląc. — Dawaj wnet, bo mnie robak gryzie... Zalać go! Zatruć! Kąsa, szarpie, doskwiera, człek ledwie nie oszaleje...

Z kieszeni wytrząsł groszaków kilka i znowu się napił gorzałki.

— Nędzne życie... nie warto mruknął, znowu siadając. — Sprawiedliwości niema... człek niepewny własnej koszuli... Stare lata, włos siwy, a jak zwierzę musi się tłuc, bo dachu niema... A miałem ci ja, miałem — jedno mi ten niecnota wydarł, bo daj go piorun trzasł!!

Machnął ręką i naświstywać coś począł.

Staszek przyglądał mu się z ciekawością. Sta-

ry wzbudzał w nim mimowolnie politowanie... — Wstał tedy i zbliżył się do niego.

— Waszmość tutejszy? — zapytał.

Nowoprzybyły nagle zagabnięty, oczy rozwarł.

— A waszmości co do tego? — odparł rezolutnie. — Myślisz, że odzież dziurawa, to każdemu kpić wolno? W drogę nie wchodzę nikomu...

— Suplikuję pokornie o przebaczenie, jeżelim waszmość pana obraził... Przejezdny jestem... na popas stanąłem tutaj, a że gęby do nikogo otworzyć nie mam, chciałbym z waszmością pogawędzić. Gdy zaś łaska — na wieczerzę proszę...

Szlachcic zmierzył go oczyma, spuścił z tonu.

— Ano... to co innego. Myślałem, że waść drwinkujesz... Ja bo choć prawie żebrak, ale bene natus! Byłem ci i posesionatus... nie tak jak dziś... Miało się i ziemię własną i szkatułę niepustą... teraz goły człek jak bizun...

— Nieszczęście jakie? — zagabnął Staszek.

— Cóżby innego? Krzywda mi się stała... — Łotr sąsiad do nitki mnie obdarł, procesem z chaty wypędził i na nędzarza wykierował... Włóczę się teraz z kąta w kąt, zmiłowania bożego czekając... Aby do grobu prędzej, aby zdechnąć... Takie życie nicpotem...

— A gdy mnie waszmość traktować masz — daj gorzałki! Trunek wyborny bo pamięć zalewa... Ha! ha! Człek się spije i zasypia.

Staszek na żydówkę kiwnął, by miarkę nalała.

— Nie takim był dawniej... O Witeckich słyszałeś waszmość? Pieczętujemy się Toporem. Ród uczciwy i znaczny. Ano... cóż z tego? Dzisiaj-em zszedł jak widzisz. Łachmany i kij... Wstyd powiesz? Nieprawda! Fortunę mi wydarto z rąk. Com miał zrobić?

Aaron tymczasem przyniósł jajecznicę, do której podstolic szlachcica zaprosił.

Ten powtarzać sobie nie dał: siadł i zmiatał jadło, aż mu się uszy trzęsły, zakrapiając co i raz gorzałką.

— Waszmość znać człek jesteś do rzeczy — rzekł otarszy usta ledwie się na nogach trzymając. — Powiem ci tedy... żeś mi się podobał! Jak mi Bóg miły podobałeś mi się... I racyję miałeś, żeś jeść dał, bom głodny był setnie... Witecki głodny? Słyszaneż to rzeczy? Ha! ha...

Przekręcił czapki na ucho, tupnął i zanucił z fantazyą:

Miałem ci dwór malowany
I groszy nielada...

— Co chcesz?... — prawił skończywszy. — Bywają wypadki! Zawdym się jednak ostał Witeckim i kwita... Goły ale nie łajdak... On co inszego... Łotr! Zdzierca... Niecnota! Bogdajby mu moja krzywda bokiem wylazła...

— Więc krzywdy waszmość doznałeś? — wtrącił podstolic.

— Masz wiedzieć, że tak było. Wszystko mi wydarł... wszystko. Z rodzinnego zagona iść mu siałem ot, jak stoję... I dziecko jedyne dzisiaj tuła się po świecie, Bóg wie gdzie! Anom niewinny. — Broniłem się jak mogłem...

— Żydzie parszywy gorzałki, bo ubiję! — wrzasnął przerywając i do szynkwasu się posunął.

Staszek na Aarona kiwnął, aby nie odmawiał — wypił stary znowu, co go do reszty rozmarzyło.

— Ano, darować mu tego nie daruję... Przyjdzie czas! I Bóg mu nie daruje... Witecki nie kiep by po nosie dał sobie grać komu...

Język począł mu się plątać — wreszcie napój

go zmógł, usnął stary na ręku wsparty na stole.

Chciał Aarona wypytać podstolic, kto zacz on szlachcic, ale właśnie w tej chwili nowi podróżni stanęli przed karczmą.

Zajechali dworno, ludno — kolasa wygodna na pasach, wozy dwa ładowne, prócz tego konno czterech szlachciców. Aaron zgięty pokornie, szwargotem głośnym jął zapraszać do wstępu, obiecując spoczynek wygodny i stateczny, tak samo jak podstolicowi...

— Jabym radził, aby dalej jechać — ozwał się jeden z konnych. — Pani podkomorzyna nie nawykła do podobnych spoczynków... Karczmę tę znam — żyd łże, aż się za nim kurzy...

— Nocować wszak nie myślę, kochany rotmistrzu — odparł miły do srebrnego dźwięku podobny głosik z wnętrza kolasy. — A spocząć chwilę choćby pod gołem niebem, bobym chyba z głodu umarła.

Zaczem lekko niby piórko wyskoczyła z kolasy, wspierając się na ramieniu szlachcica, który z pośpiechem je ofiarował. Aaron tymczasem łuczywo rozpalił i krzątał się po karczmie.

Wkrótce podróżni weszli do izby karczemnej.

Podstolic ciekawie patrzył we drzwi, a obaczywszy wchodzącą niewiastę słupem stanął...

Byłaż bo doprawdy niepospolitej piękności... Średni wzrost miała, twarz owalną, bieluchną, niby alabaster, o rysach tak delikatnych i harmonijnych, że niepodobna było wymarzyć coś doskonalszego. Pod czołem tkwiła para oczęt jak tajemnica czarnych, okolonych szerokiem pasmem brwi, lśniących jedwabisto. W onych oczętach błyskał istny żar, przeszywający każdą pierś do głębi. Rzęsa długa rysowała się na białych powiekach, poruszając co

i raz leciuchno, niby za powiewem wietrzyka... Nosek zgrabniutki, nieco greckiej struktury, nozdrza miał różowe, szybko falujące — pod nim usteczka wyrzeźbiła natura do malin soczystych podobne, a jakby wzywając, aby je całować i całować bez końca. Całość tej twarzy wydawała się na pierwsze wejrzenie dziecięcą, naiwną, ulotną... rzekłbyś — oczki czarne pani podkomorzyny Iłowieckiej patrzyły jeno na jasne widoki... że żyła tylko uśmiechami i wszelką radością, jakiej może dostarczyć świat. Atoli wrażenie to było chwilowe. Bliższa obserwacya przekonywała, że większa część tej pustoty dziecinne była udaną; że podkomorzyna w istocie nie należała do ulotnych motylów, co z kwiatka na kwiatek jeno przelatują, dobierając z barw kielichów wzoru do swej sukienki i pijąc z nich słodycze same. Często — na twarzy jej osiadał wyraz znużenia, tęsknoty... można też było usłyszeć i lekkie westchnienie, dobywające się z jej piersi. Trwało to atoli krótko i mijało... znać podkomorzyna nie chciała, by ktokolwiek spostrzegał, co się w jej duszy dzieje — bo wnet westchnienie zastępowała śmiechem, a tęsknotę i znużenie figlikiem ocząt, który istnym był lepem na mężczyzn.

To też otaczał ją rój adoratorów, osobliwie zaś od śmierci pana podkomorzego, jej męża. Trza bowiem wiedzieć, że wydano ją za mąż nader młodo, za pana Onufrego Iłowieckiego, który się niestety śliczną małżonką nie długo nacieszył.

Człek to był starzec, złamany i wiekiem i zbytnio hulaszczem życiem, zmarł w pół lata po ożenieniu na dychawicę, pozostawiając wdowie prócz żałoby, piękną fortunę w ziemi i gotowiźnie.

Domyśleć się łacno, że maryjaż ten sklecony

został pod przymusem rodzicielskim, podkomorzyna tedy wielce się śmiercią męża nie troskała.

Samą zostawszy do Warszawy się przeniosła, gdzie na Marywilu pałacyk nabyła i tam prawie ciągle mieszkała, nadto robiąc wycieczki do folwarków własnych.

Z pomiędzy licznych adoratorów podkomorzyny, zaznajomimy czytelnika z czterema, którzy jej właśnie w obecnej towarzyszyli podróży. Na pierwszym zaś planie postawimy pana Sebastyana Ratuła, tytułowanego rotmistrzem, któremu podkomorzyna osobliwiej na pozór sprzyjała. Był to nie pierwszej daty człek; dzielnie się przecież trzymał, a bywalec — tedy szarmancko i z fantazyą się prezentował. Młodość przepędził na koniu i z szablą, znać to było trochę, szczególniej gdy sobie podchmielił. Zaznawszy podkomorzynę, stał się prawie jej cieniem. Od trzech lat nie odstępował pięknej wdowy, pewnym będąc, że statek wyjedna mu jej rękę.

Za tym szedł pan Łazicki, średnich lat, szlachcic otwarty, szczery, który również jak pan rotmistrz za podkomorzynę dałby się porąbać. Trzecim był Otocki Jan, młodzik, zaledwie dwadzieścia cztery lat liczący — sztuka zarozumiała i odęta, który w możność swą dufał, a którego wdówka lekceważyła jawnie, czego biedak nie widział, uważając jej żarty za sympatyę i względy. Nakoniec cześnik Jacymirski, dobrze podtatusiały, pono więcej do kielicha, aniżeli do zalotów stworzony, goły jak turecki święty, na fortunę więcej, aniżeli na serce podkomorzyny dybał...

Podkomorzyna zoczywszy Staszka, zatrzymała się i lekko krzyknęła, nie spodziewając widzieć kogobądź w karczmie.

— A! myśmy tu nie pierwsi — zawołała po

chwili i nagle wybuchła serdecznym śmiechem.

Śmiech ten miał swoją racyę — Staszek bowiem zapatrzony w piękną wdówkę, miał ta ogłupiałą minę, że niepodobna było jej zbyć obojętnie.

Spostrzegłszy obcego, towarzysze podkomorzyny skrzywili twarze — rotmistrz zaś aż mruknął rodzajem przekleństwa.

Zmięszał się tem Staszek, cofnął, kłaniając niezgrabnie.

— Przebacz waszmość — rzekła zmieniając ton wdówka, — aleś patrzył na mnie takim wzrokiem, jak gdybyś pierwszy raz ludzi widział...

— Z kimże mam honor? — zapytała nagle po chwili.

Prezentował jej się Staszek ochłonąwszy z wrażenia, wszakże pod wpływem błyskawic czarnych oczu zostając.

Towarzysze wdowy równąż odpowiedzieli prezencyją.

— Trzciński... Trzciński... — mruczał Jacymirski. — Znałem niejednego z tem nazwiskiem.

— Waszmość tutejszy? — indagowała dalej, zrzucając ubranie podróżne.

— Podróżny, pani podkomorzyno dobrodziejko — odparł młodzian. — Z musu wstąpiłem do tej kleci, bo podróż odbywam daleką.

— Wolnoż spytać gdzie?

—Tajemnicy nie mam żadnej... Do Warszawy jadę.

— Zapewne do krewnych? — nie przestawała wdówka.

— Nie, pani podkomorzyno łaskawa... Krewnych w Warszawie żadnych nie mam. A jadę... z musu. Kawałka chleba szukam...

Towarzysze podkomorzyny spojrzeli po sobie.

— W każdym razie pozwolisz waszmość, że go do kompanii naszej zaproszę. Mam nadzieję, że znajomość nasza dopiero się rozpoczęła... Skoro waszmość zamierzasz, jak sądzę, stale zamieszkać w Warszawie, proszę nie zapominać o mnie.

— Za wielki splendor poczytuję sobie to zaproszenie — odparł Staszek z głębokim ukłonem.

Rotmistrz na słowa te się zżymnął.

— Licho nadało przybłędę... — bąknął półgłosem do Jacymirskiego. — Już bo nasza podkomorzyna nadto popularna... Złote serce, ale... wyrachowania brak!

Ramionami ruszył.

Jacymirski tylko łbem ogromnym kiwnął.

— Trzcińscy rodu zacnego — dodał również cicho.

— Zacnego, niezacnego! — fuknął rotmistrz. — Zresztą nie znając, sądzić nie mogę.

Tymczasem służba pani Iłowieckiej rozpakowała zapasy podróżne i zastawiła na stole karczemnym wcale pańską wieczerzę. Nie brakło tam i przekąsek i napojów orzeźwiających.

Przy biesiadzie, zakrapianej często winem, którego zapas miała podkomorzyna dostatni — ożywiły się twarze, tembardziej, że wdówka sama w niezrównanym była humorze.

Ceremonii żadnych nierobiła... za kielich imała tak śmiało jak mężczyźni, a żarty jej się z ust sypały takie, że nawet najwięcej smutnego rozruszać musiały.

Staszek podziwiał niezwykłą tę kobietę.

Szlachta na wyścigi przymilała się podkomorzynie — sadzono się na galanteryę, która dla obojętnego widza musiała się wydać conajmniej śmiesz-

ną... Jeden przez drugiego komplimenta palił, ścigał wzrokiem wszelki ruch wdówki, aby życzenie jej odgadnąć i takowe spełnić... Jeno podstoli bezczynnie siedział, jakby odurzony widokiem pięknej wdowy.

— Waszmość znasz Warszawę? — zapytała go nagle przerzucając rozmowę z innego przedmiotu.

— Przyznam się pani podkomorzynie, że... wcale.

— Jakto? Nie byłeś ani razu?

— Ani razu.

— Strzeż się waszmość — rzekła grożąc mu na wpół poważnie. — W Warszawie dużo pięknych twarzyczek... Na wodzy serce trzymaj, bo ci gotowa która pochwycić.

Staszek w ponsie stanął.

— Nie obawiam się o to — odparł niepewnym głosem.

— Ho! ho! Waszmość nielada śmiałek — zawołał rotmistrz. — My bo wszyscy, jak tu jesteśmy nie możemy się tem pochwalić...

I westchnął, oczy przewróciwszy.

— Z ciebie, mój rotmistrzu, jedno bałamut a galant... Dużo mówisz, a prawdy w tem niewiele — przerwała ze śmiechem Iłowiecka. — A waszmości panie Trzciński, dopowiem — zwróciła się ku Staszkowi, — żeś istotnie nazbyt śmiały... Serce nie kamień, a... każda Marta ściągnie swego Gotarta..

— Oj! ściągnie! ściągnie! — mruknął Łazicki.

— Temu nie oponuję — ozwał się Staszek — ale niech pani podkomorzyna zważa na to, że ani myśleć o pięknych twarzyczkach nie mogę... Gdzież temu miłostki w głowie, kto w pocie czoła na chleb pracować musi...

— Skromniś z waszmości! — rzuciła mu podkomorzyna z dziwnem spojrzeniem.

— Szlachcic kuty na wszystkie cztery nogi — szepnął do rotmistrza Otocki.

— A może pewnym jesteś waszmość, dlatego, że masz serce już zajęte? — ciągnęła wdówka nie spuszczając wzroku ze Staszka. — Przyznaj się?

— Zaręczyć mogę, że tak nie jest! — odparł ten pośpiesznie, sam nie wiedząc co mówi.

— Bierz przykład rotmistrzu z pana podstolica — zawołała Iłowiecka. — To mi wzór młodzieży Po dziś dzień skromny jak panienka... Nie tak jak ty, coś w tym wieku tysiącom serce ofiarował...

— Ależ pani podkomorzyno — oburzył się rotmistrz.

— Już bo nie praw waszmość. Że tak było, sam wspominałeś nieraz... Straszny z ciebie człowiek..

— Ha! ha! rotmistrzu... masz za swoje! — zaśmiał się Otocki.

Rotmistrz ino wąsy obiedwiema garściami pogładził.

— Mówiąc prawdę — rzekł, słodki umizg ku podkomorzynie posyłając — szczęście się miało do niewiast... Aliści to minęło... Dziś mi wszystko obojętne... okrom...

Niedokończywszy, znacząco na wdówkę spojrzał...

— Do mnie pijesz rotmistrzu; wiedz przecie, że znamy się na tem! — odparła wdowa. — Głowę schylam przed twoją taktyką w sztuce podbijania serc, sama jednak... mimo zaręczeń nie wierzę...

— Wolne żarty, dobrodziejko moja! — westchnął rotmistrz.

— Wolne nie wolne — zakonkludowała podkomorzyna wstając. — Ano... miło nam w towarzy-

stwie tak grzecznego kawalera, jakim jest pan podstolic, czas spędzać, aliści czas leci... a podróż mamy daleką... Spodziewam się przecież, że podstolic raczy zachować mnie w pamięci i w Warszawie odwiedzi samotnicę...

Mówiąc to, przeciągłe rzuciła na Staszka spojrzenie.

Bąknął coś w rodzaju podziękowania Staszek.

— Na Marywilu mieszkam — dodała podkomorzyna — każdy mu dom mój wskaże. Zatem... do widzenia!

I białą rączkę mu podała.

Rad nierad pocałował Staszek tę rzeźbioną dłoń wdówki, przyczem po uszy w ogniach stanął. O mało nie upadł, gdy głowę podniósł, tak go ten pocałunek wzburzył.

Zauważyli to rotmistrz i Otocki. — Pierwszy brwi nasrożył, drugi aż się szarpnął coś zagadawszy do siebie oburkliwie.

Nie zwlekając odjechała podkomorzyna — Staszek sam w izbie karczemnej pozostał.

Siedział na ławie młodzian oszołomiony — jakoby pijany nawałem dziwnych uczuć, które nim owładły.

— Niepospolita niewiasta! — powtarzał od czasu do czasu pocierając czoło. — Niepospolita!

Byłby Bóg wie jak długo przesiedział, myśląc o pięknej Wdówce, gdyby nie on Witecki, który się nareszcie przebudził.

W ciągu powyższej rozmowy spał twardo na uboczu nie trwożony przez podkomorzynę i jej towarzyszy.

— Ki licho — mruczał oczy trąc — ponom się zdrzemnął setnie... Ano... póty szczęścia — póki snu...

Splunął i rozglądnął się dokoła.

— Aaron! niecnoto niewierny, gorzałki mi zburguj, bo denara przy duszy nie mam!! — zawołał szperając po kieszeniach. Znaj ktom ja... Witeckich znają wszyscy...

— Niech jegomość spać idą — burknął żyd, kiwając się w kącie nad księgą jakąś, którą przy łuczywie rozłożył. — Aaron dla jegomościa gorzałki dziś nie ma ta i kwita...

— Sobaka — żyd! — zaklął stary, przekręcając czapkę na głowie. Bodaj cię robaki stoczyły... Małoś mnie okradał, gdym na swoim folwarku siedział... Poczekaj niecnoto jeden... będziesz ty mnie jeszcze ręce i nogi lizał... Będziesz! Z Witeckim niezawsze tak jak dziś bywało... I będzie inaczej...

Na Staszka patrzył z pod oka — ale go znać sobie nie przypominał, a zaczepiać nie śmiał.

— Ano... niech cię tam kat spali! — zawołał po chwili. Żyd żydem zostanie zawdy... Poczekaj... obaczysz jako ci się odwdzięczę... Byłem tego łotra wziął, co mi krwawicę wydarł... Obaczysz!

Staszek z politowaniem patrzył na starca.

— Ani nogą tu nie postanę — mruczał ten, ku drzwiom zmierzając. — Ani nogą! Co żyd to podlec... Taki sam jak i on... ten... Bartłomiejek...

W boki się wsparł i wyszedł naśpiewując:

— Miałem ci dwór malowany...

VI.

Całą drogę przed oczyma podstolica stała piękna wdówka, przeszywając go czarnym wzrokiem, w którym jakoby czytał sympatyę dla siebie.

— Niepospolita niewiasta! — mruczał do siebie. — Jeszczem podobnej nie widział...

I starał się odpędzić precz tę marę, to po stronach patrząc, to zawiązując rozmowę z powożącym chłopkiem; aliści nie poradził nic, bo uporczywie w oczy mu się cisnęła, tłocząc do głowy dziwne myśli i ogarniając piersi nieznanem uczuciem.

Nic zresztą dziwnego nie było, że podkomorzyna zajęła naszego Staszka. Chłopak dotąd przy ojcu siadywał, ze światem prawie wcale nie był obytym, kobiet nie znał, nie widując ich wiele; łacno tedy młoda, piękna, wesoła a lubiąca kokieteryę wdówka, zapruszyła mu głowę.

— Do widzenia! — brzmiał mu wciąż w uszach dźwięczny głosik. — Spodziewam się, że waszmość mnie nie zapomnisz...

Kręcił się na wózku Staszek, chrząkał, mrucząc do siebie, ręką przed oczyma machał, żegnał się wreszcie i plwał od czasu do czasu.

Dopiero gdy wjeżdżał do stolicy, mara pierzchła — inne go zajęły myśli.

— Więc to Warszawa!! — szepnął, jak gdyby sam objaśniając siebie — i z chciwością zagarniał wzrokiem gromadę to skupionych, to rozrzuconych budowli, z których jedne do ziemi przycupnęły, inne strzelały wysoko w górę, inne znowu rozsiadały się szeroko.

Z rozwartemi oczyma patrzył Staszek dokoła, co chwila wyrywał mu się z piersi okrzyk podzi-

wu. Krzyże pod nam miastem panujące, gwar, turkot, różnolity, pstrokaty strój, nakrapiany odcieniem cudzoziemczyzny, wijący się w rozmaitych kierunkach jak rój mrówek — dostarczał mu coraz nowego do podziwu materyału.

— Istny odmęt! — szepnął. — To Warszawa?.. Niechże ją!!

Z trudnością, dopytując się ludzi, na ulicę Piwną trafił kędy pan mecenas Nabierczyński mieszkał; atoli zoryentował się wczas, że nijako przedsawiać się człekowi statecznemu i nieznanemu w podróżnym ubiorze, co mogłoby tego naprowadzić na domysł, że klient lekceważy go, lub oleju w głowie ma zamało. Zawrócił tedy do gospody, którą mu przechodzień łaskawie wskazał.

W gospodzie wielką miał biedę z żydami faktorami, którzy go jak szarańcza opadli ofiarując usługi. Odegnał ich Staszek z ledwością, dziwiąc się niezwykłej śmiałości.

Przebrawszy się i otrząsnąwszy z drogi, wyszedł z najętej izdebki.

Nabierczyński mieszkał na piętrze, na które prowadziły wązkie i niezbyt jasne schody. Do wnętrza mieszkania wszedłszy, znalazł się Staszek w obszernej izbie, trzema oświeconej oknami, w której sześciu młodych ludzi siedziało, każdy przy stole zarzuconym gromadą fascykułów. Wszyscy z ciekawością na przybyłego spojrzeli, jeden zaś powstał i grzecznie się skłoniwszy pytał:

— Czego waszmość dobrodziej sobie życzy?

— Tu mieszka pan mecenas Nabierczyński?— rzucił Staszek, odpowiadając również przystojnie na ukłon.

— Tu. Waszmość zapewne należysz do naszych

klientów? — prowadził inkwizycyę młody człowiek.

— Dotąd nie. Chciałbym się właśnie z nim widzieć i proszę waszmość pana aby — gdy to jest możliwe — raczył mnie oznajmić panu mecenasowi.

Młodzież szepnęła coś do siebie, — ten zaś, który ze Staszkiem rozmowę prowadził głową kiwnął i wyszedł do sąsiedniej izby, skąd wrócił niebawem.

— Pan mecenas oczekuje... Tędy droga — rzekł.

Wszedł tam Staszek krzepiąc ile mógł onieśmielonego ducha; bowiem czynił dziś krok stanowczy, od którego życie jego zawisło.

Pan mecenas siedział zaczytany w papierach samotny; bystro spojrzał na wchodzącego, powstał i szedł ku niemu.

Niepozorna figurka jurysty, zawiodła Staszka. Przedstawiał sobie mecenasa, jako męża poważnej statury; znalazł tymczasem małego krępego człowieczynę, z głową wielką, pół łysą, czołem wysokiem, ruchliwego, szybkiego jak w ruchach tak w mowie, którego twarz skrzywiona i oczy pochmurne, nie wywierały sympatyi na ludzi. Ubiór miał na sobie skromny, kontusz słomianej barwy, żupan pod nim biały, zaplamiony, pas bogatszy nieco i za rękawy ceratowe, ochraniające kontusz od inkaustu.

— Kogóż mam honor witać? — zapytał sucho, mierząc wzrokiem Staszka.

— Prezentuję się panu mecenasowi i służby składam powolne — odparł Staszek. — Trzciński jestem; ośmielony rekomendacyą pana Sabinki, przychodzę polecić się względom mecenasa.

Nabierczyński po czole się uderzył.

— A! A! Pamiętam... Wiem! Sabinka dono-

sił mi o waszmości. Masz pono zamiar poświęcić się jurysprudencyi...

— Tak mi Sabinka poradził.

— Siadajże waszmość, panie Stanisławie, bo wiem z listu starego przyjaciela, że takie imię nosisz. Zatem natura ci sama wskazała pracę na polu statutów? — począł mecenas zakładając ręce na piersiach. — Uczciwa praca... szlachetna — a dla chcącego pracować intratna... Jedno trza się przykładać szczerze... To grunt...

Chrząknął i nie dając odpowiedzieć Staszkowi dalej ciągnął.

— Pisał mi Sabinka, żeś waszmość szlachcic corde et anima... To bardzo dobrze! Bardzo dobrze! Bieda cię tknęła... nieszczęście... Nie zważaj na to! Ofiarować Panu Bogu i do pracy się wziąść... Wiem również od Sabinki, żeś uczciwy i charakter masz... I to bene! Ale pamiętaj, że: factiosus curatur multis, timetur a plurimis et est amore ore et est amore ore et refortoir... Zważ również na to — że każdy początek trudny. Nie należy się jednak tem zrażać. Jak w życiu tak i we wszystkiem musimy od a. b. c. zaczynać. Z początku łeb zda się za ciasny... sił człowiekowi brak... powoli jednak trudności się przełamują i bellum wygrana. Mam nadzieję, że waszmość uwagi moje do serca weźmiesz i stosować się będziesz do nich...

— Postaram się o to — odparł Staszek.

— Stanąłeś pewnie w gospodzie? — zapytał nagle mecenas. — Znajomości ani krewnych żadnych tu nie masz?... Ano... Szkoda pieniędzy tylko, w któreś wiem — nie zasobny. Zaznajomię cię z kolegami, z którymi będziesz pracował, a potem sprowadzaj się i lokuj już na stałe, boć mniemam żeś zamiarów nie zmienił!

To rzekłszy wziął pod rękę zmięszanego tą bystrością umysłu i szybkiemi zwrotami mowy młodzieńca i do kancelaryi wprowadził.

— Przedstawiam waszmościom nowicyusza jurystę, który będzie miał zaszczyt od dnia dzisiejszego dzielić z wami pracę. Podstolic Stanisław Trzciński... Upraszam o respekt dla niego, na czem sądzę, że się nie omylę, jak również na tem: że waszmościowie będziecie mu braćmi tak, jako się należy. Panie Kapociński, waszmości mentora urząd na tymczasem przypada — zwrócił się do najstarszego. — Obznajmiaj waszmość nowicyusza ze wszystkiem z czem należy, a najprzód pomóż mu do sprowadzenia się tu, bo biedak aż w gospodzie stanął.

Po tej przemowie ścisnął za rękę Staszka i wyszedł.

Wszystko to stało się tak nagle, że podstolic nie mógł zebrać myśli. Stał w pośrodku izby nie wiedząc co ma z sobą robić i gdzie się podziać...

Wyprowadził go z kłopotu Kapociński, który pierwszy się do niego przysunął i podając rękę rzekł:

— Witamy cię kolego, boć przecież pozwolisz się tak nazywać i szczęścia życzymy na nowo obranej drodze. Minę masz niczego i znać, żeś tęgi chłop. Spodziewam się, że poznawszy bliżej, pokochamy cię serdecznie.

Poczem zaznajomił Staszka z resztą towarzyszy.

— Najprzód atoli musimy się tu przetranslokować, jak dysponował nasz chlebodawca — prawił Kapociński. — Racyę ma mecenas... w gospodach obdzierają trach jak! — Ani się oberzysz jak cię złupią porządnie. Nie wiem jak tam waszmość fi-

nansowo stoisz, wszelako grosz ci się zda zawsze... Chociażbyś na "wkupne", które bratku musisz opłacić jak każdy, n. b. jeżeli cię stać na to...

Uśmiechnął się na to Staszek; o "wkupnem" uprzedził go Sabinka, — z chęcią tedy zaprosił kolegów na onę ceremonię, z góry zdając kierownictwo Kapocińskiemu, bo sam nie wiedział gdzie się ma obrócić.

W parę godzin przy pomocy kolegi przeniósł się do mecenasa i rozlokował na dobre. Towarzysze pomagali mu chętnie, osobliwie zaś Kapociński, do którego nasz nowokreowany jurysta osobliwą poczuł przyjaźń.

— Ano... panie bracie — rzekł do niego, skoro się już znaleźli we wspólnej kwaterze — przebaczysz mi, że będę otwartym. Obyczaj u nas taki — że każdy nowicyusz musi się okupywać jak może, wchodząc do naszego grona, inaczej mówiąc... oblać znajomość kielichem i misą. Jak uważałem o tem wiesz, ale czy masz na to?

— Przyznam się waszmości, żem nie zasobny, wszelako na skromną biesiadę dla towarzyszów wystarczę. Nie wiem przecież, jak się wziąć do tego, bo raz, żem nowicyusz nietylko w zawodzie obranym, ale i nadto w Warszawie.

— To nic nie znaczy bratku! — odparł Kapociński. — Skoro grosze są urządzi się wszystko arte... Zdaj się na mnie i dobrze będzie.

Jakoż wieczorem za wiadomością i pozwoleniem mecenasa, znalazł się Staszek wraz z kolegami w winiarni Tchetego, gdzie się miało odbyć ono „wkupne" zarządzone przez Kapocińskiego.

Winiarnia należała do rzędu skromnych, była uczęszczaną po większej części przez młodzież palestrancką. Utrzymywał ją stary Węgier, a choć za-

staw nie dawał pysznych — zważywszy, że skromnem wynagrodzeniem się kontentował, nie okpiwając przytem gości, odbytem się cieszył i klientelą liczną.

Młodzież znajomi się łatwo i serca otwarza wzajem również, byleby jeno assumpt jaki. Więc też nie upłynęło wiele czasu, a już siedmiu kompanów za stołem siedząc winiarnianym, wspólnie gawędziło, jakoby starzy znajomi.

Staszek upodobał sobie ich kompanię, bo w istocie wszyscy prawie w położeniu takiem jak i on byli... Niezasobni, dotknięci biedą lub zbiegiem nieprzyjaznych okoliczności — zarabiali na kawałek chleba jak mogli... Jeden tylko z pomiędzy nich zwrócił uwagę podstolica i zraził go nieco... Był to młodzik pod wąsem, buńczuczny i nadęty, starający się zwrócić uwagę każdego dumnym wyrazem twarzy i przesadną układnością, która czyniła go śmiesznym. Zwał się Bożęcki, a tytułował sędzicem, bo pono urząd sędziego rodzic jego piastował. Ten z góry Staszka traktował, głowy zadzierał do góry, chcąc się wyższym nad innych okazać.

— Tandem, miły nasz panie Stanisławie — zagaił Kapociński, skoro po obfitej wieczerzy kubki brzękły i animusz się ożywił — przysłowie powiada: że „gdy wejdziesz między wrony, krakać musisz jak i one...” I ty stosować się do tej reguły zechciej. My tu wszyscy — jako nas widzisz, znamy się dobrze i trzymamy się kupy jako tako... Chcąc zawrzeć ściślejszy sojusz, winieneś się dać poznać dla tej choćby racyi, że znając człowieka łacniej go i serdeczniej można uścisnąć...

— Przyznaję waszmości słuszność co do ostatniego sensum, ale żądanie spełna nie rozumiem.

— Mówiąc wprost... jeżeli ci to nie zrobi przy-

krości, ani też jeżeli nic nie stoi na przeszkodzie, wyspowiadaj się nam z całego żywota. Zkądeś... Co cię tu przygnało? Ca zamyślasz?

— Odpowiem ci pokrótce — odparł Staszek. — Urodzonym w gnieździe uczciwem, chociaż niezamożnem... Rodzic mi zamarł, sierotą pozostawiając i bez grosza prawie... Z porady przyjaciela starego, obecnego mego pryncypała, tu się znajduję, pragnąc na chleb zarabiać uczciwie.

— Ano... tak jak i ja — wesoło zagadał Kapociński, uściskawszy Staszka. — Ba! tak my wszyscy prawie, z wyjątkiem sędzica, który do patrycyuszów się liczy.

— Waszmość zawdy mi przytniesz! — oburknął Bożęcki.

— Bo prawda! — potwierdził Nawrocki, towarzysz Kapocińskiego, młodzian żywy i sympatycznej twarzy. — Ty sędzicu wyglądasz między nami jak srebrny świecznik, przy gromadzie łuczywa smolnego. Dmiesz się możnością swoją i chcesz niejako przewodniczyć, co nieraz... wcale nieprzystojnie wygląda.

— Ot! co tam o tem gadać — przerwał Kapociński. — Zostawmy naszego sędzica w spokoju, a co kto do niego czuje... lepiej niech mu gdzieindziéj powie i przy stosowniejszej okazyi. Nie potośmy się zeszli, aby kłótnię zawodzić.

— Poczciwieś rzekł! — odparł Staszek. — Przykro by mi było, gdyby przy dzisiejszem zebraniu ktoś z nas miał doznać jakowej nieprzyjemności. Nadto mniemam, że kompan nasz, pan Bożęcki, winnym tak nie jest, jak o nim mówicie. Uważam przemówienia wasze za żarty koleżeńskie, nic więcej.

Spojrzał na mówiącego Bożęcki i warg zakąsił...

— Widzę, panie Stanisławie — ozwał się Kapociński, — żeś człowiek rozumny i zacnej myśli. — Szczerze mi wierz, że kocham cię za to... Wracając zasie ad rem — powiem: że nie będziesz żałował swego postanowienia. Chleb palestrancki wcale nie zgorszy. Każdy gdy zechce będzie syt, byleby pracował. Zresztą — nie chwalący — trafiłeś do szkoły nielada. Nabierczyński główka mądra; kto z jego szkoły wyjdzie, dobrze będzie oćwiczony. Prawda, że pracy u niego huk — ale za to człek czasu darmo nie trawi.

— Że pracy nie brak to nie brak! — mruknął jeden.

— Tem ci lepiej — odparł wesoło Staszek.

— A co się znowu nas tyczy... śmiało mogę zapewnić, że kompanów będziesz miał niezłych. Goliaty... płótno w kieszeniach — za to serca uczciwe. Trzymamy się za ręce i dobrze jest!

— Jedno byleś wasze do smaku przypadł jejmości — zauważył Nawrocki.

— Co za jejmości?

— Ano, pani mecenasowej. Ile nasz kochany pryncypał człeczysko z kośćmi poczciwy, tyle jejmość sekutnica i fanaberzystka. Oddaj się Bogu, jeżeli sobie do kogo co upatrzy.

— Oj to prawda! — westchnął ktoś z cicha.

— E, znowu taką złą nie jest — bronił Kapociński.

— Dobrze ci mówić boś w łaskach, ale ja naprzykład... często resztkę, ledwie kości na obiad dostanę i najpośledniejszy zraz.

— Ano... niepotrzebnieś ją obrażał...

— Jakżem obrażał? Że się nie kłaniam pokornie i nie tańczę przed nią jak pudel? Albo że nie fortyuję panny Marty! Mnie to po co!

— Kto w przedpieklu służy, dyabłu świeczkę palić musi — zakonkludował Kapociński.

— Cóż to za jedna owa panna Marta? — zapytał Staszek ciekawie.

— Córka pani mecenasowej, a pasierbica pryncypała. Poznasz ją waszmość sam; uprzedzam z góry jeno, abyś się do niej nie umizgał, bo pan sędzie broni tam przystępu... Kto się podsunie — napewno wyzwie na rękę.

Rozśmieli się wszyscy, — Bożęcki zaś porwawszy się z miejsca, huknął nie na żarty rozgniewany.

— Wypraszam sobie drwin wszelakich.

Na to Kapociński z flegmą.

—Nie masz się waść o co gniewać bom prawdę powiedział. Juści się tego nie zaprzesz...

— Zaprę — nie zaprę, to do rzeczy nie należy, aliści od przyczepek do mnie wara, bom chociaż towarzyszem waszym... po nosie grac swoim nie dam.

— A któżby śmiał!! — rzekł głowę chyląc Kapociński, wrzekomo z wielką ostentacyą.

— Zgoda, panowie towarzysze, pokornie was o to proszę... Lepiej wychylmy stare „kochajmy się". Waśń nie w porę.

Odezwę tę podstolica przyjęto z poklaskiem. Bożęcki mimo pozornego spokoju wrzał z gniewu i wkrótce kompanię opuścił wymawiając się niedyspozycyą.

— Z Panem Bogiem! — rzucił za nim Kapociński, krzyż kreśląc w powietrzu. — Co prawda za-

wadzał nam ten panek odęty. Znosić go musim, bo musim, ale nicpotem jest.

— Ależ boście mu waszmoście srodze dokuczali — perswadował podstolic.

— Wart tego — żywo podchwycił młodziutki Mej. — Zalał on każdemu z nas gorącego zadła za skórę... Cierpieć go musim — trudna rada. Mus!

— Poznasz go panie Stanisławie — dorzucił Kapociński. — Nie obejdzie się bez tego, aby i tobie łatki nie przypiął.

— Jak widzę waszmoście wszyscy go nie lubicie — zauważył podstolic.

— Jest za co — gorąco zawołał Nawrocki. — To intruz między nami... Paw! Oj... gdyby nic to, żem podległy pryncypałowi, i o chleb mi idzie, pokazałbym mu gdzie raki zimują.

— Cóż on wam takiego zrobił?

— Dowiesz się waszmość wszystkiego, poznawszy go bliżej. Sztuczkaż to od samego mostku... a głupiec, a niewarto, a żółtodzióbek...

Głową Kapociński pokiwał.

— Chwała Bogu, że sobie poszedł — przerwał Mej. — Przy nim język na wodzy trza mieć i ze słowem się rachować.

— Niech go tam Bóg kocha... My oto teraz zyskaliśmy poczciwego towarzysza, z czegom rad — więc panowie bracia... nie zawadzi, gdy wypijemy przyszłych jego sukcesów pomyślność.

Wezwanie Kapocińskiego znalazło ochocze potwierdzenie.

— Bodaj mu się wiodło! — zawołała młodzież trącając się kubkami.

VI.

Zdawać by się mogło, że karyera podstolica była już formalnie zapewnioną. On sam nie myślał inaczej i wnet wysłał do poczciwego Sabinki pismo z podziękowaniem, detalicznie przytem opowiadając w niem zarazem, jak znalazł Nabierczyńskiego i nowe otoczenie. Na pismo swoje odebrał wkrótce respons, w którym go Sabinka gorąco zachęcał do wytrwania, przepowiadając świetną przyszłość.

Dziękując za protecye Sabince i chwaląc sobie locum u Nabierczyńskiego, podstolic bynajmniej nie przesadzał. Owszem — jak zajęcie, tak otoczenie przypadło mu do smaku. Sam pryncypał, podwładni jego — z wyjątkiem sędzica — byli to ludzie nader zacni i szczerze polubili Staszka. Co się zaś tyczy pani mecenasowej i panny Domiceli, jej córki, te, chociaż miały fonfry pewne, wszelako podstolic nie zważał na nie, robił co mu kazano, Boga chwaląc.

W nader krótkim czasie potrafił sobie swą skromnością i taktem nawet jejmoście skaptować, tak, że jawnie mu okazywały fawory, czego atoli do serca nie brał i wiele nie ważył.

— Niech cię nie znam, Stachu — mówił pewnego razu Kapociński do podstolica, gdy tego pani mecenasowa prosiła, aby ją i Domicellę na nieszpór odprowadził. — Masz dyable szczęście, skoroś potrafił tak ugłaskać naszą pryncypałowę. Podobnej łaski nawet Bożęcki nie dostąpił, choć około nich więcej się kręci, aniżeli koło fascykułów, a skacze przed niemi — jako najęty tanecznik.

Roześmiał się na to podstolic.

— Śmiej się, czy nie, a ja coś przeczuwam —

prawił dalej Kapociński. — Serdeczny palec dam uciąć, jeżelim się omylił.

— Czegóż się domyślasz, jeżeli wiedzieć wolno?...

— Albo to tylko ja? Wszyscy mają oczy, więc widzą, co się dzieje.

— Powiedz że mi, jakieś łaskaw, bom głupi na to.

Kapociński spojrzał na niego uważnie.

— Czy prawdę mówisz, czy nieświadomego udajesz? — zapytał.

— Bóg świadkiem, że nie udaję — odparł szczerze podstolic.

— Ono bo jasno jak na dłoni, żeś w oczko wpadł Domicelce — zniżając głos rzekł Kapociński.

Staszek podskoczył w miejscu.

— Nie gadaj!! — zawołał.

— Ba! ani wątpić o tem. Jawnie to okazuje. Powiem ci więcej, że jejmość wie o tem i wcale nie protestuje.

— Ale ja o niczem nie wiem — tłómaczył się Staszek, jakby tu o zbrodnię chodziło. — Nie przeczuwałem, nie domyślałem się niczego! Człowieku — tobie się zdaje!

— Niemasz się czego lękać i tłómaczyć — bo najprzód nic w tem złego, żeś pannie w oczko wpadł a powtóre... skoro rodzice aprobują... twoje szczęście...

Przerwał Kapocińskiemu Staszek:

— Miły bracie, zawierz mi, żem temu niewinny i dalipan wcale się z tego nie cieszę.

— Czemu? — zagabnął Kapociński. — Domicelka, prawda, osobliwej piękności nie posiada, ale... pod poduszką sporo będzie miała, co dla każdego chudeusza nie do odrzucenia.

— Chociażby sumy neapolitańskie dawano mi za nią, nie chciałbym. Nie myślę szczęścia kupować za cudze pieniądze, jak żyd. Zresztą nie przyjechałem tu na żeniaczkę.

— Chyba, że upatrzoną już masz...

— Żadnej, — odparł Staszek. — Ani mi w głowie powstała myśl podobna.

— Ano, to cię dziwię — rzekł głową trzęsąc Kapociński. — Rób jak chcesz... nie doradzam...

Miał słuszność Kapociński, domyślając się o skłonności panny Domicelli. Mecenasówna upodobała sobie naszego podstolica, co nietylko zauważyli współtowarzysze jego, ale i Nabierczyńscy. Z tej to przyczyny Staszek względy u pryncypałów miał osobliwe...

Sam on atoli nierad był temu.

— Licho nadało! — mówił do siebie. — Nuż prawda? Trza się o tem przekonać.

Wziął się tedy do ścisłych obserwacyi, które wkrótce potwierdziły domniemania Kapocińskiego.

— Otóżem w kabałę wlazł! — zawołał wtedy. Ktoby się był spodziewał... Ot gratulacyjka...

Splunął i ręką zamachał.

— Gdybym, korzystając z okazyi, do rzeczy ostro się wziął, — odrazu ubiłbym sprawę, ale... co mi ta! Wyglądałoby to na lizanie łapy, a jam nie do tego. Hm... i gdyby jeszcze inna, ale ta... Panie odpuść!

Ostatnie zdanie stosował do Domicelki, która do pięknych liczyć się wcale nie mogła. Była wzrostu niskiego, twarzy pucołowatej, nieproporcyonalnego nosa, a do tego ruda.

— Chybabym oczów w głowie nie miał — konkludował Staszek. — Sprzedawać się za marny grosz na całe życie i przez to podległym służką jej-

mości się czynić? Upadam do nóg za taką perspektywę! Potrafię żyć i bez niej.

Atoli po rozwadze dłuższej przyszedł do przekonania, że lekce traktować tej kwestyi nie można. Postanowił tedy być zupełnie obojętnym i usuwać się z przed oczów mecenasówny.

Należąc do rzędu stanowczych, plan odrazu w wykonanie wprowadził. Jak mógł unikał czułych wejrzeń panny, na zapytania odpowiadał półgębkiem, pierwszy od stołu wspólnego wstawał — co wszystko jednak nic nie pomogło. Im więcej bowiem okazywał obojętności — tem więcej strony przeciwne starały się go skaptować.

Koledzy pochawalali taktykę pod tolica, jeden tylko sędzic poglądał na niego krzywem okiem. — Ten — w zamiarach będąc pojęcia za żonę panny Domicelli, nie mógł strawić faworów okazywanych przybyszowi. Ilekroć zdarzyła się okazya — docinał mu, przygryzał, co podstolic zbywał żartami, burząc się w duszy...

Doszło do tego, że pewnego razu szepnął Kapocińskiemu.

— Dalipan, nie wytrzymam z nim dłużej. Raz jeszcze zadrze, a trzepnę go w gębę, że aż mu się pradziad przyśni...

— Ejże, Staszku, daj mu pokój — perswadował towarzysz. — Głupiec jest i skończona historya! — Ktoby tam zważał na podobnego błazna. Tać że on każdemu we znaki się dał.

— Mów co chcesz, a ja swoje zrobię — uparł się Staszek.

Aliści sędzica czy kto przestrzegł, czy też on sam przeczuł,— dość, że przez pewien czas zachował politykę i przyczepek zgryźliwych zaniechał.

— Zwąchał pismo nosem — tłómaczył sobie podstolic. — Ano, to i lepiej.

— Czas płynął rączo — Staszek u Nabierczyńskiego wciąż, pracując zawzięcie i jakoby na prześcig, w trzy miesiące obznajomił się już wybornie z czynnościami kancelaryjnemi, więc też i akcydenciki się posypały, zważywszy bowiem, ile sam mecenas wyraźnie go popierał.

Towarzysze — prócz sędziego — nie zazdrościli mu łaski pryncypała, jak to się zwykle dzieje: że gdy kto pracą skarbi sobie fawory, ludzie by go w łyżce wody utopić radzi; przecież nasz podstolic tak się umiał postawić względem kolegów, że wszyscy oddawali mu sprawiedliwość i pokochali szczerze. Nieraz ten i ów westchnął.

— Szczęśliwości! Wiedzie mu się jak z płatka. Nam okapiny, jemu pełen kielich...

Ale zaraz dodawali.

— Ba!... zasłużył na to. Uczciwy i pracowity jest...

Po upływie pół roku, Staszek tak się był zadomowił, że go pryncypał jako rękę prawą uważał, nieledwie wprost w oczy mu to mówiąc.

Bożącki patrząc, aż sapał ze złości, ale język trzymał za zębami.

I nie mógłby podstolic marzyć o lepszej kondycyi, gdyby nie one zaloty ze strony panny Domicelli. To go trułó i zniechęcało, a często obiecywał rzucić wszystko, stracić miejsce tak intratne i gdzie oczy poniosą iść.

Mimo obojętności z jego strony, mimo wyraźnego usuwania się, panna mizdrzyła się do niego formalnie.

— Kaduk nadał! — mruczał zrozpaczony młodzieniec.

Aliści razu pewnego, gdy mu się żółci przybrało, umyślić, bądź co bądź, stosunek ten przykry zmienić. Upatrzywszy tedy chwilę stosowną, wszedł do mecenasa, gdy ten samotnie pracować w swej komnatce.

— A! to waść, panie Stanisławie? — rzekł odrywając oczy od papierów. — Z czem przychodzisz?

— Przychodzę do mego dobrodzieja w interesie własnym — zaciął się Staszek.

Zdziwił się Nabierczyński.

— W interesie własnym? — powtórzył. — Ciekawym! Ciekawym! Powiadaj że waść śmiało, a co mogę to zrobię.

Staszek nie wiedział, jak ma się do rzeczy wziąć; chrząkał, czerwienił się, słowa mu więzły w gardle, a w oczach ćmiło.

Widząc to mecenas chciał ośmielić.

— Ano... powiadaj waść co masz i bądź pewnym, że dla ciebie zrobię co mogę... Może krzywdę ci który z kompanów wyrządził? Może... bodaj czy nie kaleta próżna, a potrzeba ci groszy? Hę? Ino śmiało!

— Ani jedno, ani drugie — odparł zebrawszy rezon Staszek. — Na krzywdę od nikogom nie zasłużył — zresztą potrafiłbym sobie sam poradzić, a co się tyczy pieniędzy, tych mi nie potrzeba, wygody wszelakie tu z łaski pana mecenasa mając...

— Cóż tedy?

— Najwprzów z góry o przebaczenie proszę, jeżeli dobrodziejowi memu, dla którego z wszelkim afektem jestem, kwestya, którą przedłożę, się nie podoba; jednak uważając ją za ważną ośmielam się wyznać prawdę...

— Na długą coś oracyę zakrawa — z uśmiechem szepnął Nabierczyński, słuchając wypowie-

dzianego wstępu, w którym znać było, że Staszek przejął się już retoryką i zwrotami jurystów.

— Rzecz tak się ma. U pana mecenasa dobrze mi jest, nie mógłbym ani ja, ani też nie mógłby nikt wymyśleć lepszego miejsca. Jawnie też uważam, że mnie pan mecenas łaskawemi względami otaczasz, na com ja, nowicyusz, zarobić dotąd nie potrafił... Chciałbym się za ową dobroć równą odwdzięczyć miarką, a że inszego sposobu na to wynaleźć nie mogę... tedy szczera praca i otwartość niech starczy na początek... Dlatego też przyszedłem oznajmić panu mecenasowi to, co życie zatruwa, a co na karb winy mojej poczytane być może... Nie wiem, jak sobie tłómaczyć osobliwą łaskawość panny Domicelli.

Tu Nabierczyński się roześmiał.

— Tędy droga! — zawołał. — Ano, praw dalej...

— ...Którą zauważyli wszyscy, a do której ja pretensyi nie roszczę.

— I na to się skarżysz?

— Skarżyć nie mogę, jedno przychodzę do dobrodzieja mego pytać — co to się znaczy

Nabierczyński popatrzył nań chwilę uważnie

— Skoroś waść zaczął z tej beczki, i ja też za szczerość szczerością odpłacę — rzekł w końcu. — Dowiedz się, że Domka polubiła cię, a mówiąc wyraźnie, formalnie ma się ku tobie, czego ani ja, ani jejmość za złe nie uważa. Młody jesteś, pracowity, serce masz i charakter, wysoko możesz stanąć. Owszem oboje aprobujemy te afekta Domki i jeżeli Bóg pozwoli — z chęcią damy rodzicielskie błogosławieństwo.

— Panie mecenasie dobrodzieju mój... jak do ojca się odzywam... Właśnie przyszedłem oznaj-

mić, że acz cenię wysoce afekt panny Domicelli, jednak serca do niej nie mam i mieć nie mogę...

Mecenas w tył odstąpił.

— Z tej racyi... widząc na co się zanosi — prawił Staszek — chcę oznajmić dobrodziejowi memu, iżby wpłynął na pasierbicę stosownie.

— Ależ to historya!! — zawołał w ręce uderzywszy Nabierczyński.

— Prawda szczera, panie mecenasie. Nie chciałbym, doznawszy łask tyle, okazywać się niewdzięcznym, jak on wąż, co rozgrzany przy piersi człowieka, znagła go potem ukąsi. Rodzic mój nieboszczyk nie pozostawił mi fortuny, ale mi spuścizną przekazał uczciwość...

— Zacnie mówisz... jedno uważaj chłopcze, czyś nie za gorący. Domka dziewczyna niezgorsza, przytem wiano będzie jakie takie mieć...

— Na wiano nie łakomym... Źle ten — wedle mnie poczyna — kto na cudzy regestr żyje. Jam nie z tych...

Popatrzył na niego Nabierczyński, łzę otarł i uściskał.

— Takiego jak ty pierwszego spotykam — rzekł. — Bogdajby więcej takich ludzi. Zrozumiałem o co chodzi... Bądź dobrej myśli... Kocham cię za to mój chłopcze.

Staszek go za kolana objął.

Od tej chwili wszystko się zmieniło po myśli Staszka. Jejmość i córka jej, ile przedtem były na niego łaskawe — tyle teraz spoglądały wzrokami niechętnemi, omal że nie złości. Mecenas za to podwoił swe względy, okazując mu nieograniczony szacunek.

Kapociński, dowiedziawszy się o wynurzeniu podstolica przed pryncypałem, aż go uściskał.

— Ano... Stachu... spisałeś się tęgo! — rzekł. — Nie każdy by to potrafił...

Sędzic tryumfował. Od tej pory bowiem nadskakiwania jego walor miały u mecenasówny, z czego był dumnym do tego stopnia, że ziemi pod stopami nie widział.

A przecież Staszek nic dobrego dla siebie przez swą szczerość nie skorzystał. Kobiety obrażone, starały się go wszelkiemi siłami upokorzyć i pozbyć, używając przeróżnych sposobów. Jeno pryncypał na owe fonfry nie zważał — a podburzenia żony i pasierbicy zbywał byle czem.

Widział to wszystko Staszek, gryzł się, dręczył, lecz nadzieję miał, że podobny stan rzeczy nie długo trwać będzie. W końcu jednak — gdy napaście nie ustawały i każdodziennie nowa go spotykała nieprzyjemność — osłabł w postanowieniu.

— Chyba nie wytrzymam! — zwierzył się do Kapocińskiego. — Po same uszy mam tych specyałów... Co będzie to będzie — a w świat pójdę.

— To głupstwo zrobisz — tłomaczył mu przyjaciel. — Bywszy tobą nie zważałbym na faramuszki niewieście, skoro pryncypał inaczej z tobą.

— Obaczę jeszcze — szepnął Staszek.

I znowu postanowił, na upór wziąwszy, przeczekać, aż żółć jejmościom się uspokoi.

Tymczasem niespodziany traf zmienił to postanowienie.

Stało się to zaś w takowy sposób.

W dzień świąteczny do znajomej nam już winiarni, zeszła się kancelarya Nabierczyńskiego, oraz wielu z innych kancelaryi jurystów. Był między nimi i Bożęcki, który dziś niezwykle miał twarz wesołą. Śmiał się, podśpiewywał, wąsa kręcił, a zjadliwie na Staszka patrzył. Ten ostatni zauważył to

odrazu, ale gniew tłumił w sobie, nie chcąc burd wywoływać. Aż nagle zbliża się do niego niejaki Zawadzki, człek młody, również jurysta u pana Kuleszy mecenasa praktykujący i przywitawszy pyta:

— Cóżeś waszmość tak kwaśny?

Na to podstolic:

— Srodześ się przeoczył, bom bynajmniej kwaśny nie jest...

— Hm... znać nie możesz strawić czarnej polewki, którą cię pryncypałówna poczęstowała... — prawi Zawadzki. — Ano, pociesz się biedaku... nie ta — to inna! Boć i doprawdy za wysokoś patrzył...

Tu roześmiał się w głos, a Bożęcki mu zawtórował... na co, jakoby za danym znakiem dokoła rozległy się śmiechy i wołania.

— Arbuz! Arbuz!

— Rekuza nowicyuszowi.

— Dobrze mu tak...

Staszek ledwie nie upadł słysząc to — zatrząsł się i w pasyi palnął Zawadzkiego po gębie.

— Łżesz kpie jeden, jako żywo! — krzyknął.

Zawadzki do korda się porwał — Staszek też... co widząc otaczający nie wstrzymywali, jedno wyprowadziwszy ich na podwórce, naprzeciw siebie postawili — gdyż zbyt wielka była obraza, aby bez krwi się obyła.

Towarzysze podstolica — prócz Bożęckiego, stanęli przy nim i gardłowali na Zawadzkiego, nazywając jak jego tak też stronników fałszywcami, z czego do ogromnej awantury przyszło. Skończyło się wreszcie na tem, że Staszek Zawadzkiego potężnie porąbał — a Kapociński i jego koledzy nie mniej pamiętne sprawili spiskowcom, — łacno bowiem można się było domyśleć, że postępek Zawadzkiego był z góry obmyślony.

Staszek z jednym się sprawiwszy, zwrócił się do Bożęckiego i bez pytania płazem po twarzy go uderzył; zaczem chwyciwszy jedną ręką za ramię, drugą płazował aż jęczał sędzic...

— Ot tobie zapłata paniczu — krzyknął puściwszy zbitego — boć niczyja to robota, jeno twoja... A pamiętaj, że ze mną w pliszki grać nie można. Wszystkim zaś tu obecnym oznajmiam, że Zawadzki łgarz wierutny, ktoby zaś nie chciał wierzyć, mogę mu tego dowieść...

Byłoby do gorszej awantury przyszło, gdyby Kapociński nie uspokoił nieco podstolica, zmuszając go do ochłodzenia impetu winem. Nikt zaś już nie występował przeciw niemu, widząc, że gracz nie lada i żartować nie lubi...

Podstolic nasz wypiwszy duszkiem potężny kubek węgrzyna — szablę schował i nie żegnając się z nikim, wyszedł z winiarni.

VIII.

Z winiarni Staszek wprost do mieszkania poszedł. Niezważając na perswazye Kapocińskiego i Nawrockiego, tobołki swe — których miał niewiele — spakował i sam wyniósł do gospody na ulicy Bednarskiej, gdzie izbinę najął skromną.

Stanowczo porzucił kondycyę u Nabierczyńskiego.

— Ale zastanów się Staszku nad tem co robisz? — perswadował Kapociński. — Toć istne waryactwo? Dla głupca takiego, jakim jest sędzic, losu się zbawiać? Nic potem!

— Niech się dzieje co chce, a u Nabierczyńskiego nie będę — odpowiedział wzburzony podstolic.

Mają mnie złe języki szarpać... wolę biedę! Zresztą, da Bóg nie zginę. Pracować umiem...

— Co poczniesz z sobą? — nie ustępowali koledzy. — Sam... bez znajomych... prawie bez grosza... Trza chyba głowy nie mieć...

— Właśnie mam głowę i dlatego tak zrobił. Nie turbujcie się o mnie, proszę. Dam sobie radę.

— Jak? Jak? Myślisz, że ci manna spadnie z nieba?

— Manna czy nie manna, a przy swojem ostanę. Co ma wisieć nie utonie. Nie odwodźcie mnie, proszę, od zamiaru, bo uparty jestem.

Pozostał tedy Staszek na bruku najniespodziewaniej, gorzej jeszcze, aniżeli po śmierci rodzica. Był sam w wielkiem mieście, bez przyjaciół i znajomych, którzyby mu dopomódz mogli. Z początku nie zgłębiwszy rzeczy, obiecywał sobie radę dać — aliści skoro go impet ominął... posmutniał.

— Co teraz? — pytał sam siebie.

I myślał a myślał, kalkulował, — nic mu przecież do głowy nie przychodziło takiego, aby mogło polepszyć fatalne położenie.

Mógł wprawdzie do mecenasa wrócić, któryby go z rozwartemi przyjął rękami — mógł do stryja Tomasza jechać, gdzie również serdecznie by go powitano, — zaś młody człek do tego stopnia był dumny — że jak jedno tak drugie uważał za upokorzenie.

Tymczasem dzień za dniem szedł, szczupły zapasik grosza coraz to się zmniejszał... Staszek nie na żarty się zafrasował.

Nagabywany smutnemi myślami, wyszedł pewnego przedpołudnia na miasto i ku kościołowi Ś-to Jańskiemu skierował. Znalazłszy się w świątyni u-

padł na kolana przed wyobrażeniem cudownego Chrystusa i nieomal głośno wykrzyknął.

— Weź że mnie w opiekę Jezu miłosierny i Ty Panienko przeczysta...

Modlić się począł z tą bezgraniczną wiarą w miłosierdzie Boże, która taki wpływ miała pod owe czasy, a która zarazem była jednym z najwięcej charakterystycznych rysów odznaczających naszych praojców.

Długo się modlił nie zważając co się w koło dzieje, aż wreszcie wstał z ziemi i powoli wyszedł z kościoła.

Mniemał, że go modlitwa pokrzepi i zeszle pociechę.... Wracał do najętej izby smutny, z głową opuszczoną — gdy nagle usłyszał wołający go głos.

— A! pan Trzciński...

Stanął patrząc przed siebie.

— Nie poznajesz mnie waszmość? Bardzo pięknie!... Musiała Warszawa waszmości głowę zakręcić.

Mówiła to podkomorzyna Iłowiecka, którą był poznał w karczmie na popasie.

Właśnie gdy przechodził Staszek — piękna wdówka siadała do kolasy, wyszedłszy ze sklepu, w którym znać zakupy jakieś robiła.

— Pani podkomorzyna! — zawołał podstolic zdziwiony.

— Jak widzisz podstolicu... Dawnośmy się już nie widzieli... Co prawda, nie bardzo jest ładnie z twojej strony słowa niedotrzymywać. Miałam obiecaną sobie łaskawą wizytę waszmości; dotąd jednak na oczy go nie widziałam...

Bąknął coś Staszek, co miało za usprawiedliwienie posłużyć.

— Nic z tego podstolicu... musisz się dobrze

naprosić zaczem ci przebaczę — rzekła Ilkowiecka — A za karę siadaj waść obok mnie...

Ręką wskazała kolasę.

— Ależ panie podstolicu ze mną żartów niema — przedrzeźniając go trzepała wdówka. — Proszę siadać, bom się na dobre rozgniewać gotowa.

Rad nierad posłuchał młodzian.

To nagłe spotkanie oszołomiło podstolica, — przez całą drogę zaledwie piąte przez dziesiąte odpowiadał na pytania wdówki, siedząc wyprostowany jak struna w pojeździe. Iłowiecka zaś w osobliwszym była humorze i nader serdeczna.

Gdy pojazd stanął przed jej pałacykiem, Staszek chciał się żegnać, lecz go wstrzymała stanowczo.

— Chyba chcesz podstolicu z przyjaźni skwitować? — rzekła. W przeciwnym razie proszę do siebie na obiad...

Wymawiał się Staszek niestosownością ubioru... ale niedołężnie.

— Chodźmy! — powtórzyła dobitnie wdówka i nie czekając odpowiedzi weszła do domu.

Na pokojach zastał Staszek nieodstępnego podkomorzyny towarzysza Ratułta i Jacymirskiego.

— Prowadzę zbiega — rzekła do nich podkomorzyna. — Rotmistrzu... cześniku... bawcież gościa tymczasem jako gospodarze... Ja zaraz powrócę.

Dwaj konkurenci z pod oka na Staszka spojrzawszy, przywitali go — rotmistrz wyraźnie kwaśno i niechętnie.

— Skądżeś się waszmość tu wziął? — zapytał po chwili. — To doprawdy dla nas niespodzianka.

— Zarówno dla waszmościów jako i dla mnie

— odparł podstolic. — Pani podkomorzyna, spotkawszy mnie na ulicy, gwałtem tu sprowadziła.

— A! — wykrzyknął Ratult i zamilkł.

— Podkomorzyna zawdy jednaka — szepnął jowialny cześnik. — Złote serce! Złote serce!

Westchnął złożywszy ręce.

— Jeno zaprędka — dorzucił Ratułt. — Istna błyskawica.

— Ale zacność nieposzlakowana — prowadził Jacymirski. — Rzadkość to między białogłowami.

Znowu westchnął ciężko.

— Waszmość tedy stałym mieszkańcem Warszawy? — rozpoczął rotmistrz badawczo do Staszka zwracając.

— I stałym i niestałym — odparł ten omijająco.

— Przynajmniej czasowo? — badał Ratułt.

— Nie mogę stanowczo orzekać.

— Racya jest — westchnął Jacymirski. — Nic stanowczego. Lada chwila zmienia rzecz i...

Machnął ręką dokańczając tym gestem myśli.

— Zmienia! Zmienia! — powtórzył rotmistrz chodząc po komnacie widocznie bez humoru.

— Człowiek nie wie dnia, ani godziny — prowadził po chwili milczenia Jacymirski. — Ot i ja.. miało się fortunę magnacką... a dziś...

— Nie ma się nic — przygryzł rotmistrz złośliwie.

— No... nic jak nic, ale zawdy nie to, co było — tłómaczył cześnik nieco poruszony.

— Sameś sobie winien cześniku — drażnił go rotmistrz.

— A to jakim sposobem?

— Ano... fortuneś zjadł i kwita.

— Waszmość zawdy tniesz jak osa — burknął Jacymirski. — Gdyby cię kto nie znał, myślałby, że prawdę mówisz.

— Bo prawdę. Zjadłeś fortunę i teraz do podkomorzyny się bierzesz, myśląc, że ci się upiecze gratka.. Jeno cielsko stare nie do zalotów! Za ciężkie... za ciężkie...

Staszek mimowoli się roześmiał.

— Daj waszmość pokój, bo dalipan bredzisz jak w gorączce — rzekł zaperzony cześnik.

— Bredzę, albo nie bredzę... Bo i powiedz sam waszmość, panie podstolicu... komu to tu konkurować do młodej i pięknej niewiasty? Pacierze odmawiać, godzinki śpiewać, a do śmierci się szykować...

— Nibyś waść o wiele młodszy — bronił się cześnik, który snać gniewać się nie potrafił.

— Także porównanie!... Dość spojrzeć! Zresztą insza prezencya i kompleksya... Tak, tak, cześniczeńku... do pacierza... do pacierza!

— Że też waszmość panowie bez dogryzków obejść się nie mogą — przerwała wchodząc do komnaty podkomorzyna. — Nie wstyd ci rotmistrzu? Ty... kawaler tak dystyngowany...

— Rotmistrz żarty lubi nad każdym stroić — wtrącił Jacymirski.

— Nie żartowałem, inom prawdę mówił — poprawił go Ratułt. — Pani podkomorzyna przyzna mi racyę... Cześnik bo za młodego się uważa i o żonie myśli...

— Rotmistrzu — błagalnie westchnął wzięty na fundusz cześnik.

— Bardzo słusznie robi — poważnie przerwała Iłowiecka. — Nigdy zapóźno. Małżeństwo do Sakramentów policzone, więc czci godne; a co do wie-

ku... pozory mylą. Pan cześnik w istocie nie młokos, ale i nie stary. Chwalić tylko można, gdy myśli w ten sposób.

— Dobrodziejko moja! — mruknął rozpromieniony Jacymirski i obiedwie rączki podkomorzyny ucałował.

Rotmistrz ramionami wzruszył spojrzawszy na Staszka, jakoby mówiąc:

— Komu to tu!

Podczas tej sceny Staszek z boku stał, adorując piękną wdówkę i jej zręczność, jaką potrafiła z ludźmi sobie radzić.

— Daj mi rękę cześniku — rzekła w końcu — obiad podano... Rotmistrzu prowadź podstolica.

To mówiąc, sama wsunęła rękę pod ramię Jacymirskiego.

Obiad zszedł na żartach i śmieszkach, któremi gospodyni ożywiała towarzystwo, budząc wyborny humor. Nie był zbyt wykwintny, ale smakowicie przyrządzony i sytny.

Stare wino z myszką i obrączką podniecało apetyt, sprzyjając zarazem strawności.

— Powiedz że nam waszmość co o sobie, podstolicu — zwróciła się podkomorzyna do Staszka, gdy po obiedzie do inszej przeszli komnaty. — Jak ci się wiedzie? Co porabiasz? Jakżeś znalazł Warszawę?

Zapytany głowę przechylił.

— Mało o sobie powiedzieć mogę...

— Wszelako zawsze coś... Pewnieś niejednej mieszczaneczce zawrócił głowę? — dopytywała figlarnie wdówka. — Przyznaj się! Co?

— O tem czasu nawet myśleć nie miałem.

— Zwykła wymówka. Wracając zaś do rzeczy... wolnoż wiedzieć co robisz?

Staszek w kłopotliwem był położeniu.

— Jak teraz... nic — odparł wreszcie. — Dotychczas w kancelaryi mecenasa Nabierczyńskiego pracowałem, alem porzucił miejsce...

— Czemu?

— Nie czuję powołania na jurystę — omijał Staszek. — Zmuszać się nie chcę...

— Więc co myślisz poczynać?

— Sam nie wiem... Jeszczem się nie rozpatrzył...

Podkomorzyna rzuciła jeszcze kilka pytań i potrafiła wybadać stan obecny Trzcińskiego.

Żal jej się zrobiło młodego człowieka pozostawionego samemu sobie.

— Gdybyś się waszmość nie obraził za propozycyę, którą mu uczynię i zgodził się na nią, bardzo bym była rada — rzekła po chwili namysłu. — Traf zdarzył, że potrzebuję pomocnika w interesach... Waszmość, ile z krótkiej znajomości wnoszę, na gospodarstwie się znasz... rozum masz bystry...

Spojrzała na niego pytająco.

— Nie wiem czy będę zdolny — tłómaczył się Staszek.

— Obaczymy to. Skoro niemasz zajęcia i wolny jesteś... sprowadzaj się do mnie i od jutra rozpoczniemy próbę...

Rotmistrz szarpnął wąsa i znacząco trącił Jaxymirskiego.

— Bardzoby mi było na rękę — kończyła wdówka ożywiona. — Taką mam biedę z temi regestrami i poleceniami... Mój Załuski zacności dusza, ale niedomaga.

— Na czemże polegać będzie moje zajęcie? — dopytywał Staszek.

— Dokładnie określić nie potrafię.. sam zresztą waszmość obaczysz rozpatrzywszy się w interesach... Sprowadzaj się jeno jak można prędzej... Mieszkać będziesz tu czasowo. Gdy wola, pokażę mieszkanie...

I nie pytając się, czy się podstolic zgodzi czy nie prowadziła go do oficyn.

Rotmistrz sam zostawszy z Jacymirskim w ręce uderzył.

— I cóż ty na to cześniku? — zapytał. — Ładne rzeczy się dzieją? Hę?

— Ano... nic dziwnego — mruknął cześnik, który przyzwyczajony do poobiednej drzemki, podczas rozmowy na wpół spał, usunąwszy się w kątek komnaty.

— Waszmość jesteś ślepy i kwita! — krzyknął Ratułt rozgniewany.

— Ale mój rotmistrzu...

— Mój cześniku, czy nie widzisz co się dzieje?! — zirytowany wołał Ratułt. — Nie widzisz co ona z nami wyprawia? Gacha sprowadza! Najwyraźniej gacha!... To horrendum! To... to awantura arabska — jak mi Bóg miły...

— Co waszmość wygadujesz? — poruszył się cześnik.

— Widziałeś i słyszałeś sam. Nie winien jestem skoroś ślepy i głuchy...

— Gacha? — powtórzył osłupiały Jacymirski.

— Najwyraźniej... Interesa... tędy owędy... O! mościa dobrodziejko... znamy się na farbowanych lisach... Pomocnik do gospodarstwa ze zgrabnym wąsem i młody... Ano! obaczymy jak to dalej będzie... Zemną nie żarty! Skoro spostrzegę, że się co święci... płatnę do ucha... Jak mi Bóg miły płatnę...

— Jezus Marya! — mruczał cześnik do siebie.

— Waszmość też nie powinieneś być klocem, skoro jako konkurent około podkomorzyny się kręcisz — zwrócił się do niego rotmistrz.

— Ja? Ale, co ja...

— Nie powinieneś sprawy zasypiać!.. Patrzeć, czuwać, bo inaczej dyabli wiedzą co się może porobić. Kaduk nie śpi. Nuż podkomorzyna... Hm... niewiastąć jest... a kobiety... czasem ani się spostrzeżesz jak im co do głowy strzeli...

— Co strzeli?... Co ma strzelać? — dopytywał Jacymirski, który dotąd nie mógł rozumieć o co idzie. — Powiedz że mój rotmistrzu bom głupi.

— Raz przynajmniej prawdęś waść o sobie powiedział! — krzyknął rotmistrz, omal że nie w pasyi. — Nie widzisz, że nasza podkomorzyna sprowadziła sobie gacha, wrzekomo jakoby plenipotencyę interesów mu oddając...

— Jakże bo... ten Trzciński?

— Ten! Ten! A wieszże czem to pachnie? Wiesz? Licho wie co za człowiek... Może nam zajść z mańki i... Ot co jest!

— Ktoby się spodział!!

— Ba! Kobieta na wszystko gotowa... Do tego taka jak Iłowiecka... młoda... żwawa... wesoła... Zastanawiać się nie lubi... Serce uczciwe, ale w głowie... pstro... wietrzno...

—Nie gadajże tak rotmistrzu...

— Co nie gadać kiedy prawda. Rób jak chcesz... Śpij nie śpij, a ja jakiem powiedział, zrobię. Nie malowanym, ani drewniany. Darmo się od tylu lat nie kręcę. Hm! Finfa pod nos... Nie ze mną sztuka dobrodziejko moja.

Latał po komnacie wielce zalterowany.

— Waść zawdy gorączka — począł cześnik poważnie. — Odrazu... bęc... nie wymierzywszy. Jak można! Jak można!

— Waść mi krwi nie psuj skoroś ryba. Radzę ci dla dobra własnego uszy do góry mieć i patrzeć. To nie przelewki. Chociażby dla dobra podkomorzyny. Na świecie dzieją się różne rzeczy, a tego... młokosa nie znamy...

Stanął raptem na środku, zacisnął obiedwie pięście i zawołał w głos.

— Ano... jeżeliby z nas miała zakpić... jak mi Bóg miły nie daruję! Kpem byłbym! Infamisem... Poradzęć przecie sobie... A tego... młokosa... będzie się z pyszna miał. Gdzie pieprz rośnie zapędzę... Takie mu memento sprawię, że rok i sześć niedziel popamięta...

Wyleciał z komnaty spiesząc do oficyny za podkomorzyną.

— Owaryjował i skończona historyja! — szepnął Jacymirski, kiwając głową. — Bzik i kwita! Ot!

Westchnął, oczy zamknął i zasnął na dobrze w krześle.

IX.

— Prędzej śmierci! — mówił do siebie Staszek, po sprowadzeniu się do domu Iłowieckiej. — Ogień nie niewiasta... W mgnieniu oka... trzask — prask i...

Kalkulował, roztrząsał nagłą swoją przygodę, nie mogąc jej za nic innego policzyć, jedno za Opatrzność bożą.

Czy w istocie było to Opatrznością? Można się na to zgodzić, przez co oszczędzilibyśmy sobie trudu nad rozwikłaniem tej niejako zagadki. Wolimy

atoli objaśnić ten wypadek tak, jakieśmy go sami pojęli, aby tym sposobem ułatwić czytelnikowi zrozumienie przyszłych scen, jakie się w opowiadaniu wywiążą.

Dlatego musimy się bliżej zapoznać z panią podkomorzyną.

Nie była ona typem wyjątkowym w wieku ówczesnym. Osierocona wcześnie przez rodziców, chowała się na łasce dalekich krewnych, którzy ją przy pierwszej sposobności wydali zamąż, aby się pozbyć ciężaru opieki. Młodziuchna istotka, będąc żywego usposobienia, istny trzpiocik — sądziła, że cały świat dla niej otwarty gwoli uciech i zabaw. Przyrzekając staremu dozgonną wiarę i miłość — nie wiedziała do czego się zobowiązuje, nie rozumiała przyszłości. Była tego przekonania, że jako małżonka bogatego i poważnego urzędem człowieka, może robić co jej się żywnie podoba; że ślub otwiera jej możność zadawalniania wszystkich zachceń i fantazyi. Wkrótce jednak nastąpiło rozczarowanie. Podkomorzy — człek skąpy, zużyty, zamknął żonę w domu i traktował ją niby mniszkę klasztorną. Wolno jej było zaledwie zdaleka przypatrywać się światu i jego wesołym zabawom. Przypatrywała się więc i żałowała. Żałowała wolności dziewiczej i zawiedzionych marzeń... nieraz aż łzy miała w oczach. Przyszłość nabawiała ją trwogą. Żyć podobnie... równało się torturom. Wzdychała piękna podkomorzyna do marzeń swoich, nie tracąc nadziei, że się jej zawód zmieni.

I doczekała się zmiany.

Podkomorzy zmarł — więzy opadły z rąk młodej mężatki... była wolną, wolną zupełnie.

Po śmierci męża rzuciła się w wir życia chciwie, nie zważając na nic. Prowadziła dom otwarty,

jeździła po za granicach, otaczała się rojem adoratorów, których znalazła łacno i poddostatkiem. Niektórzy brali jej to za złe — co nie wstrzymywało ją w działaniach.

— Chcę się bawić... żyć i użyć! — było dewizą młodej wdówki.

Jednakże pomimo możności zadawalniania wszelkich zachceń, często nieomal codziennie tęskniła. Sama nie wiedziała do czego. Napadały ją dziwne myśli, niepokoiły... rwała się do czegoś nieokreślonego. Pomimo śmiechów i zabaw wesołych była smutną w sobie, pozornie swywołąc do szaleństwa nieraz.

Czuła jakiś brak, widziała naokoło siebie próżnię, której nie mogła zapełnić. W tłumie adoratorów była samą... samą jedną.

W takiem położeniu poznała Staszka. Młodzieniec ujął ją dziwnie. Nie wiedząc sama czemu, zainteresowała się nim!

— Co to jest? — pytała sama siebie. — Dlaczego on tylko zwrócił moją uwagę.

Pytała a nierozumiała. Im zaś więcej zastanawiała się nad tem — tem więcej pociągał ją młodzian.

Sądziła z początku, że to chwilowy kaprys... — okazało się później co innego. Podstolic stał jej przed oczyma wciąż prawie, chociaż go zaznała krótko i przelotnie.

To też spotkawszy go w Warszawie — nie mogła się powstrzymać, aby nie nie zaczepić. Zaczepiwszy dowiedziała się, że niema przytułku... co było jej na rękę. W jednej chwili postanowiła go zatrzymać przy sobie. Dlaczego? Nie mogłaby sama z tego zdać sobie sprawy. Postanowiła, bo jej się tak podobało. Nie z potrzeby przecież — nie z

konieczności. Posada plenipotenta utworzyła się tak — jak się tworzą w danym razie improwizacye w głowach poetów.

Łatwo przewidzieć, że Staszek nie wiedział o tej improwizacyi; gdyby bowiem wiedział, nie przyjąłby ofiarowanego miejsca. Nie przyjąłby z pewnością i w innych okolicznościach się znajdując — ale potrzeba go zmusiła...

Podkomorzyna oddała mu w ręce cały zarząd interesami, jakoby najszczerszemu przyjacielowi. Z początku Staszkowi wydawało się to dziwnem... wkrótce oswoił się z położeniem.

Biorąc ściśle pod uwagę rzeczy — Staszek nasz był gościem w domu podkomorzyny, któremu płacono za to: że raczy jeść, spać i bawić się. Czynność urzędowa jego polegała na kontrolowaniu regestrów nadsyłanych przez gubernatora posiadłości pani Iłowieckiej, które były już skontrolowane zupełnie. Nic nadto.

Wszelako mianowano go plenipotentem, płacono, karmiono i bawiono. Podstępu nie przewidywał Staszek — podkomorzyna umiała tak zręcznie nakierować rzeczy, że nikt by się nie domyślił w jej postępowaniu ukrytych zamiarów.

Tylko Ratułt znieść nie mógł przybysza. Coś czuł, — stanowczo atoli orzekać nie śmiał.

— Wyświetlę ja to! Wyświetlę! — burczał co dziennie; ale nic nie mógł dostrzedz, coby go na ślad domniemywań naprowadzić mogło.

Prócz Ratułta nieprzyjaźnie na podstolica spozierał inny, znajomy nam też, podkomorzyny konkurent — Otocki. Ten z rotmistrzem istne zawarli przymierze — starając się pozbyć niemiłego dla się gościa...

Staszek tego nie widział, nie domyślał się, bo i

domyślać nie mógł, będąc dalekim od podejrzeń wszelakich.

Było mu dobrze — kontent był z miejsca i kwita.

Podkomorzyna atoli od czasu sprowadzenia się Staszka, zmieniła się wielce. Siadywała w domu, więcej zajmowała się gospodarstwem, częściej niż zwykle dopytywała się o bieg interesów i stan ich. Kto inny zrozumiałby, że stara się zwrócić uwagę na siebie, ale Staszek... nie był tyle sprytny.

— Rządna niewiasta! — mówił do siebie i chwalił po cichu statek i zapobiegliwość podkomorzyny.

Wygodne to i dostatnie życie sprzykrzyłoby się nakoniec Staszkowi. Młodość potrzebuje wrażeń, nieustannego zajęcia. On — trawił czas jeno... i nudził się. I byłby może za miejsce podkomorzynie podziękował, gdyby nie przypadek, który stanowczo wpłynął na całą jego przyszłość.

Stało się to zaś tak.

Pewnego razu — idząc z oficyny, w której mieszkał, na obiad do pałacyku, spostrzegł przechodzącą przez dziedziniec panienkę. Ujrzawszy ją zdziwił się i aż przystanął, aby się przypatrzyć. Była to twarz wcale nieznajoma — widział ją poraz pierwszy.

Panienka nie miała nad lat 16, dziwnie była piękną, do tego stopnia, że porywała wzroki, które na nią mimochodem padały. Blondynka, wzrostu średniego, owalnej twarzyczki, nieco bladej, wyrazistych dużych oczu, patrzących jakoś smętnie, rzewnie — wyrazu szlachetnego, nakazującego szacunek wszechmierny.

Staszek nie wiedząc dlaczego, pozdrowił ją ukłonem — na który odpowiedziała kiwnięciem główki.

— Ktoby to był? — zapytywał poruszony i zatopiony w myślach szedł na obiad.

Za gadka ta wkrótce się wyświetliła. Dowiedział się podstolic, że panienka krewną była pana Rakuzkiego, pozostającego w służbie podkomorzyny jako marszałek. Przyjechała do krewnych, snać zamierzając czas jakiś zabawić — a na imię jej było Anulka.

Tyle się dowiedział Staszek o pięknej panience.

Wieczorem tego samego dnia — przystroiwszy się staranniej niż zwykle, poszedł w odwiedziny do pana marszałka.

Pan Rakuzki, szlachcic ubogi, uczciwy duszą i ciałem, był raczej przyjacielem niż sługą rodziny Iłowieckich. Ojciec jego fortunki małej zbawiwszy, na zarządcę Warmęcina się dostał, za dziada jeszcze podkomorzego, a że mu było jak najlepiej więc i syna ofiarował doczekawszy go się, na usługi Iłowieckich. Mikołajek w ślady ojca poszedł, lepszej kondycyi nie szukał, po śmierci ojca zarządztwo Warmęcińskie wziął, a z czasem, straciwszy, na starość marszałkował podkomorzemu, którego był rówieśnikiem. Za żonę pojął szlachcianeczkę biedną, pracowitą, ale Bóg ich nie pobłogosławił potomstwem. Oboje dożywali dni doczesnych w spokoju, miłując się wzajem serdecznie...

Pan Mikołaj z początku koso na podstolica patrzył, nie podobało mu się nowatorstwo przez podkomorzynę wprowadzone. Z czasem zaś zmienił przekonanie, poznawszy lepiej młodego człowieka.

— Do rzeczy chłopak — mruczał pod nosem.— Jakoś honeste wygląda mopanku.

Wreszcie szczerze polubił przybysza i rad zawsze na gawędę do siebie go zwabiał.

Spomnianego wieczora siedział przed oknem

przemiąc pan Mikołaj; jejmość zaś z ową panienką opodal rozmawiały z cicha.

— Pochwalny Jezus Chrystus! — rzekł Staszek wchodząc. — Przy wolnym czasie zachodzę choć na chwilę.

— A! kochanego pana Stanisława — zerwał się z krzesła marszałek. — Dobrześ zrobił mopanku, bom znudział przez cały dzień.

Witał Staszek z kolei jejmość i pana Mikołaja, panience przystojnie się skłonił.

— Mamy gościa — prawił Rakuzki, sadowiąc się napowrót. — Anusia Witecka, krewna jejmości... Weselej nam będzie, panie Stanisławie, mopanku i bodaj czy cię jej ślepki nie przyciągną do nas częściej...

Zaśmiał się stary mrugając oczyma..

Staszek usłyszawszy nazwisko Witeckich, przypomniał sobie odrazu szlachcica, którego był w karczmie Arona napotkał. Aliści nie przypuszczał, iż by to był krewny jaki pięknej Anusi.

— Może i prawdę pan marszałek rzekł — ozwał się z uśmiechem. — Takie oczka mogą chociażby najwięcej obojętnego poruszyć.

Anusia spuściła oczy i jak wiśnia pokraśniała.

— O! o! Bałamut z waszmości — pogroziła marszałkowa. — Byle młode dziewczę obaczy, jużci dusery. Wszyscyście tacy... Kubek w kubek jeden w drugiego.

— Jejmość ani mnie z tej reguły nie wykluczy? — żartował Staszek.

— Swego czasu i jegomości na psich figlach nie zbywało. Oj nie! Teraześ do niczego, tedy ani mowy o tobie.

— Ejże serce — mopanku, a nuż krew zagra i młode lata się przypomną? ..

— Do pacierza stary! Komu to tu... — wzruszając ramionami szepnęła marszałkowa.

— Ha! ha!... zawżdy jejmości strach — rzekł tryumfująco stary.

— Panna Anna długo u nas zabawi? — zwrócił się Staszek do dziewczęcia.

— Nie odjedzie rychło. Będziesz się mógł dowoli nawzdychać, panie Stanisławie, mopanku — odparł stary.

— Co bo jegomość prawi — rzekła Anusia rumieniąc się mocniej.

— Ino prawdę Anulku. Obaczysz jak będzie do ciebie się łasił, niby kot do sadła.

— A zacznę chociażby od dziś — dorzucił Staszek.

— Nacóżby się waszmości przydało? Nie do zjedzeniam, pożytku zatem żadnego — broniło się dziewczę.

— Chociażby całusa zarobić od takiej jagody i to coś warto mopanku — dokuczał marszałek.

— Lepiejbyś jegomość cicho siedział — burknęła łagodnie pani Mikołajowa. — Takie figle!

— Figle — nie figle, a i Anulka nie byłaby od tego. Pan Stanisław przecież nie malowana lala ino całą gębą chwat. Nie żal buziaka takiemu... Co? nieprawda mopanku?

Zawiązała się ożywiona rozmowa, przeplatana co chwila trefnemi figlikami staruszka, który swywolił bez miary, aż mu jejmość usta ręką zasłaniała.

Przesiedział Staszek u pana Mikołaja cały wieczór, a zdało mu się, że chwilę tylko. Nie wiedział sam jak czas zbiegł. Oczu nie mógł oderwać od pięknej Anulki, której smutnawy wzroczek, jakoby magnetyczną siłę posiadał.

Wróciwszy do mieszkania i położywszy się na łoże, długo nie mógł zasnąć, wciąż widząc przed sobą parę błękitnych ocząt i rumianą twarzyczkę panienki.

Przyznał sam, że w życiu nie spotykał piękniejszej.

Nazajutrz dowiedział się od pana Mikołaja, że Anusia przyjechała na stałe zamieszkanie, albowiem miała tylko ojca, który fortunę stracił i utrzymać jej nie mógł, o czem zawiadomiona pani Mikołajowa, siostrą będąc nieboszczki matki panienki, do siebie ją sprowadziła.

— Szkodaby dziewczyny — kończył staruszek. — Istna przylepka! Nam nie zaciąży, boć własnych dzieci nie mamy, a jedno raźniej w izbie gdy takie młode i piękne stworzonko się kręci. U ojca zmarnowałaby się nieboga...

— A ojciec jej? — dopytywał Staszek.

Stary machnął ręką.

— Niema o czem gadać, mopanku. Stracił fortunę i basta, chociaż nie ze swojej winy. Co chcesz? Dopust Boży...

— Może to i on? — myślał podstolic, szlachcica wiadomego na pamięci mając. — Ano, co mi tam. Zawdy panienka piękna i ile się zdaje do rzeczy...

Odtąd począł coraz częściej do pana Mikołaja zachodzić i całe wieczory spędzać.

Rakuzki to zauważył.

— A wiesz że jejmość mopanku, co się u nas święci? — rzekł pewnego razu do żony.

— Co się ma święcić? — odparła.

— Ano toś chyba oczy straciła mopanku. Wyraźnie Stanisław ku Anulce się ma...

— Co bo jegomość wygadujesz! — zawołała żona, oczy wielkie robiąc. — W imię Ojca i Syna...

— Powiadam ci serdeńko, że tak jest — ciągnął stary tabaką się racząc. — Wierzaj mi. I co jeszcze. Dziewczyna mu wcale nie krzywa.

— Ot! ubrdałeś Mikołajku, więcej nic.

— Masz-że tobie! Ubrdałeś. Com winien, żeś nie dopatrzyła mopanku. A czy to dawniej przychodził do nas podstolic tak często? Hę? Czy wysiadywał późnemi wieczorami? Dzisiaj co? Byle zmrok — on tuż! Jeżci mopanku nie dla jejmości ani dla mnie przychodzi, jedno dla Anulki.

Pani Mikołajowa w ręce plasnęła.

— Może jegomość i racyję masz! — zawołała.

— Jużci że mam — mówił staruszek tryumfująco. — Ho! ho! moja mościdziejko, człek nie dzisiejszy... słyszy jak trawa rośnie!..

— Boże uchowaj jakiego nieszczęścia — szepnęła pani Mikołajowa. — Potrzebaż nam tego.

— Co jejmości w głowie mopanku? Nieszczęście, że dwoje młodych się rozmiłowało? Takżeś trafiła...

— A jeżeli... boć nie znamy pana Stanisława. Może jaki niecnota...

Oburzył się stary i burknął.

— O! o! Jeszcze czego. Chłopak znać golijasz ale uczciwy i zacnej krwj... Jejmość zaraz z posądzeniami mopanku.

— Choćby i tak — westchnęła pani Mikołajowa. — Ale zresztą cóż z tego? On niema nic, ona też...

Tu staruszek nachyliwszy się do ucha szepnął:

— Nie turbuj się jejmość... rada się znajdzie. Toć że mamy trochę grosiwa... a i u podkomorzyny nie zamrę głodem. Oko Boże nad nami mopanku..

Uściskał żonę i ręce zatarł.

Wejście Anulki przerwało to zwierzenie poufne...

— Aśćka się niecierpliwisz — począł staruszek z figlarną miną do dziewczyny. — Czekamy na kogoś, aż niecierpliwość bierze.

— Na nikogo nie czekam — odparła Anulka.

— Ejże mopanku... przyznaj się aśćka, bo kłamstwo grzech.

— Wuj dobrodziej upatrzył sobie dziś do mnie sama niewiem co...

— Nie upatrzył... ino wieczór mopanku nadchodzi, a pana Stanisława niema — śmiał się staruszek. — Nie zgadłem? Co? Widzisz serdeńko, że nie upatrzenie.

Anulka zarumieniła się po uszy i oczy spuściła.

— No, no... nie sromaj się Anulku... już nic powiem nic. Da Bóg wszystko będzie dobrze. Byle uczciwie... byle uczciwie...

— Nie rozumiem wuja dobrodzieja — szepnęła Anulka zmięszana, poczem siadła do krosien i pilnie się robotą zajęła.

Ktoby jednak uważnie patrzył — dostrzegłby, że robota jej się nie wiedła. Iglica odmawiała posłuszeństwa, wzorzyste włókna plątały się bezładnie, rączka jakoby drżała. Dziewczyna schyliła się nizko nad krosna, czy dlatego żeby się baczniej przypatrywać robocie — czy też... aby wujostwo nie widzieli żywych rumieńców, lśniących niezwykłem światłem ocząt i szybko falującej piersi.

X.

I przytrafiło się podstolicowi to — co się każdemu prawie przytrafia w życiu prędzej czy później. Rozmiłował się po same uszy w Anulce, tem pięknem szlachetnem uczuciem, które poeci wszystkich narodów za gwiazdę przewodnią wziąwszy, kroczą pod jej światłem.

Była to pierwsza miłość podstolica — i... bo czemużbyśmy taić mieli... pierwsza również Anulki.

Pierwsza miłość... Ileż w tych słowach piękna? Jak harmonijnie się odbija o uszy każdego to pojęcie? Brzmi w nich tyle powagi szacownej, tyle namaszczenia... Zaprawdę — w tych dwóch wyrazach zawarty jest cały poemat, któremu żaden wytwór fantazyi mistrzów nie zrówna. Jest to niejako alfa i omega piękna, źródło niewyczerpane wszystkiego co jest szlachetne i uczciwe. Uczucie to wytwarza bohaterów i geniuszy... jest ono potężną siłą, z którą się równać może li tylko miłość ojczyzny. Stwarza ono wiosnę w piersi człowieka. Nieci szlachetne myśli, budzi drzemiącą duszę, pobudzając ją do czynu.

Nie będziemy roztrząsali co było przyczyną rozbudzenia tego uczucia... jest to albowiem prawie że niemożliwe. Dla nas dość będzie, że dwoje młodziutkich istot, nie znając się przedtem, rozmiłowało się w sobie. Dziwny zbieg okoliczności sprowadził ich w jedno miejsce — spojrzeli po sobie i.. wspólna ich myśl przejęła.

A nie wyrzekli słowa do siebie w tej kwestyi. Przyszło to samo z siebie. Podstolic przypatrzyw

szy się Anulce zawyrokował, że jest wcale piękną, a poznawszy ją bliżej dodał — anioł dziewczyna.. Anulce z kolei podobał się Staszek, a ze znajomości wypadło, że posiada wszelkie zalety, jakie kawaler mieć powinien. Jednem słowm, oboje wywnioskowali toż samo.

Skończyło się atoli na tym wniosku. Jak on tak ona nie posunęli pragnień wyżej. Dlaczego? Prawdopodobnie, że było im tak jak dotąd bardzo dobrze. Oddawszy sobie myślą sprawiedliwość, patrzyli na siebie adorując nawzajem, już nie jako obcy, ale jako dobrzy i starzy przyjaciele.

Podobny stan rzeczy trwałby niewiadomo jak długo, gdyby nie pan Mikołaj, który przerwał obojgu młodym spokojne lubowanie się sobą. Staruszek nadybawszy podstolica samego rzekł poważnie.

— Mopanku... mam z waszmością parę słów.

— I tysiąc, kochany panie Mikołaju — odparł Staszek.

— Owóż... urazy do mnie nie miej, gdy ci się przemówienie moje niepodoba, ale... odpowiadaj mopanku szczerze.

Tu poważną minę nastroił i dodał:

— Waszmość ku Anusi się masz?

Odskoczył pytany — jakby go kto warem oblał.

— Ano... nie strachaj się... Ha! ha... stare oczy mopanku widzą dobrze? Co?

— Panie Mikołaju — bąkał młodzian.

— Nie wymawiaj się, bo widzę dobrze wszystko. W sekrecie ci mopanku powiem, że i ona nie od tego. Jako opiekun dziewczyny... szczerze tę kwestyę aprobuję... jedno uwagę ci zwracam, panie Stanisławie, abyś... wyraźniej stąpał... Ludzkie języki znasz. Złe są i radeby każdego uczciwego

mopanku na hultaja wykierować... Sentyment... bardzo piękna rzecz... Ano, otwarcie warto kiedy pogadać. Inaczej mogłoby to zaszkodzić dobrej sławie dziewki...

Staszek języka w gębie zapomniał — stary widząc to roześmiał się i kończył.

— Ukalkuluj jak sam chcesz. Jam to powiedział com uważał za konieczne. Dobrej myśli bądź i... z Bogiem mopanku.

Uściskał podstolica, kiwnął mu głową, palec na usta przyłożył.

Niespodziewane to przemówienie sprawiło chaos w myślach Staszka. Chwilę nie mógł przyjść do siebie.

— A! — wykrzyknął ściskając głowę rękoma i zamknąwszy się w swej izdebce siadł zadumany.

— Ma racyę stary — zakonkludował po długiej rozwadze. — Do niczego to nie doprowadzi... Ano... dziewka młoda... piękna... skromna.. przykładna... czemużbym...

— Niedokończył — kalkulacya ta go ośmieliła. Naraz w czoło się uderzył.

— Ba! ona uboga; a jaż co mam? — zapytał sam siebie. — Ożeni się bieda z nędzą, co dalej?

Posmutniał, jasne myśli pierzchły.

Wedle kalkulacyi okazała się niemożebność, iżby on, człek nie mający nic zgoła, żenić się mógł. Z próżną garścią gospodarstwo zaczynać — to z piasku bicz kręcić.

Myślał, myślał — aliści nic nie mógł wymyśleć.

— Stary racyę ma... Trza co stanowić.. Dziewkę mogliby na języki wziąć... Ano... Bóg świadkiem, że serce mi wzięła, wszelako... trza o niej zapomnieć.

Mocno powziął tę myśl do serca.

Insze rzeczy komplikowały się w myślach podkomorzyny i jej adoratorów. Ratułt osobliwie i starościc Otocki, od czasu pojawienia się Staszka, nie mieli pokoju. Przeczuwali w podstolicu intryganta, który podszył się jeno skórą plenipotenta, aby ciepłą wdówkę pojąć.

Jedno Jacymirski i Łazicki nie podzielali tych domniemywań.

— Rotmistrz furyat i szalona pałka — tłomaczył niedaleko widzący cześnik. — Ubrdał sobie periculum jakoweś i kwita! Chłopczysko znać spokojne i uczciwe...

Łazicki nie mniej człowiek prosty myślą to samo mówił.

Aliści Ratułt od zdania swego nie odstępował.

— Furfanta kawał! — mówił do Staszka pijąc. — Dalipan uszy mu obetnę.

— Mój rotmistrzu... zważ na skład rzeczy! Chłopak goliat... jakżeby oczy śmiał podnieść na podkomorzynę. Zresztą wiek! Kto wie czy nie młodszy od niej.

— Waszmość ślepiec i tyle! — burzył się Ratułt. — Siedź cicho kiedy chcesz, ja co innego myślę.

Nie zaczepiał mimo to Staszka — żadnej poszlaki doszukać się nie mogąc.

Podkomorzyna zaś z każdym dniem coraz więcej przywiązywała się do podstolica. Była tego przekonania, że młody człowiek nie okazuje dla niej jawnej sympatyi z tej racyi, że nie śmie.

Starała go się tedy ośmielać wszelkiemi sposobami.

Prosta rzecz, że Staszek tego nie rozumiał.

Nakoniec Ratułt, który pono tę sprawę do ser-

ca wziął, póty tropił i uważał Staszka, aż zauważył stosunek jego do Anulki.

— Tuś mi paniczu! — zawołał. — Mam cię!

Z odkrycia swego postanowił niezwłocznie skorzystać, uwiadamiając o tem podkomorzynę.

Wybrawszy tedy stosowną chwilę, a nierozpowiadając nikomu o swojem odkryciu przedtem — zaczepił podkomorzynę.

— Ale chwat z plenipotenta dobrodziejki mojej — począł z przekąsem. — Zuch jakich mało. Na pozór cicha woda... zawdy przecie wedle przysłowia brzegi rwie...

— O Trzcińskim mówisz rotmistrzu?

— O nim, pani podkomorzyno. Wszakci generalissimus jej, nikt jeno on.

— Uczciwy młodzian — obojętnie rzuciła Ilowiecka.

— I gust ma — dodał rotmistrz. — Sarenkę sobie wypatrzył i odrazu do niej. Snać gracz nie lada. Taktyk wojenny w sztuce zalotniczej... Bogdajbym chociaż w części był takim...

Westchnął i uśmiechnął się zjadliwie.

— Złośliwy jesteś rotmistrzu — rzekła podkomorzyna dotknięta.

— A Boże mnie broń! Mówię o tem co wszystkim wiadomo. Dobrodziejka moja sama zapewne wie o jego koperczakach do krewnej starego Rakuzkiego? Niema co mówić... dziewczyna jak łania.

Usłyszawszy to podkomorzyna zbladła — tknęło ją coś, niby wiatr lodowaty wdarł się do głębi piersi i raptownym prądem je zamroził. Stłumiła przecież wzruszenie.

— Z waszmości plotkarz! — szepnęła.

— Tak mi Boże zdrowie daj, jak prawdę mó-

wię. Smali cholewki pan Stanisław do dziewczyny. Sroki o tem na płotach gadają...

— A waszmość jak one powtarzasz nie wiedząc co — przygryzła Iłowiecka.

— Hm... pani podkomorzyna mocno się tą kwestyą interesuje — szarpiąc wąsa wycedził rotmistrz. — Wybrałem się nie w porę, za co przepraszam i o penitencyę suplikuję.

Nie słuchała go więcej piękna wdówka, zbyła byle czem, bo czuła się niezwykle wzburzoną.

Samą zostawszy jęła szybko przechadzać się po komnacie zmarszczywszy brewki.

— On? On? — zapytywała sama siebie. — Zaleca się? Cholewki smali? Dla kogo? A może nawet i kocha? On? Jak śmie? Jak?

Nagle zatrzymała się i rozśmiała spazmatycznie.

— Dziwnam doprawdy... Obeszło mnie to jakbym go...

Z przestrachem podniesła oczy przed siebie i głowę ścisnęła. Skronie jej były gorące... twarz płonęła... wzrok błyszczał.

— Kochać go? Ja?... Nieznajomego prawie? szeptała urywkowo. — Kochać go...

Starała się zadać fałsz uczuciom — kłamała sama przed sobą.

— Cóż mnie może obchodzić on? — rozważała dalej. — Z łaskim go przyjęła, boby z głodu zmarł. Z litości... Zaleca się. Wszystko mi jedno. Niechaj się ożeni. Ani mnie to ziębi ani grzeje...

Pomimo tych perswazyi — uspokoić się nie mogła.

— Zaleca się? Cholewki smali? Może i o kobiercu myśli? Z kim? Krewna — powiada rotmistrz — starego Rakuzkiego... Ciekawam nader kto jest

ta dziewczyną? Zapewne młoda i nieszpetna...

Nie wytrzymała długo piękna wdówka, znalazła pozór jakiś i niebawem sama weszła do państwa Mikołajów.

Poznawszy Anulkę — przyczem wypytała się o nią dokładnie pana marszałka — wróciła do siebie pognębiona. Nowinka udzielona przez rotmistrza, której wierzyć nie chciała, którą uważała za wymysł zazdrości konkurenta — niestety miała wszelkie podstawy. Anulka w istocie była piękną.

Rzuciła się na fotel i twarz w dłonie ukryła.

— Więc to prawda! On ją kocha... Tak jest.... Nie skłamano przedemną... A ja?...

Podkomorzyna cierpniała. Doznała srogiego zawodu, którego się wcale nie spodziewała. Dotychczas — nie wiedziała sama o tem, że kocha podstolica... działała za popędem, nie badając jakim. — Teraz dopiero przekonała się, jaki stosunek zachodzi pomiędzy nią, a młodym człowiekiem.

Nie uważała się jednak za zwyciężoną. Kobieta w takich razach walczy zacięcie z przeciwnościami, nie tracąc nadziei do ostatka.

— Może to niewczesne domniewywania rotmistrza — perswadowała sobie. — Może taktyka podstępna?... Cóż z tego, że piękna? Nie ona jedna na świecie. Ma koniecznie ją kochać?

Ożywiła ją ta myśl.

— A zresztą... i jam przecież...

Wstawszy do zwierciadła się zbliżyła i wpatrzyła w nie.

Lśniąca powierzchnia odbiła podobiznę pięknej wdówki. Podkomorzyna uśmiechnęła się. Widziała naprzeciw twarz wcale nieszpetną... upiększoną miłością własną.

— Rotmistrz plotkarz i zazdrosny — rzekła w

końcu. — Tamta?... Nie! On tamtej kochać nie może.

Uczuła się swobodniejszą... atoli nie zupełnie spokojną. Postanowiła na oku mieć Anulkę.

Staszek zaś nie domyślał się niczego. Bo i skądżeby mu do głowy przyjść mogło, że podkomorzyna, pani tak można... dostatnia, mogła zwrócić oczy na niego, posiadając tyle inszych do wyboru?

Kochał Anulkę... rozmiłowywał się coraz to bardziej.. a marwił się własnem położeniem.

Mimo zawziętego postanowienia... bo umyślił do marszałka nie zachodzić... codzienną wizytę regularnie składał. Ciągnęło go coć do Anusi, parło... We dnie uplanowawszy coś, owo coś za nadejściem wieczora niweczył... i szedł do państwa Mikołajostwa — a szedł po to: aby coraz to bardziej przywiązywać się do dziewczęcia, które się od pewnego czasu stało jedynem jego marzeniem.

Rakuzcy patrzyli na to, wzdychali — lubując się w duszy młodą parą.

— Jejmość uważa jak oboje pasują do siebie— szeptał pan Mikołaj żonie po cichu. — W korcu maku by szukać podobnej pary.

— Byleś jegomość nie przekalkulował w rachunkach — odpowiedziała żona.

— O! o! Co znowu. Mopanku nie ślepym i olej w głowie nie wysech. Obaczysz jejmość — że będzie z tej mąki chleb!

— Daj to Boże... — wzdychała pani Mikołajowa.

Traf chciał, że Staszek wcześniej niż zwykle zaszedłszy do państwa Mikołajów, zastał samą jedną Anusię. Staruszkowie w gościach byli i zasiedzieli się jakoś — co i, mnie się rzadko zdarzało.

Anulka zoczywszy podstolica zmięszała się chwilowo — on też... dowiedziawszy się że była samą, poczuł się nieswoim.

— Zapewne niezadługo nadejdą — mówił stojąc, a niewiedząc czy ma zostać, czy też iść precz.

— Tak obiecali — odparła panienka.

Nastąpiło milczenie. Staszek czapkę miął,, — chrząkał, kaszlał, a oczu nie śmiał podnosić... Anusia niby coś uprzątała.

— Niechże pan siądzie, panie Stanisławie — odezwała się pierwsza.

— Dziękuję pięknie pannie Annie... Gdybym wiedział, że wrócą niedługo, zaczekałbym...

— A gdyby przeciwnie? — rzuciła figlarnie.

— Hm... gdyby... ano... — zająknął się Staszek.

— Pana podstolica moje towarzystwo musi nudzić zatem...

— A! co też panna Anna najlepszego powiada — przerwał Staszek. — Toćbym chyba zbrodniarzem był tak twierdząc...

— Aż tak?! — rozśmiała się dziewczyna.

— Jakże inaczej... Do końca świata siedziałbym patrząc na pannę Annę, a poczytałbym to sobie za rozkosz najwyższą...

— Co temu — to — nie wierzę...

— Panna Anna doprawdy nielitościwa — zawołał Staszek. — Godziż to się być do tyla srogą...

— Srogą...

— Nieinaczej... Bóg świadkiem, że szczerze mówię, bo kłamać nie potrafię przed nikim... Gdyby panna Anna zajrzała do mego serca i obaczyła co się w niem dzieje...

— Nie ciekawam...

— Panno Anna — dalipan grzech... Co tam! Niech co chce będzie, a raz powiem to — co czuję...

— Wyjrzę czy wujostwo nie wracają — chciała przerwać dziewczyna, ale jej podstolic drogę zastąpił.

— O chwilkę czasu proszę... Muszę się przed panną Anną wyspowiadać z grzechu, który mnie gryzie... dusi... szarpie, a spokoju nie daje...

— Ależ jam nie ksiądz...

— W tym razie nikt inszy nie pomoże, jeno panna Anna... Ja sam nie wiem jak śmiałem.... jak się to stało... znać Boża wola... alem... alem pannę Annę pokochał z całego serca i żyć mi bez niej niepodobna...

Przestraszyła się dziewczyna.

— Panie podstolicu... to brzydko... to bardzo brzydko z pana strony... — wyjęknęła.

— Cóż bo w tem zdrożnego. Gotówem głośno i — wobec każdego to wołać: że umiłowałem ciebie Anulko duszą, sercem...

— Na Boga — szepnęła Anusia. — Jeszcze kto usłyszy...

— Niech słyszy! Co mi tam — wołał rozpromieniony młodzian. — Niech się świat cały dowie, żeś ty Anulko dla mnie wszystkiem... Wszakci niema w tem złego nic? Młodym... panna Anna też... oboje serca mamy... Ludziom do tego co?... A Pan Bóg pobłogosławi, boć miłowanie nasze nie grzeszne...

Dziewczyna milczała pomięszana — stała drżąc z zapłonioną twarzą i załzawionym wzroczkiem.

— Panno Anno — modlił się do niej podstolic — Anusiu... Andziu, Anulku... daj mi rękę i moją bądź! Prawda — obojeśmy ubodzy, ale pono szczęścia nie w bogactwie szukać. Młody jestem, ręce nie od próżniactwa mam... chleb się znajdzie.

— Ależ wujostwo... ojciec...

— Biorę wszystko na siebie. Poprowadzę rzecz godziwie i pięknie... jedno bylem wiedział, że mi sprzyjasz...

I ręce złożył, oczekując, co odpowie dziewczyna.

— Jam ci panu podstolicowi nie krzywa — odparła po chwili — ale nie wiem, czy nam ludzie na to pozwolą...

Podstolic chwycił jej rączki i okrył pocałunkami.

— Pozwolą! pozwolą! — zawołał. — Bóg ci zapłać Anulka za pociechę; życia mi i sił przybyło...

Byłby na kolana padł rozmiłowany młodzian, aliści państwo Mikołajostwo wrócili... Oboje młodzi nastroili twarze jak mogli obojętnie... chociaż baczniejsze oko dojrzałoby na nich jedno udanie.

Podstolic wieczora tego niedługo u pana marszałka bawił... Wymówiwszy się zajęciem odszedł wkrótce — bo czuł, że mu potrzeba powietrza, tak mu tchu w piersi brakło. Serce mu się tłukło głośno, pulsy falowały — ledwie na miejscu siedział... Wybiegł tedy ze dworka pana Mikołaja szybko i sam nie wiedząc czemu, pędził jak szalony przed siebie, nie zwracając uwagi gdzie idzie. Stanął wreszcie nad Wisłą... westchnął głęboko.

Noc zapadła — a była pogodna, gwiaździsta— bez chmur i wiatru. Płynął jasny miesiączek po niebie — za nim roje gwiazd mrugając srebrnemi powiekami, a przeglądając się w jasnej, spokojnej powierzchni Wisełki.

Staruszka macierz wód polskich, zwolna toczyła swe nurty, z cicha pomrukując niby pacierze jakoweś. Czasem jedna swywolniejsza fala głośniej uderzyła o brzeg, chlupnęła, zawarczała, zapieniła się, rozpłynęła potem i znikła... Czasem echo jakie zaszumiało po nad szklistą powierzchnią— zadudnia-

ło dziwnym odgłosem wnet przepadając — i znowu potem nastawała poważna cisza...

Stał podstolic na wybrzeżu przypatrując się Wisełce, — powietrze chciwie czerpał, chcąc ochłodzić żar, który mu piersi piekł... Zdjął czapkę, rozpiął żupan, napawa się ciszą nocną...

Wszystko wydało mu się tak dziwnie pięknem, tak pociągającem — jak nigdy. Księżyc śmiał się do niego wesoło, gwiazdy mrugały figlarnie, jakby wtórując radości, którą czuł w sobie.

— Jakiż bo świat ten piękny! — myślał. — Miły Boże... a ludziska jeszcze się skarżą.

Zapomniał w tej chwili niebogi o wszystkiem co przeszedł — zapomniał o tem, że na świecie po śmiechu — łza się zjawia, po weselu smutek, że kwiat szczęścia nie trwa wiecznie... i byle wiatr... porwie listki, ogołoci go, zasuszy... aż zwiędnie i główkę martwą skłoni w boleściach...

Zapomniał i o tem nawet młodzian, że ubogi sierota... że ciężka go czeka dola... O wszystkiem zapomniał. Był szczęśliwy w tej chwili; szczęście to upajało, rozmarzało — wszystko zdobiąc jasnemi barwy. Jak serdeczna nuta grała mu w uszach, tęskna a miła, a piękna — odbrzmiewała echem w piersi i porywała myśli harmoniją swoją. Zdało się w tej chwili Staszkowi, że wszystko mu się uśmiecha, dzieli jego szczęście i ośmiela do życia przyszłego.

Gdyby mógł — objąłby jednym serdecznym uściskiem świat cały i do serca przytulił.

Boć była to jedna z chwil najmilszych w życiu ludzkiem — chwila, która się raz pojawia — trwająca niedługo... o której pamięć do grobowej deski się przechowuje. Stanowi ona dobę przełomu w życiu każdego, jest niejako chrztem do innego życia...

chryzmatem przyszłych cierpień, zawodów, łez i zawiedzionych nadziei. Pojawia się raz jeden tylko... niknie potem, zostawiając jednak oddźwięk, który przypomina się zawdy, a który stanowi pociechę cierpkiego i trudnego życia.

Podstolic był szczęśliwy. Czuł się nieomal panem całego świata. Nie zamieniłby się szczęściem swojem na nic — bodaj odepchnąłby i korony z pogardą... Nie myślał o niczem — jedno o pięknej swojej Anulce, która go miłuje tak jak on... która będzie jego... z pewnością jego... Był pewnym podstolic siebie — tak pewnym, że gotówby przeciw wszystkim żywiołom się rzucić... Nie przypuszczał, że może mu co stanąć na przeszkodzie... że człekiem jest mizernym, którego zamiary są tak trwałe, jako siatki pajęcze, lub barwa kwiatów...

Hm!... szczęście upaja... rozmarza... zasłania oczy... a nieraz jedna taka chwila skazuje człowieka na ciężki żywot, który się kończy dopiero w mogiłce na cmentarzysku...

XI.

Podobny zbieg okoliczności nie dozwolił Staszkowi utrzymywać obiecanych przezeń stosunków ze stryjem Tomaszem i Sabinką. Obadwaj ci ludzie — szczerze przywiązani do podstolica, wielce się interesowali jego milczeniem.

— Miraculum doprawdy... — mruczał pan Tomasz codziennie prawie. — Co się z tym młokosem dzieje? W wodę zapadł... Ni słychu ni dychu.

— Broń Boże... nieszczęście — podszeptywała stryjenka, która również serce miała do Staszka.

— Co bo jejmość prawi! — hukał Tomasz. — Małoż go dotąd gryzły?... Toć się chyba i przebrało...

— Już bo jak się komu nie wiedzie... wiesz Tomku.

— Ano, wiem — prawda jest... ale Staszek głowę nie od parady ma. Hm... niepoczciwie robi... Musiało się coś stać.

Z dnia na dzień oczekiwał wiadomości — ta atoli nie przychodziła. Przeczekawszy dość długo, staremu cierpliwości zbrakło.

— Może Sabinka wie co o nim. Trza z nim... panie tego... roz... hm...

I pewnego wieczora nakazał sobie wózek uszykować, nazajutrz zaś wyjechał do Płocka.

O Sabinkę łatwo się dopytał — znano mecenasa powszechnie. Mieszkał na ustroni, w starej kamieniczce, zajmując lichą izbinę na strychu.

Niezwłocznie się tam udał pan Tomasz.

Zastał starego wpół drzemiącego na wytartym fotelu, stojącym tuż przy oknie. Mecenas gości się nie spodziewał — rzadko kto do niego zaziérał — więc zdziwił się pojawieniem Trzcińskiego.

— Jakże mi się masz mecenasie! — powitał go wchodzący.

— Bóg żyw... pono pan Tomasz!... — żywo porwał się stary. — To mi niespodzianka... A siadajże waszmość... siadaj! Wysoko mieszkam... wdrapywać się do mnie to nie faramuszki!

Uściskali się, ucałowali serdecznie.

— Jam bo do waści w potrzebie, mój dobrodzieju — począł Tomasz. — Stało się miraculum, w którem ty, sądzę, że poradzisz.

— No, no... ciekawym... Procesik albo inna faramuszka.

— A broń że mnie Chryste od czegoś podobnego. O Staszka mi synowca idzie. Waścinej rady posłuchał i do Warszawy pojechał — odtąd ani o nim słychać. Nie wiem co się z nim dzieje. Może waść świadom w tej mierze, boć umieściłeś go u towarzysza-jurysty.

Sabinka rękoma o kolana klapnął.

— Nie trafiłeś, panie Tomaszu. I ja się też głowię, co podstolic z sobą porabia — bo od pewnego czosu znaku nie daje. Frasuję się tem mocno — ile żem do Nabierczyńskiego pisał przy okazyi, a ten mi jedno odpowiedział, że Staszek kancelaryę porzucił już kawał czasu (przyczyn nie wyłuszczył); gdzie się zaś obraca — nie wie.

— Coby to mogło znaczyć? — jakby do siebie mruknął pan Tomasz.

— Nie wiem... nie wiem, proszę ja waszmości. Kwestya zawiła, do rozwiązania trudna. Istny sęk!

— Chłopak uczciwy i szkodaby go... Bóg wie co mu się przytrafiło... Warszawa nie bagatela! Miasto wielkie, gdzie uczciwi są, ale i tałatajstwa dosyć...

— Święta prawda! Wdzięcznym też waści, żeś poruszył tę kwestyę... Na sercu mi leżała. Gdy łaska — na lampkę proszę. Piwnicy sam nie mam... więc chyba do winiarni.

— Nie zawadzi mój dobrodzieju.

—Ja myślę, kochany panie Tomaszu, zaprowadzę waszmość pana do naszego Małdrzyka pod trzy wieże. Mój to kąt, gdzie codziennie zachodzę... Dadzą nam tam trunku jak się patrzy.

Wkrótce obadwaj siedli w winiarni pod "Trzema Wieżami", gawędząc przy lampkach.

Małdrzyka winiarnia należała do najlepszych

w Płocku, znalazła się tam i przekąska i izba dla podróżnych, których obsługiwano sumiennie i porządnie.

— Owóż taka to historya — prawił Sabinka. — Nie mogę sobie wytłómaczyć czemu od Nabierczyńskiego odszedł. Nabierczyński... człek jak mało... stateczny, głowa nie lada... szkoła u niego dla młodzieży jedyna... Staszek też chociaż młody, olej w głowie ma...

— Trudno sobie sprawy zdać z tego... Miraculum! — mruczał pan Tomasz.

— Tembardziej się o niego turbuję, ile wiem, że fundusze miał szczupłe... a Warszawa pieniądze źre!

— Prawda mosanie, kochany mecenasie... — Święta prawda! Ano... wiesz co... gdybym tak ja się wybrał do niego? Ha?

Sabinka w ręce uderzył.

— W to mi graj! Z ust mi słowa wyjąłeś, kochany panie Tomaszu. Rada jedyna i ad rem!

— I ja sądzę, że inszej niema. Chłopaka jak syna kocham — ostatni on zresztą z naszego rodu. Ma się krew zacna poniewierać? Toćby miraculum było.

— Słusznieś rzekł. Gdyby nie to, żem stary i zapadam na zdrowiu... tak mi Panie zdrowie daj... pojechałbym sam. Aliści człek nie rządzi sobą.

Koniec — końców po długiej naradzie stanęło na tem: że pan Tomasz sam co najrychlej do Warszawy pojedzie, gdzie mu Nabierczyński za informatora posłuży.

Sabinka mu do jurysty listy dał — przyklaskując poczciwemu zamiarowi.

Jedno atoli stawało na drodze panu Tomaszowi — a był tem brak pieniędzy. Na razie o tem nie

pomyślał, w drodze dopiero przyszło mu to do głowy.

Po rozwadze... przypomniał sobie brata Bartłomieja.

— Nuż od niego dostanę. Bodajby prowizyę dać jaką chce a dostać... Człek twardy i zamknięty... Sprobować nie wadzi.

Do Obór chłopcu kazał jechać — jak sam myślał — na los szczęścia.

Trafił szczęśliwiej niż Staszek, bo tym razem gnój wywożono, brama stała otworem, a na dziedzińcu sam gospodarz. Ten obaczywszy, że ktoś wprost w bramę wali, na Skubę krzyknął:

— Biegaj niecnoto... dowiaduj się kto i odpraw...

Aliści zanim powolny Skuba ruszył z miejsca, pan Tomasz już zeskoczył z wózka i szedł ku bratu, którego poznał odrazu, chociaż dawno go nie widział.

— Jak mi się masz Bartoszu! — wołał Tomasz ręce wyciągając.

— A... a... — mruknął sknera witając brata, skrzywiwszy się przytem tak, jakby garniec octu wypił. — Pono Tomasz...

— Któżby inny... Aleś mi się zmienił Bartku! — niezrażony tem mówił Tomasz. — Zestarzałeś się, zwiędłeś...

— Zechciałeś! — bąknął Bartosz. — Wiek gniecie... przytem bieda doskwiera... człowiek ledwie że z głodu nie zemrze. Ty co innego, ale ja... Zmiłowania bożego czekam, a żyję... jak ostatni...

Mimowoli rozśmiał się pan Tomasz, — widząc zaś, że go brat nie prosi w gościnę, sam się z tem przypomniał.

— Przyjechałem tu do ciebie z kwestyą... a

byś, gdy łaskaw pod dach zaprowadził. Muszę też spocząć choć trochę, bom kości strząsł porządnie!

— Ano... chodź gdy chcesz... jedno na wygody u mnie nie rachuj, bom charłak zgoła. Izby wilgotne... niezdrowe — sam mało co w nich siedzę, byle spać w nich...

Pan Tomasz wąsa zagryzł nic nie mówiąc i szedł za bratem, który go do znajomej już nam komnaty wprowadził.

— Siądź... spocznij Tomaszu, a wybacz, że cię tak przyjmuje, ale... wiesz jak u mnie... — stękał gospodarz. — Pustki, golizna... bieda! Ot... jak się komu nie wiedzie... co chcesz rób!

— Przecież choć chleba kęs i gorzałki mi dasz — przerwał mu brat. — Głodnym porządnie, a na to cię chyba stać.

— Gorzałki bo nie piję. Szkodzi mi... A chleb?... może się znajdzie...

Wzdychając, mrucząc, a postękując wyszedł. Niezadługo wrócił ze Skibą, niosącym chleba bochen czarnego, nóż, soli w drewnianej korbeczce i flaszkę z gorzałką.

— U klucznicym znalazł trochę — rzekł wskazując na flaszkę. — Pożywaj co jest.

Tomasz zżymał się, lecz hamował. Nie chciał drażnić brata — spodziewając się od niego pomocy.

— Mówiłeś, żeś z kwestyą przyjechał? — zagadnął ciekawy Bartosz.

— Tak jest, i mam nadzieję, że nie napróżno — odparł Tomasz. — Posłuchaj jeno Bartoszu... trza mi pieniędzy... pożycz.

Jak oparzony skoczył Bartosz.

— Oszalałeś! — zawołał. — Trafił też... Ja? Ja?... Pożyczyć ci mam? Ja? Skądbym wziął?

Na to brat z flegmą.

— Mój Bartku... pomówimy z sobą otwarcie Nietylko ja, ale każdy o tem dobrze wie, że na gro szach siedzisz. Czemu to się kryć? Ludzi nie oboła mucisz. Fortuneś zbił iście senatorską, żyjąc jak łazarz ostatni, na wstyd całej rodzinie. A co ci z te go przyjdzie? Co? Sam jesteś... dla kogóż cho wasz? Do trumny z sobą nie weźmiesz...

— Co ty gadasz? Co gadasz? — bełkotał Bar tosz zmięszany. — Nie mam nic. Zdaje się wam tylko. Ludzie bajki puszczają, plotki. Widzisz sam jakie to moje bogactwo. Jak Pana Boga kocham, grosza mi brak...

— Ani Boga, ani mnie nie oszukasz. Zresztą nie przyjechałem do ciebie po datek. Proszę po życz, a oddam ci z prowizyą. Wiele mi nie potrze ba, 200 dukatów wystarczy...

Sknera głową jął kiwać.

— Dwieście dukatów... Ho! ho! Dwieście du katów... Człecze, gdzie ty rozum masz?! Skądby się u mnie pieniądze wzięły. Łatwo ludziom gadać. ale prawdziwie... ot! patrz... w łachmanach pra wie chodzę!...

Suknie wskazał.

— Zapłacę prowizyi ile chcesz — nie ustępo wał Tomasz.

— Upamiętaj się Tomku! Czyżbym tobie.... rodzonemu bratu odmawiał? Golizna u mnie aż strach! Sam na lichwę pożyczam. Dalipan pożyczam. Procesa miałem... nieurodzaje... pomor... grady wytłukły... ledwiem się nie obwiesił z rozpaczy... Skądbym ja dwieście dukatów wziął?!

— Nie dasz? — upierał się Tomasz.

— Skaranie Boże! — łamiąc ręce zawołał Bar tłomiej. — Chcesz... szukaj! Szukaj wszędzie. Je-

żeli co znajdziesz — bierz jak swoje. Ani słowa nie powiem.

Nie mógł już dłużej wytrzymać poczciwy Tomasz — buchnął gniewem głośno.

— Ano... to ci powiem żeś... świńtuch i skończona historya! Sknera jesteś, skóra, kutwa ostatni. Pieniądze masz i siedzisz na nich, jak on pies na sianie, co to i sam nie użyje i krowie nie da...

Bartosz rzucił się, chciał przerwać to wynurzenie brata, lecz mu Tomasz nie dał.

— Raz powiem ci prawdę i basta! A najprzód żeś człowiek nieuczciwy, niewart nazwiska które nosisz, bo żaden Trzciński takim jak ty kpem nie był.. I to ci powiem, że zmarniejesz, zgałganiejesz i zdechniesz na swej fortunie, a nikt nawet za twoją trumną nie pójdzie, boś nieużyty, serca nie masz i wieleś ludzi pokrzywdził...

— Co ty mi będziesz podobne rzeczy gadał — trząsł się Bartosz ze złości.

— Będę! będę i jeszcze raz będę. Nie kłamię ino prawdę powiadam. Miraculum takie!... Żyjesz na świecie bezpotrzebnie, jak kleszcz na owcy. Wstyd przynosisz rodowi naszemu... I co ci z tego? Obełgiwasz ludzi, stękasz, narzekasz — a dyabła za pazuchą nosisz... Nie warteś, aby cię święta ziemia nosiła...

Sknera burzył się — oczy mu krwią zaszły, żółte policzki zadrżały.

— Cicho bądź... morałów mi nie praw, bom starszy... Żyję jak chcę i basta.

— A ja mówię co chcę i także basta — mając się do odejścia krzyczał pan Tomasz. — To jedno ci powiem, że cię za brata nie przyznaję. Gnij sobie na swoich dukatach ty... kutwo przebrzydły!...

— A ty mi się na oczy nie pokazuj. Co ci do

mnie? Nie zaczepiam cię — daj i mnie spokój... A pieniędzy... nie dam! nie dam! Choćbyś konał - feniga nie dam... Ludzie niech prawią co chcą. Pal ich kat! Jam pan swojego dobra i koniec... Robię co mi się podoba, a na ludzi pluję! Ot tak!

Splunął ze złością.

— Bokiem ci to sknerstwo wylezie! Obaczysz...

— To wylezie... A ty mi z oczu zejdź skoroś taki! — perzył się w ostatniej pasyi Bartosz. — Nie wskórasz nic... nic! Mówisz że mam... Choćby tak było... i cóż z tego? Mam? — to dla siebie. Nikomu do tego nic. Zapracowałem, zebrałem... moje jest... Mówią sknera? Niechaj! Jam sknera, a wy głupcy, bo nic nie macie. Nieboszczyk podstoli zmarł w nędzy; ty co masz? A ja? Mędrszym od was!... Niech gadają co chcą... niech krzyczą... Nie boję się. Co moje to moje... Nikt mnie nie odbierze — a sam... nie dam!

— Szkoda mi było drogi do takiego jak ty człeka! Najgorszy żyd od ciebie lepszy. Pal cię kat... Bodaj cię oczy moje nie widziały — rzekł pan Tomasz i trzasnąwszy drzwiami wyleciał z zamku.

— A jedź! Na cztery wiatry jedź — krzyknął za nim Bartosz. — Myśli, że mnie tem dogryzie. Kontent będę... rad... Gości nie potrzebuję, ani twego afektu. Samemu dobrze. Jedź! Prosić nie będę... Ph!

Wyjrzał oknem — zaczem drzwi pilnie zamknął.

— Głupiec — mruczał pod nosem. — Patrzajno go... dwieście dukatów... Na fryca trafił...

Nachylił się na kufer stojący w kącie, skąd bocianką omszałą dobył i kubek. — Z bocianki nalał złocistego płynu, który znać wybornym był węgrzy-

nem, bo wnet po odkorkowaniu zapach dokoła się rozszedł.

— Jaki mi skory — mruczał wciąż pijąc z pełnego kubka. — Dwieście dukatów... Ho! ho!... Jak w dym trafił.

Wychyliwszy lampkę — bociankę starannie za kufrem okrył i sam wyszedł na dziedziniec.

Napój uspokoił skąpca nieco, już tylko od czasu do czasu bąkał, spluwając po stronach.

Dzień ten atoli znać był dla pana Bartosza feralis, bo w bramę wchodził nowy gość, na którego widok syknął przez zaciśnięte zęby i cofnął ku domowi.

Gościem tym był znajomy nasz szlachcic, którego podstolic na popasie w karczmie traktował.

Szedł niepewnie — taczał się — twarz ponsowa i zaszklone oczy, jasno świadczyły, że w głowie miał. Zoczył Bartosza i wprost ku niemu szedł.

— Skuba łotrze!... bramę zamykaj, bo mi tu wszelkie tałałajstwo włazi, — krzyknął Bartosz gniewnie i rejterował do zameczku — z pośpiechu jednak wielkiego potknął się i upadł; zanim się zaś wygramolił szlachcic stał nad nim kiwając się.

— Trzciński... a Trzciński — bełkotał — przyszedłem ci powiedzieć, żeś łotr i obwieś, na co przysięgnę każdemu. Rozumiesz? Ha!

— Skuba zatracony — wołał Bartosz chcąc się szedłem ci powiedzieć, żeś łotr i obwieś, na co przychwycił — wyprowadź mi zaraz tego opoja, bo ci łeb ze skóry oberwę.

— Kto opój? Kto? — oburzył się szlachcic. — Ja ci tu pokażę sknero, czy można szlachcicowi do nosie grać... Ja ci tu pokażę. Myślisz, że nie wiem coś ty za jeden? Hę? Złodziej! Złodziej wierutny, tak mi Boże przy skonaniu dopomóż... Ano... o-

baczysz, że z nami nie kwita... Przyjdzie kreska na Matyska...

Ujął wydzierającego się Bartosza pod rękę, dogadując wciąż.

— Opój powiadasz? Ano... jeżeli piję... to za swoje. Cudzego nie ruszam tak jak ty, coś mi nieprawnie fortunę wydarł... Powiadam tobie... że ci to nadobre nie wyjdzie... Sprawiedliwość Boża jest, a Witecki Witeckim ostanie. To wiedz!

— Ostawaj sobie dyabłem rogatym, a mnie spokój daj — mruknął Bartosz, zmykając do zameczku, zdoławszy się wyrwac szlachcicowi.

Tymczasem Skuba za bary ujął nieproszonego gościa i za bramę prowadził, czego ten zajęty mową własną nie zauważył. Dopiero gdy go zostawił samego i bramę zawarł — opamiętał się.

— A łajdak jeden — krzyknął grożąc pięścią.— Ja ci tu pokażę, co Witecki znaczy... ja ci...

Podparłszy się w boki szedł drogą, zataczając od brzega do brzega. Tak idącego napotkał zakonnik, należący do reguły OO. Reformatów, średniego wieku, dziarski, wesołej twarzy.

— Panie Janie... Panie Janie... nie wstyd-że ci — rzekł uderzając szlachcica po ramieniu. — W biały dzień spić się tak...

— Oj...cze Aureli... — całując go odparł szlachcic. — Mea maxima culpa! W piersi się biję i przebaczenia proszę... Pijanym... to prawda... ale z musu... Człek robaka zalewa — żeby go nie gryzł...

— Lepiejbyś waść zrobił, umartwienie Bogu ofiarując, samemu do pracy się wziąć... A tak co? Pośmiewisko z siebie robisz, nic więcej.... Ano... daj rękę i chodź zemną... Już cię więcej samego

nie puszczę, a ojca Marka poproszę, aby ci grosza nie dawał, bo go przemarnotrawisz w mig...

Pociągnął za sobą szlachcica ku klasztorowi, który nieopodal na wzgórzu stał.

XII.

Każdy fakt na świecie naszym jest prostym wnioskiem faktów, poprzedzających go, a podlega rozwojowi zastosowanemu do faktów ubocznych. Jest to reguła znana powszechnie, utarta, z pod której nic wyłamać się nie może. Dlatego też fakty, któreśmy poprzednio opisali — tyczące się podstolica — rozwijały się w konieczne następstwa. Dotychczas nic nie zaszło takiego, coby rozwojowi temu stanęło na przeszkodzie, — czytelnicy łatwo się zatem domyślą: że miłość podstolica ku Anulce i odwrotnie, z każdym dniem wzrastała, jak również miłość podkomorzyny. Z drugiej znowu strony pan Ratult i Otocki, coraz więcej zawziętości do "Piłata" (tak rotmistrz Staszka zwał) nabierali.

Obiecywali sobie codziennie do Trzcińskiego się zabrać i od podkomorzyny odsadzić, będąc przekonani, że młody człek działa podstępnie, niewinnego udaje, a w rzeczy samej skrycie manipuluje. Atoli starania ich były bezzasadne. Nie mieli punktu wyjścia... zostawali zatem bezczynnymi, jeno przygryzkami dokuczając, Bogu ducha winnemu Staszkowi, czego się ten nie domyślał zgoła.

Stan tak nienaturalny ciągle trwać nie mógł. Podkomorzyna starając się przyciągnąć Staszka, widziała, że starania jej skutku nie odnoszą, co tłómaczyła sobie wciąż nieśmiałością młodzieńca. Poczęła działać więcej stanowczo, jawnie, niejako

zwracając na niego oko. I to przecież nie przyniosło pożądanego skutku.

— Co to jest? — zapytała sama siebie. — Czyżby rotmistrz prawdę mówił?

Przypuszczenie to odtrącała skwapliwie, z od razą — przypisując wciąż nowinę, udzieloną przez rotmistrza, zazdrości.

Częstokroć sama postanawiała sprawdzić ową pogłoskę, i rozpoczynała ze Staszkiem rozmowę, chcąc ją na odpowiedzi tor wyprowadzić, któryby jej rozjaśnił wątpliwą, a tyle ją obchodzącą kwestyę, — za każdym razem przecież, gdy już prawie dochodziła pożądanego punktu... uczuwała nieśmiałość... milkła, lub zwracała uwagę na obcjętny przedmiot.

Podstolic tymczasem, wziąwszy na seryo rzeczy, kombinował je jak mógł. Milczał uporczywie, albowiem nie posiadał nic, coby go do stanowczego mogło upoważnić kroku. Rakuscy patrzyli na niego z pewnem wyczekiwaniem... on myślał, kalkulował — napróżno przecież. Był biednym, nie mógł zapewnić ani sobie, ani żonie, jeżeliby ją pojął, kęsa chleba.

Jeno czasami, gdy samą Anulkę zdybał, starał się jej myśli swe wypowiedzieć... Wtedy przecież mówił tak niezrozumiale... że go dziewczyna pojąć nie mogła.

To go nieraz do rozpaczy przyprowadzało.

— Bogdajby to kat spalił! — mówił do siebie. Człekowi wszystko idzie z lewej ręki! Ani myśleć o polepszeniu losu... Rób co chcesz —a golizna golizną!

O pomoc, ani o poradę do nikogo się nie udawał — bo naturę miał hardą, jak mało kto.

Dzień za dniem przechodził, Staszek się dręczył coraz to więcej.

Z czasem o Anulce rozniosła się wieść szerzej. Dziewka — będąc piękną niezwykle, oczy zwracała każdego. Nie pominął i jej też i starościć Otocki, człek namiętny, kawał birbanta i rozpustnika. Bywając codziennie u Iłowieckiej często Anulkę na dziedzińcu spotykał. Podobała mu się jak mało — a że nie miał co robić... koperczaki do niej jął stroić natarczywe. Aż i często—gęsto do Rakuzkich począł zachodzić.

Pan Mikołaj uśmiechnął się z boku i do żony powiadał:

— Anulka nasza istny lep. Już drugi się łapie...

Nie był w gruncie rzeczy tym odwiedzinom rad, ile że do starościna sympatyi i zgoła wielkiego nabożeństwa nie czuł.

Podstolic na starościca zaloty obojętnie z pozoru spoglądał — co innego przecież myśląc. Częstokroć brała go ochota dobrze skórę przetrzepać Otockiemu, hamował się jeno przez wzgląd na samą Anulkę.

Gryzł złość w sobie — dręczył się ofiarując umartwienie swoje Bogu.

Zasie Otocki coraz to natarczywiej do Anulki się przysiadał. Nie można było określić jakie ma zamiary. Zarówno jej, jak i pani Iłowieckiej dusery prawił i czule na obie oczyma strzelał.

To poczynało niecierpliwić Staszka.

— Pan marszałek widzi, co się dzieje? — zapytał przy okazyi Rakuzkiego.

— Cóżby mopanku?

— Ano... ten Otocki...

Stary się śmiać zaczął.

— Mopanku... waszmości zazdrość. Aha!

— Mówcie co chcecie, a mnie się ten człowiek nie podoba. Dwie pieczenie przy jednym ogniu pie cze. W pałacu umizga się do podkomorzyny — w oficynach ku Anusi strzela... Jak Bóg Bogiem to nie po szlachecku.

Na to pan Mikołaj poważnie:

— Prawdę mówiący mopanku i mnie on nie w smak! Dziwny człek. Nie strachaj się przecież Stanisławku, bo ... wedle przysłowia... kto pierwszy ten lepszy. Wreszcie Anulka rozum ma nielada i na Otockiego patrzy o tyle, o wiele musi. Mopanku... sambym w razie potrzeby opozycyę założył. Jak bo dajem zbawienia doczekał.

I znacząco głową kiwnął.

Podstolic za kolana go objął.

— Juścić skoro się zgadało tym kształtem, jegomość, panie Mikołaju, za złe mi nie bierzcie — że dalej rzecz poprowadzę — ozwał się na śmiałość wziąwszy. — Świadkiem mi Bóg na niebie, że nigdybym się z czemś podobnem nie ozwał, gdybyście mnie sami nie ośmielili...

Tu zająknął się.

— Ano... ano... — nagląco mruknął Rakuzki.

— Historya niedługa. Wiecie o tem, że Anulkę kocham... Pono ranne wstanie i wczesne ożenienie nikomu nie szkodzi, aliści... jam ubogi, chudy pachoł w całem rozumieniu tego sensum — Anulka... ile wiem... niema nic...

Zamilkł, jak gdyby odpowiedzi oczekując.

— Mopanku... poczciwyś! — po chwili rzekł stary. — Powiedziałeś jak należy na zacnego i rozumnego młodziana. Nie frasuj się wszelako, boć nie święci garnki lepią. W potrzebie choćbym i ja

wywianował Anulkę. Wiele nie mam — ale... samem z jejmością niby dwa palce...

— A niechże mnie Bóg broni, żebym miał przyjąć podobną ofertę od jegomości. Na to verbum daję, że się nie zgodzę. Lekko zdobyty chlebek przeje się i w gardle czasem stanie. Od tego ręce mam, aby żonę — gdy ją pojmę — wyżywić pracą własną... Niech jegomość myśli tej zaniecha.

Pan Mikołaj wąsa szarpnął.

— Jakże tedy?

— Czasu mi trza na kalkulacyę. Młody jestem, radę sobie dam...

Stary popatrzył na niego, coś bąknął — wreszcie uściskał serdecznie.

— Twardą masz duszę — rzekł — rogatą.... Aleś powiedział z sensem... Doradzać nie będę. Czyń jak rozumiesz, bom się przekonał, żeś łepski nie byle jako...

Dziękował Staszek mocno wzruszony tem wynurzeniem.

— Kalkuluj sobie tedy jak uważasz — kończył staruszek. — Zawdy niedługo, abyśmy wiedzieli jak się urządzać. Wolną ci wolę zostawiam... Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz.

Prosił w końcu młodzian staruszka, by zwierzenie się jego przy sobie zatrzymał, co ten mu przyrzekł solennie.

Zwierzenie to wielce rozradowało Staszka, dodało mu otuchy; wrócił raźny do swego mieszkania, pogwizdując wesoło.

W parę dni, odwiedzając jak zwykle Rakuzkiego zastał i Otockiego, który trefnych sobie żartów pozwalał i na Anulkę śmiało spoglądał, że podstolica ostatnia pasya porywała. Dziewczyna to bladła — to ponsowiała, nie wiedząc gdzie oczy ma po-

dziać; wreszcie wymówiła się zajęciem i wyszła z komnaty.

Otocki czekał, sądząc, że się pokaże; widząc jednak, że napróżno, pożegnał pana Mikołaja i wyszedł też.

Za nim Staszek.

Na dziedzińcu zatrzymał Otockiego podstolic.

— Słówko mam do was — rzekł przystając.

Ten — na humorze stracił przez ucieczkę Anuli; kwaśny był i zły.

— Słucham waszmość pana — burknął niewyraźnie.

— To dobrze, że waść słuchasz po woli, bo inaczej słuchać bym cię przymusił.

Otockiego jakby wodą oblał.

— A to co? — zawołał.

— Coś słyszał — odpowie Staszek. — Chciałem się krom tego waszmości spytać, czyś człek honorowy, czy nie?

— Ejże... guza szukasz!... — szparko zawołał Otocki.

— Chociażby. Wszelako ci powiem, że kawaler rozumny i godność swą szanujący, nie potrafiłby tak jak waszmość do sromoty uczciwe i zacne panienki doprowadzać...

— Cóż bo waszmość kaznodzieją jesteś, żebyś mnie miał rozumu uczyć?

— Czy kaznodzieją czy nie, wszystko jedno — z flegmą przemówił Staszek. — Radzę tylko waszmości, iżbyś się w nie swoje rzeczy nie wdawał i pomiędzy drzwi palca nie kładł.

Rozśmiał się na całe gardło Otocki.

— Ha! ha!... rozumiem o co chodzi. Waszmość o fartuszku Rakuzkich myślisz...

Szarpnął się z gniewem podstolic.

— Upraszam, iżbyś się waść w słowach miarkował i o pannie Witeckiej z rewerencya należną mówił....

Na to Otocki w złości.

— Odpowiesz mi za to... bo inaczej cię ze kpam...

A Staszek:

— Kpania się nie boję, bobym ciź szablą na takiego kpa wykierował, żebyś jak siekane jabłko kwęczał...

— Obaczym! — krzyknął strościc.

— Jam gotów...

— I ja! Ano... proszę w taniec.

— Z ochotą, byle nie dziś i nie tutaj. Awantury wielkiej robić nie chcę. Za zgodą waszmości — do jutra.

— Niechaj i do jutra. A skoro waszmość chcesz iżby się to pocichu odbyło, proszę do mnie. Szopę mam, gdzie miejsca poddostatkiem. Od świtu go czekam...

Skłonił się podstolic na znak zgody — poczem obadwaj adwersarze rozeszli się, czyniąc wzajemne honory nie bez szyderstwa.

Nie mógł się doczekać nasz podstolic, taką miał chrapkę na starościca. Nigdy jeszcze tyle zawziętości nie paczuwał, ile w porze tej. Ręka go świerzbiała, spać nie mógł, rzucił się na łoże w ubraniu i zanim rozedniało, na nogach był. Opatrzywszy szablę jak należy (a po ojcu miał prawdziwą damascenkę, przedziwnej roboty, lekką, zręczną w ujęciu, tak, że nią jak piórkiem można było rzucać), wyszedł na miasto, wprzódy do Jacymirskiego wstą piwszy, albowiem za świadka innego na razie nie mając jego wybrał.

Cześnik spał jak zabity, ledwie że go się dobu dził.

— Co się dzieje? — zawołał Staszka spostrzegłszy. — Gwałt jaki...

— Przychodzę prosić was, miły cześniku, abyś mi usługę raczył oddać i towarzyszyć jako świadek przy rozprawie ze strościcem Otockim.

— Pan Jezus przy dziecięciu!... A toż co znowu? — porwał się cześnik.

— Tuszę, że mi cześnik tej kawalerskiej przysługi nie odmówisz, bom na to nie zasłużył... Zasię gdy łaska, pójdźmy nie zwlekając.

— Na rany Chrystusowe, co się wam we łbach poprzewracało... Co? — stękał cześnik — wszelako wstał i ze Staszkiem wyszedł.

W drodze go dopytywał co było powodem; — Staszek jednak ominął pytania, krótko i urywanie zbywając.

— Powody mam nie byle jakie. Obraził mnie srodze... rozprawić się musimy.

— Ano... to się rąbcie — mruczał cześnik. Jedno mi się widzi, że nie ma o co.

Otocki czekał już na nich z rotmistrzem.

Adwersarze skłonili się ceremonialnie. Rotmistrz gryzł wąsów, a z pod oka na podstolica patrzył uśmiechnięty.

Niezwłocznie udali się do obszernej szopy, którą zamknąwszy, kontusze i żupany pozrzucali przeciwnicy i naprzeciw stanęli.

Szopa, jak powyżej się rzekło, była obszerna, przez wązkie okna wpadało do niej światło, służyła znać za skład belek i desek. Miejsca aż nadto w niej do rozprawy.

Świadkowie dali znak, sami się usunąwszy na bok, przeciwnicy do siebie skoczyli.

Jak jeden tak drugi szablą władał nielada — co obadwaj po pierwszych złożeniach poznali. Jeno podstolic miał więcej flegmy, a stróścic gorączkował się ogromnie, na co patrząc rotmistrz szepnął Jacymirskiemu.

— Palnie go młokos... jak mi Bóg miły...

Składali się dość długo bez ustanku, wykazując niemałą umiejętność w sztuce krzyżowej — starościc nacierał z impetem, przeciwnie podstolic odcinał się tylko, upatrując sposobnej chwili. Wkrótce też wyciągnął szablę i drapnął starościca przez czoło. ... ...

— Hola mosanie... tego nie dosyć! — zawołał Otocki, widząc, że Staszek opuścił szablę. — To nic nie znaczy. Drapnięcie ot i kwita... Chodźmy dalej...

Znowu skoczyli do siebie; tym razem atoli Staszka widok krwi rozgrzał i więcej szparko natarł. Starościc nie ustępował. Migotały szable niby dwie błyskawice, krzyżowały się, tłukły dźwięcząc różnorodnemi tony, to głucho, groźnie, ponuro, to jękliwie, to znowu pochopnie...

— Gracz! Gracz nie lada — mruczał rotmistrz zachwycony umiejętnością przeciwników. — Daj go katu! Anim przypuszczał, iżby taką rękę miał... Ho! ho!...

Cześnik też półgłosem aplauzował krzyżówkę.

Aż rotmistrz krzyknie.

— Jezus... Maryja... Józef! Przez pół go rąbnie...

W tej chwili Staszek upatrzywszy niezasłonięte ramię Otockiego, piorunem z góry się zmierzył i byłby mu chyba całą rękę przekrajał, gdyby nie traf, że starościc zawadził obcasem o zadrę u podłogi i padł jak długi.

Mógł skorzystać z tej okazyi podstolic, czego nie uczynił; szablę opuściwszy stał jak wmurowany. Otocki ze złością się podniósł — a tak był nie powodzeniem zirytowany, że ręka mu drżała jak w febrze.

— Jeżeli wola, projektuję trochę hungaricum na pokrzepienie i ochłodę — rzekł. A potem w dalszym trakcie...

Kiwnął tylko głową Staszek.

Poszli tedy do komnaty, gdzie Otocki wina postawił, chcąc sam animuszu większego nabrać i fantazyi.

Nie odmówił i Staszek kielicha; duszkiem wychylił kilka kubków wina.

Cała ta scena odbyła się w milczeniu.

Gdy znowu stanęli w szopie — na znak świadków starościc z takim impetem natarł, że się podstolic cofnął, nie zdążywszy podstawić szabli. Rozgrzany winem starościc płatnął go po karku z całej mocy, ale i sam w tej chwili krzyknął, bo Staszek w tej samej właśnie chwili, niemniej silnie z boku mu zajechał...

— Daliż sobie obadwaj! — zawołał rotmistrz, widząc, że jeden i drugi przeciwnik słaniają się. — Cześniku... na litoć boską trzymaj swojego, bo ja ze swoim mam robotę.

Stało się jak rotmistrz rzekł. Otocki Staszka ciął po karku szpetnie, a ten znowu przeciwnika po boku płatnął. Obadwaj stracili przytomność i byliby na ziemię upadli, gdyby nie świadkowie, którzy ich podtrzymali.

Nie wzywając nikogo do pomocy, rotmistrz sam do cyrulictwa się wziął, a że znał się na tem dowiodło to, iż wkrótce opatrzył tak jednego jak i drugiego z niezwykłą zręcznością. Obmył wodą rany i

na nie pajęczyny z chlebem poprzykładał, obandażował, potem sapnął.

— Trza ich do mieszkania zanieść i medyka jakiego zawołać, bo rany dyabelnie mi się nie podobają. Porąbali się fatalnie... Licho wie co z tego będzie...

Cześnik mrucząc klął a spluwał. Stękając pomógł rotmistrzowi przenieść do mieszkania obudwóch rannych, gdzie ich na łożach poskładano.

— Ano... teraz po medyka — mówił rotmistrz — Hm... wiesz cześniku, że mi młodego żal.. Chłopak łebsk.... krew w nim nie woda i składa się arte... Za serce mię wziął...

— A zawdyś psy na nim wieszał — wtrącił cześnik.

— To inna historya. Zresztą co tam o tem gadać... Posiedź waść tu, ja po medyka zbiegnę...

— Rotmistrz szalona pałka i więcej nic — mówił do siebie Jacymirski, chodząc od łoża do łoża. — Ot co jest... Odrazum mu powiadał... hm... A taki, młodego szkoda...

XIII.

Ratułt miał słuszną racyę twierdząc, że obydwaj przeciwnicy nie żartem się popłatali. Osobliwie Staszek tak fatalne odebrał cięcie, że mu medykowie nie wróżyli życia, co było prawdopodobnew, ile że ranę miał głęboką i jak się zdawało kości naruszone. Tego samego dnia wieczorkiem, przewieziono go do pałacu podkomorzyny, która dowiedziawszy się o wypadku zaszłym, mocno się zatrwożyła.

Nie wiedział Staszek, co się z nim działo przez pewien czas, nie wiedział, że leżał przeszło tygodni trzy bez najmniejszej pamięci. Gdy się ocknął i do koła spojrzał, znalazł się na wygodnem łożu, zasłoniętem wspaniałą kotarą, a przy nim jakąś figurę miłej twarzy, którą przypominał sobie, jak gdyby przez sen. Oprzytomnienie to pierwsze po trzech tygodniach, trwało niedługo. Zaledwie głowę podniósł, rozejrzał się, chciał coś mówić, jużci osłabł i w niepamięć popadł. To jedno zdołał dostrzedz, że gdy się poruszył, osoba przy nim siedząca w ręce uderzyła i coś krzyknęła z wielką radością.

Nazajutrz taż sama powtórzyła się historya — z tą różnicą, że już mógł cokolwiek myśli zebrać, a zarazem poznał, że osobistością, którą spostrzegł wczoraj, a którą i dziś na tem samem miejscu zoczył, była pani podkomorzyna Iłowiecka. Tym razem stał przy niej jakiś mężczyzna niski, pękaty, przystrojony z cudzoziemska, z ogromną łysą głową, twarzą pełną i małemi oczkami. Ten, skoro Staszek oczy rozwarł, coś szepnął, wziął go za rękę — głową pokiwał i rzekł coś niezrozumiałym językiem.

— Co się ze mną dzieje? — zapytał Staszek z trudnością. — Gdzież bo jestem?

—Averrtate di non dirmi — przerwał mu pękaty jegomość. — Patienza! Spero che fra pochi giorni sarete ristabilito...

— Być że to może?! — zawołała Iłowiecka.

Jegomość, którym był medyk, potakująco ruszył głową, skłonił się podkomorzynie z uśmiechem i odszedł, dodawszy:

— Ritornero dopo pranzo per farri una visita. Vi priego di non far la menoma cosa senza l'ordine del medico... A rivederri!

Patrzał na wszystko Staszek, przyglądał się, słuchał, nie mogąc zdać sobie sprawy, coby to znaczyć mogło. Widocznie był chory, ale skąd poszła choroba... nic nie wiedział.

Mówić mu podkomorzyna nie pozwalała, ruszać się wiele nie mógł. Osłabiony był do tego stopnia, że kości nie czuł.

Aliści codziennie mu się polepszało. Coś w dni cztery po oprzytomnieniu, Iłowiecka sama do niego zagadała.

— Jakże się waszmość czujesz?

Staszek mało na równe nogi nie skoczył.

— Wolnoż mi tedy gadać? — spytał.

— Byle niewiele.

— Najprzódy niechże mi łaskawa pani podkomorzyna wyjaśni, co było ze mną? Ani wiem.

— Nie pamiętasz waszmość? — uśmiechnęła się wdówka.

Głową potaknął Staszek.

— To dziwne. Jabym mniemała, że podobnego zajścia jakieś waszmość miał ze starościcem, rychło się nie zapomina.

— Starościc... Anulka... — mignęło po głowie choremu.

Jedno to słowo "starościc" rozjaśniło Trcińskiemu wszystko.

— Prawda... — zawołał. — Ano, dopiero teraz przypominam...

Wypytując dalej, dowiedział się, jako został cięty przez starościca, jak go przeniesiono do pałacu, a podkomorzyna sama prawie niemal przez tygodni trzy nad nim czuwała.

— Czemże się dobrodziejce mojej odwdzięczę? — mówił rozrzewniony Staszek. — Anielska to dobroć, którejem zaiste nie godzien....

— Przysługa chrześcijańska... Waszmość tu sam, musiałam tedy być mu siostrą...

To rzekłszy podkomorzyna spuściła oczy i zarumieniła się.

W kilka dni wstał już podstolic zupełnie zdrów. Rana zgoiła się wybornie, jeno blizna po niej została.

Najpierwszą myślą Staszka — było odwiedzić Rakuzkich. Dziwił się dlaczego pan Mikołaj, tyle mu serdeczny i przyjacielski, ani razu nie zajrzał podczas choroby. Odziawszy się przystojnie już miał wychodzić, gdy go spotkał Jacymirski.

— Zmartwychwstaniec! — zawołał klasnąwszy w ręce cześnik. — Jużeś na nogach waszmość.

— Wylizałem się jako tako.

— Patrzaj! A starościc kwęczy i badaj czy nie przyjdzie mu jeszcze ze dwie niedzielę z łóżkiem się zabawiać?

— Jeszcze chory?

— A jeszcze. Dojechałeś mu panie Stanisławie, boś dojechał... Ba! i on tobie sadła zalał.. Doktor wam życia nie obiecał — wszelako Bóg jakoś łaskaw...

— Bóg łaskaw... i poczciwa podkomorzyna, której nie wiem jak się wywdzięczę... — dodał Staszek.

Cześnik gorąco podchwycił:

— To prawda! To prawda, kochany podstolicu. Co za serce uczciwe... co za niewiasta święta! A! a...

Ustami cmoknął.

— Jak rodzonem dzieckiem, tak tobą podstolicu się opiekowała, przez co się nawet na gadaniny ludzkie naraziła.

— Gadaniny? — powtórzył Staszek.

— A tak. Osobliwie ten... furyat... rotmistrz — powiada, żeś jej amantem koniecznie.

Splunął podstolic.

— Rotmistrz to powiada?

— Rotmistrz. Wiem, że to nieprawda, boć oczy mam, ale jemu do łba wlazły jakieś podejrzenia, których się po dziś dzień nie pozbył.

— Verbum daję szlacheckie, że fałsz to żywy i bajda... — oburzony podchwycił Trciński. — A skoro rotmistrza nie przekonam słowem...

— Może chciałbyś go znowu wyzwać? — przerwał Jacymirski. — Dajże spokój, dopieroś z jednej biedy się wydrapał, do drugiej garść wyciągasz...

— Po co gada nieprawdy...

— A tobie, co szkodzi? Niechaj gada. Zresztą to nie jego wina, jeno zazdrości, która go burzy. Daj mu pokój i kpij z tego. Podkomorzyna cię nie obchodzi, bo swoją masz...

— Nowa plotka — mruknął podstolic.

Cześnik się zaśmiał serdecznie.

— Tego się nie wyprzesz, kochany podstolicu. Co nie, to nie! Ano... zresztą nie ma czego. Dziewczynka, jak wisieńka — istne malowanie... Znać też po niej, że duszyczkę ma poczciwą i skromną, jak rzadko. Jest co pokochać...

Mówił to Jacymirski szczerze, a podstolicowi aż serce rosło.

— To też musi ci po niej być tęskno — kończył Jacymirski. — Pewnie za nią polecisz. Jakbym zgadł.

— Pócóżbym miał lecieć, kiedy tu jest.

— Jest? Znaczy się — przyjechała napowrót.

— Alboż gdzie jeździła?

Cześnik popatrzył na niego uważnie.

— Udajesz, że nie wiesz, albo za franta mnie bierzesz.

— Gdzie zaś cześniku... właśniem teraz do Rakuzkich się wybrał — przerwał mu Staszek, którego wiadomość ta zaniepokoiła.

— Skoroć tak, to ci powiem, że minęło dwie niedziele, jak Rakuzkich wysłała podkomorzyna do Kalinowa, a ci jadąc, i pupilkę ze sobą zabrali.

Staszkowi, jakby kto żywego mięsa z ciała wydarł. W oczach mu pociemniało — zbladł, czoło ręką potarł.

— Wyjechali.

— Najwyraźniej — potaknął Jacymirski. — Ano... niema złej drogi do swej niebogi. Trafisz tam waszmość, trafisz! Jakbym zgadł...

Nowina ta zasmuciła wielce podstolica. Omal, że się w głos nie rozpłakał. Kombinując zaś wszystko to, co od Jacymirskiego usłyszał, i to, czego sam był świadkiem, przyszedł do wniosków, które go fatalnie zgryzły. Niezwykły sentyment podkomorzyny, nagłe wyprawienie Anusi pod innym pozorem... gadki rotmistrza... wszystko to wyrodziło przypuszczenie; czy też podkomorzyna w nim nie zagustowała?

— A tobym się ubrał dopiero! — zawołał wpadłszy na tę myśl. — Trza tę kwestyę zgruntować jak należy.

Łacno przecież powiedzieć, — aliści wziąć się do rzeczy wcale inaczej... Sęk był nielada... Materya delikatna... Wręcz zapytać nie mógł podkomorzyny, boć mogło to być plotką, za którą by się niewiasta obraziła śmiertelnie... Inszy sposób do głowy mu nie przychodził.

Posmutniał Staszek, chodził jak oszołomiony, siadywał godzinami samotnie... Tęsknica brała go

wielka — a fatalnością położenia gryzł się coraz to bardziej.

Zauważyła to Iłowiecka — kilka razy nawet zapytywała, co mu jest, na co odpowiadał, że jeszcze po chorobie do sił nie przyszedł, nie śmiąc wyznawać prawdy.

Razu pewnego, gdy odniósł nadesłane z folwarków pieniądze i sam takowe przy podkomorzynie liczył, myląc się co i raz — wdówka znienacka go zaszła...

— Waszmość mi, panie Stanisławie, doprawdy coś niedomagasz? Powiedz raz, co ci jest...

Machnął ręką podstolic.

— At! gadać nie warto.

— Ależ powiedz waćpan...

— Nic ciekawego, pani podkomorzyno łaskawa.

— Owszem... dla mnie bardzo. Szczerzez się interesuję wszystkiem, co jeno waćpana tyczy.

Westchnął Staszek.

— Myślę ja nad tem i frasuję się, o co mnie źli ludzie posądzają, a czegom ja niewinny...

— Wolnoż wiedzieć nad czem?

Słów brakło Staszkowi.

— Hm... gdybym wiedział, że pani podkomorzyny to nie obrazi...

— Nie! nie! Z góry pewną jestem. Mów mi wszystko tak jak i jest...

— Ano... to i powiem — począł Staszek. — Oto powiadają ludziska, jakobym ja... umizgi stroił do mojej dobrodziejki. To mnie gryzie jak zmora i od umartwienia spokoju nie mam.

Po twarzy wdówki dreszcz przebiegł — coś jej krew zamroziło... wstrzymała oddech, zatopiwszy głęboko wzrok we Staszka.

Ten ośmielony ciągnął dalej.

— Skąd baśnie podobne urosły? — nie wiem. Jam powodu nie dawał, za co ręczę. Za podłego bym człowieka sam się ogłosił. Niewdzięcznikiem byłbym, zdrajcą, nie wartym ludzkiego spojrzenia...

— A to dlaczego? —zapytała podkomorzyna głosem tak dziwnym, że podstolic mimowoli oczy na nią zwrócił.

— Dlaczego? — odparł. — Najwprzódy dlatego żem do podobnych infamij nie zdolny.

— Przecholowałeś podstolicu... Infamij!! - szepnęła wdówka.

— A infamij, pani łaskawa. Jakże bo? Młodego człowieka prawie z ulicy dobrodziejka moja bierze... daje mu chleb, a on... chudy pachoł miałby za jej dobroć i serce anielskie taką niewdzięcznością odpłacać...

Podkomorzyna wstała — przeszła kilkakroć komnatę.

— Waćpan to nazywasz niewdzięcznością? — spytała nagle.

— Bez wątpliwości żadnej?

— A gdybym ja to inaczej uważała?

To rzekłszy stanęła, patrząc mu oko w oko.

Podstolic oniemiał.

— In...a...a...czej...?! — wyrwało mu się z ust.

Patrzyli na się wzajem. Młodzian z podziwem niepodobnem do określenia — podkomorzyna z jakąś gorączkową niecierpliwością, jakby chciała wymusić na swoje pytanie odpowiedź.

— To nie może być? — ozwał się wreszcie Staszek. — Nie może być... Pani podkomorzyna żartuje sobie ze mnie. Nie może być!

Iłowiecką dreszcze przejął.

— Czemu waszmość tak mało siebie cenisz i powiedz proszę, dlaczego niemożliwość tam upatrujesz... gdzie jej niema — rzekła przytłumionym głosem. — Alboż byłoby to grzechem z mojej lub waszmościnej strony, gdyby... gdyby...

Niedokończyła.

Staszek za głowę się chwycił.

— Pani moja najszanowniejsza, na podobne upokorzenie nie zasłużyłem — począł wzruszony. — Jam człek prosty... biedak... z dnia na dzień żyję nie mając kęsa chleba pewnego, wszelako krwi mojej nie uchybię. Bądź co bądź!...

— Pozwól waszmość, że mu przerwę .. Najsamprzód cóżby w tem było dziwnego, gdyby waszmość do mnie skłonność poczuł, a ja do waszmości? Wszak obojeśmy młodzi... a ktoby w tem mezaliansu chciał dopatrzeć, srodze by się omylił...

Powiedziała to Iłowiecka z niezwykłym wysiłkiem — drżąc i prawie ze łzami w oczach.

Młodzieniec stał jakby na rozżarzonych węglach. Nie lowierzał swej przytomności — wydawało mu się to snem, marą w dziadłem, kuszącem jego zacne myśli.

Iłowiecka po małej przerwie prowadziła dalej:

— Znam waćpana dobrze i wiem, żeś dumny niezwykle, że prędzej się zabić dasz, aniżeli dumie swej uchybisz... To mi tłómaczy twoją nieśmiałość... Znając się tak, atoli wiem i to, że nie poniżę siebie wyznając ci czystą prawdę, jako jest rzeczywiście... Jedno proszę z góry — otwartości mej źle nie tłómacz... Cóż bom winna, żem cię pokochała...

Odskoczył w tył podstolic — krew mu nagle do głowy uderzyła... mało nie padł.

Pani podkomorzyno! — zawołał.

— Panie Stanisławie... pozwól niech skończę. Chcę być przed tobą szczerą. Co się raz powiedziało — nie odwołuję. Tak jest... Pokochałam się uczciwie, całem sercem i...

Wstrzymała — bo jej oddech zaparł się w piersiach.

— Ależ na litość bożą, to nieprawda... to sen chyba... — wołał podstolic.

— Sen! sen... — powtórzyła podkomorzyna dziwnym głosem. — Nie chcę snów... nie! To rzeczywistość, jawa, prawda. Młodam... świat mi otwarty. Mężam miała — alem go nie kochała i kochać nie mogła. Miałam go... nie mając. Dziwnoż to więc, że serce innemu chcę oddać? To dziwne?

Ręce załamała.

Milczał Staszek, stojąc, jakby do miejsca przykuty. To, co słyszał — brzmiało dziko, niezwykle. Wzrok wdówki przeszywał go na skróś, paląc wewnątrz, żywym płomieniem.

— Waszmość milczysz? — zapytała go Ilowiecka.

— Milczę, bo słów nie mam — odparł. — Nie mogę się przekonać, iżby to, co dobrodziejka moja mówi, było rzeczywistą prawdą. Wciąż zda mi się, że to żart, albo igraszka insza.

Podkomorzyna rozśmiała się nerwowo — tym bezdźwięcznym, głuchym śmiechem, który rozpacz z ust wyciska. Śmiech jej był podobniejszym raczej do jęku lub krzyku boleści.

— Człowiecze... — zawołała. Serca chyba nie masz... Miałażbym się omylić na tobie? A! to niepodobna. Nadto cię dobrze poznałam, iżbym czemuś podobnemu uwierzyła. Ty masz serce... ty możesz kochać... pokochasz... powiedzże mi...

Zatrzymała na nim wzrok, w którym widziała żywą niecierpliwość. Patrzyła na młodzieńca wyczekując odpowiedzi, jakby takowa miała być dla niej wyrokiem życia lub śmierci. Staszek zaś, acz miotany niezwykłemi uczuciami — potrafił się zdobyć na stanowczość i zimną krew.

— Pani podkomorzyno — rzekł — zapominamy o naszym stosunku. Czas bo oprzytomnieć. — Mniemam, żem nie dał powodu najmniejszego, któryby jej uchybił... a pamiętam to, żem w jej służbie i na jej łasce...

Skłonił się głęboko, chciał odchodzić, gdy wdowa wybuchła spazmatycznym płaczem.

To go zatrzymało.

— A! co się dzieje — zawołał mimowoli tracąc głowę. — Pani podkomorzyno...

Wdowa zanosiła się od płaczu.

— To była prawda! To prawda!... — wyrywało jej się z ust.

— Na miłość boską pani, co się to znaczy — krzyknął Staszek zatrwożony.

— Co znaczy, — porywając się z miejsca odparła. — Pytasz jeszcze, co to znaczy, a tak zimno, lodowato, jakbyś powtarzał to — o czem z północy wiatr gada... Co znaczy?... Ha! ha... Więc słowa moje tyle ważysz? Taką im dajesz wiarę? Co znaczy? Ha! ha... To, że byłam szaloną... żem sobie nieszczęście własną sprowadziła ręką, żem się zabiła własnowolnie tem, o czem sądziłam, że mi szczęście przyniesie... A! a! Całą przyszłość zabiła, zatruła, zniweczyła... A ty pytasz, co znaczy?

— Wszak niewinnym... — tłómaczył się Staszek.

— Niewinny?... — powtórzyła. — Prawda... prawda. Serce nie sługa... Myśl nie niewolnica. —

Nakazywać jak jednemu tak drugiej niepodobna. Niewinnyś!... prawda, wielka prawda! Winnam ja sama... los winien, który nas zapoznał.

Umilkła, łzy otarła.

— Wybacz podstolicu tę scenę... Kobietom się wiele wybacza... Proszę wybacz i zapomnij o tem. Chwilę byłam szaloną... zmysłym postradała. Sądziłam, że będę mogła być... szczęśliwą. Los zrządził inaczej... Wybacz, a to co się stało, niechaj zostanie wiecznie tajemnicą...

— Może pani podkomorzyna być tego pewną.

— Wiem. Dlatego też jestem najzupełniej spokojną — odparła i nagle zmieniła ton, uśmiechnęła się. — Spokojną? — dodała. — O! spokój mój podobny będzie do powierzchni wulkanu... Będę cierpieć...

Staszek łzy otarł.

— Szczęść ci Boże podstolicu — kończyła wdowa. — Bodajbyś nigdy tego nie doznał, co ja w tej chwili. Bądź szczęśliwy!... A pamiętaj — dodała ciszej — żem twoją przyjaciółką... Wkażdej chwili... znajdziesz u mnie to, czegoś ty mi dać nie chciał...

Pożegnała podstolica skinieniem głowy.

Zostawszy samą, rzuciła się na krzesło i rozpłakała. Płacz jej był cichy a rzewny, a bolesny, a napiętnowany cierpieniem...

— On ją kocha! kocha! — powtarzała łamiąc ręce. — A! biednaż dola moja, ciężka...

Wypowiadała to głosem rozdzierającym... Była to skarga na zawód nasjtrasźniejszy w życiu, jakiego doznaje człowiek... bo zawód w pierwszej miłości.

Podkomorzyna rozmiłowała się w Staszku. Dotąd nie kochała nikogo. Nikt nie potrafił rozbudzić

w niej uczucia i serca przywiązać do siebie... — Swywoliła z życiem bezkarnie, szukając właśnie tego, co uszczęśliwia wszystkich. Mniemała, że i ona będzie szczęśliwą. Nagle dumne myśli rozwiały się, pierzchły... zniknęły, jak złoty sen z powiek budzącego się człowieka. Wszystek zaczarowany świat marzeń, tak cudownych, jak barwy wzorzyste motylich lotków, jak odgłos słowiczych pieśni w wiosenne wieczory — prysnął i znikł podobny do mydlanych baniek, puszczanych przez dzieciny małe.

Podkomorzynie znikła cała przyszłość. W tej chwili zdało jej się, że nic już dla niej nie pozostaje jeno cierpienie, łza i boleść nieutulona... Nikt prócz Staszka nie mógł ją obdarzyć szczęściem — on jeden, tylko on jedyny. I właśnie gdy roztworzyła dla niego serce i ręce doń wyciągnęła... on, ten wymarzony, wypieszczony, a ukochany — odepchnął ją niemal z pogardą... bo — kocha inną. Zaiste, był to zawód dla kobiety straszny!

XIV.

Tego samego dnia podstolic opuścił pałac Iłowieckiej, a przeniósł się do skromnej stancyjki, którą na razie w gospodzie wynajął. O przenosinach nic nikomu nie powiadał; wyniósł się nieledwie kryjomo, jeno kartelusz mały Iłowieckiej przesłał, w którym dziękował jej za opiekę i troskliwość.

— Wiedzie mi się, bo wiedzie, okrutnie—mówił zasiadłszy w stancyjce. — Pod ciemną-m znać urodzony gwiazdą...

I rozmyślał nad tem, co dalej z sobą pocznie.

Fundusik miał niewielki, przyszłości przed sobą żadnej.

— Chyba do stryja Tomasza wrócić — rezykował; ale wstrzymywała go wrodzona duma, która mu nie pozwalała ani łaski niczyjej prosić, ani też komu ciężarem się stawać.

Wieczorem wyszedł na przechadzkę, by cokolwiek świeżego powietrza zaczerpnąć i głowę niem skłopotaną odświeżyć.

Idącego ze spuszczoną głową — ktoś z tyłu po ramieniu uderzył.

— Trzciński, a tyś skąd? — zawołał wraz z tem głos znajomy.

Staszek przystanął.

—Cóż bo nie poznajesz mnie? — powtórzył.

Spojrzał Staszek na zatrzymującego się i w ręce uderzył.

— Nawrocki! — krzyknął.

— Jako widzisz... Byłbyś mi uszedł, nie widząc starego kamrata, gdybym cię nie zatrzymał. Ano, skorośmy się spotkali, chodźmy szklanicę wychylić.

— Zgoda.

Weszli razem do tuż przyległej winiarni.

— Co się z tobą dzieje? Ani słychać! — począł Nawrocki. — Zginąłeś nam z oczu i jakby kamień w wodę...

— Zostawać przecież nie mogłem.

— Boś dziwak. U Nabierczyńskiego miałeś jak u Boga za piecem... Było ci siedzieć i basta. Ano, możeś co lepszego napotkał...

Westchnął podstolic.

— Nic lepszego bracie... Z biedą się zjedna i trzyma mnie dotąd. Wszystko mi się rwie nie wiedzieć...

— A teraz co porabiasz?

— Na bruku siedzę, zmiłowania Bożego czekając.

Nawrocki chwilę na niego popatrzył.

— Wiesz co jabym ci doradził? — rzekł.

— Ciekawym.

— Chodź na Turka...

Uderzyło to pytanie podstolica.

— Na turka? — powtórzył z zajęciem.

— A jużci. Niedługo wyruszamy... Kto jeno żyw pod chorągwie spieszy...

— I ty?

— I ja. Sprzykrzyło mi się pióra gryźć, wyprosiłem u ojca wyprawę i pod panem Lubomirskim służę.

Słyszał Staszek wiele o gotującej się wyprawie na turczyna, który olbrzymiemi zastępy stolicę cesarza austryackiego Leopolda obległ, ale samemu iść do głowy mu nie przyszło.

— Prawdę mówiąc — ciągnął Nawrocki—szkoda mi było młodych lat. Człek marniał, wiądł wodząc piórkiem po papierze, choć dusza w świat się rwała. Gdy larum ogólne uderzono, pojechałem do pana ojca i pótym go prosił a molestował, aż mię wyprawił... Hej! jedyna to rzecz dla szlachcica szabla a wojenka... Chodź ze mną... Poganinowi w ślepie zajrzym, przewietrzymy się ta i z łaską Boga wrócimy. A może też i nie z próżnemi rękoma..

Oczy mu się iskrzyły, twarz zapłonęła.

Staszek słuchając opuścił głowę smutno.

— Poszedłbym ci i ja z tobą bracie, bo ochotę mam, alem goły jak palec... Wyprawić się na tę wojnę trza... Konika kupić, rynsztunek jaki siaki, a skąd?...

— Furda, braciszku... Ja ci poradzę. Mam znajomego na dworze króla jegomości, on cię gdzie

przyczepi. Poproszę go, to może razem nas umieszczą. Teraz ludzi potrzeba... Zwołują ich zewsząd. Turków moc sroga.

— Łatwo ci mówić...

— Obaczysz, że się poradzi. Jutro z rana do ciebie przychodzę i do Wilanowa pójdziemy. Będziem próbować.

Nawrocki był upojony zmianą swego stanu. — Rozprawiał z zapałem dowodząc, że jeno teraz przytrafia się dla chudych pacholików okazya zdobycia karyery i że jeno w polu z szablicą przystoi szlachcicowi a nie indziej.

— Nie namyślaj się, a posłuchaj — kończył. — Będziesz mi dziękować. Obaczysz. Turkom się nie damy, chociaż ich moc. A pogany, kanalia, dostatki z sobą mają wszelakie, można się będzie obłowić.

Zgodził się Staszek na propozycyę, nie sądząc atoli, żeby starania Nawrockiego pożądany odniosły skutek. Rozpaczliwe położenie zmuszało go do chwytania się nawet nieprawdopodobieństw.

Całej nocy nie spał oczekując ranka. Gdy rozwidniało porwał się na nogi i wystroiwszy jak najlepiej z niecierpliwością na drzwi spoglądał, wypatrując kamrata.

Zjawił się wkrótce i Nawrocki — wesoły, raźny, poświstujący, z wszelką nadzieją w myśli.

— Pójdźmy nie zwłócząc. Do Wilanowa nie daleko. Za godzinę będziemy.

— Idę, ale mi się widzi, że po próżnicy.

— Ejże, porzuć te przywidzenia Staszku, bo ci nie do twarzy. Głowa do góry, nadzieja w Bogu — ta i dobrze będzie...

— Bogdajby...

Wyszli razem za ręce się ująwszy.

Przez drogę Nawrocki gadał bez przestanku, dodając ufności Trzcińskiemu, który mu zupełnej wiary nie dawał. Szedł ze zwieszoną głową, przytakiwał wesołemu towarzyszowi, w duchu co innego myśląc...

Drogą do Wilanowa snuło się mnóstwo ludzi. Konni, pieszy, kolasy, kolebki, wózki, słowem najróżnorodniejsze tłumy. Było to bowiem na kilka dni przed wyjazdem króla do Częstochowy, skąd do Krakowa zjechać myślał. W Willanowie zatrzymywała go słabość żony, którą jak wiadomo, kochał nader, a która podówczas była w stanie błogosławionym.

Im bliżej podchodzili, — tem się gwar zwiększał; aż wreszcie stanąwszy na miejscu, znaleźli się jakoby na istnym jarmarku. Obadwaj młodzi, ze światem mało obyci, ciekawie rozglądali się wokół. Trzciński spoglądał na towarzysza, który udawał pewność siebie, choć go ten zamęt oszołomił nie na żarty.

Stanąwszy nieopodal zaludnionego dziedzińca, Nawrockil zwrócił się do jednego ze służby dworskiej.

— Proszę, wskaż mi waćpan dobrodziej, gdziebym mógł pana Skaryszewskiego odnaleźć.

Zapytany ruszył głową.

— Nie wiem — odparł i pobiegł nie zwracając na przybyłych uwagi.

Pytanie to powtarzał Nawrocki kilku innym — aliści każdy z nich go zbywał taką samą odpowiedzią...

— Z niczem pono wrócimy... — szepnął Staszek.

— Bajki,! — odparł zuchowatą minę stroiąc Nawrocki. — Dopytamy się przeciż. A zresztą...

poczekaj... ot... w tym ogrodzie... ja na przedpokoju się dowiem.

I zniknął w tłumie — zostawiając Staszka samego.

Ten ramionami wzruszył, ale poszedł na wskazane miejsce.

W ogrodzie, za dziedzińcem położonym, było ciszej nieco. Staszek odetchnął swobodnie. Z przyjemnością rozglądał się po umiejętnie wytkniętych ulicach, klombach kunsztownych, altanach, i przeróżnych misternych dziełach sztuki ludzkiej. Nic dotąd równie pięknego nie widział, ani też wyobrażał, iżby coś podobnego istnieć mogło.

Zapatrzony tak, nie zauważył idącej naprzeciw postaci, wspartej na ramieniu siwego już mężczyzny.

Był to więcej niż średniego wzrostu mąż, dobrej tuszy, twarzy pełnej, jasnej i pogodnej, z której tryskała powaga i pewność siebie. Piękny, zawiesisty wąs wysuwał się z pod orlego nosa, opodal na policzki rumiane; wypukłe, wysokie zmarszczone czoło dawało poznać, że w głowie tej wiele się kryje myśli nie pustych. Miał na sobie ten mąż biały jedwabny żupan i takąż czapkę z kosztowną spinką, która sokole pióra przytwierdzała.

Szedł powoli, chód miał ciężki, coś jakby na nogi utykał, jednę na ramieniu obok idącego wsparł — w drugiej trzymał grubą trzcinę, srebrem okutą.

Poznał w nim Staszek samego króla, którego portret stryj Tomasz mu pokazywał, a poznawszy, stanął jak wryty, zapominając nawet czapki zdjąć... Dopiero po chwili oprzytomniał, wyprostował się i skłonił się do kolan królowi, który przystanął, bacznie go opatrując.

—A waszmość co tu robisz kochanie? — zapytał go pierwszy.

— Czekam na przyjaciela mego Nawrockiego, który miał mnie umieścić pod panem Lubomirskim.

— Nawrocki? — powtórzył król ku towarzyszowi się zwracając. — Kto to jest?

Wezwany głową potrząsł.

— Człek to młody i bez znaczenia, miłościwy panie podchwycił Staszek. — Miał szczęście dostać się w szeregi, które miłościwy pan na Turka prowadzi i mnie obiecał wyjednać ten zaszczyt, co jednak nie wiem, czy mu się uda...

Popatrzył nań król, wąsa pokręcił.

— A waść kto taki? — zagadnął.

— Trzciński jestem Stanisław...

— Hm... Trzciński... Trzciński... — mruknął król po czole wodząc ręką. — Mospanie Pełka... coś mi znajome to nazwisko...

— Być może. Najjaśniejszy pan przypomina rodzonego mego stryja Tomasza, który miał szczęście służyć niejednokrotnie pod jego przewodem — wtrącił Staszek.

Król w ręce klesnął.

— Mater mea... toć wiem... Trzciński! Ha! ha... Mospanie toż to pan Tomasz, który Aksmanickiego łotra tak uczęstował... Pamiętam, pamiętam... Toś wasze jego synowiec?

— Rodzony, Najjaśniejszy panie...

— A cóż się z nim robi? Gdzie się obraca? Poczciwy pan Tomasz. Zacności szlachcic... Żyjesz aby?

— Żyje, Najjaśniejszy panie, i zawdy najpodańszym Jego jest sługą.

— Mater mea... Ha! ha... jedyny, przedni

człek... Że też o mnie do cna zapomniał... Ba! jużci moja wina. Aleć... tyle mając na głowie, nie dziw, żem zapomniał... Więc waszmość masz chęć z turczynem się poznajomić?

— Tak jest, Najjaśniejszy panie, jedno nie wiem, czy chęć tę do skutku do prowadzę...

— Czemu? — spyta król, przysiadając na ławeczce darniowej.

— Bom biedak, Najjaśniejszy panie. Cała chu doba to co na grzbiecie mam. Ojciec sierotą mnie zostawił... Dotąd nie znalazłem nic takiego, coby mi zapewniło kęs chleba... — a wiadomoć, że na wojenkę trza choć szkapkę mieć jaką i zapasik choć skromny...

Król z uwagą nań spojrzał — poczem rozpytywać jął po szczególe o ojca, macierz, stosunki wszelakie; Staszek zaś powiadał prawdę, nie wypierając się niczego, prócz zajścia z podkomorzyną, a którem przemilczał.

Słuchał król, wąsa kręcąc, a wzrok miał wesoły i pogodny.

— Tak rzeczy stoją mospanie — rzekł wreszcie. — Ano... słucnaj waść... Gotujemy się do wielkiej wyprawy, o której losach jeno Bogu Najwyższemu i Patronce naszej wiadomo. Nie przeczę, że ludzi do tego potrza wiele... z drugiej strony znowu trudno mi jest każdego ekwipować. Tym razem waszmość będziesz wyjątkiem — bom zadłużony u stryja waścinego po uszy, a chciałbym mu choć w części się spłacić. Najdalej za dni cztery wyruszamy. Dam waści sygnum do pana podskarbiego, który mu wypłaci pewne quantum na potrzeby... Miejsce ci, jeżeli wola, zostawię przy moim synu.. Zgoda?

Staszek za kolana go objął.

— A, panie miłościwy... czyliżem godzien tylu łask...

—O tem waszmość przekonasz mnie i każdego wobec swojem sprawowaniem. Tuszę, że się nie zawiodę na tobie... Zaczekaj, a wnet rzecz zakończym.

To rzekłszy, szepnął coś towarzyszowi, który zwoik papieru wyjąwszy, napisał nań coś, kartkę z niego odciął i podstolicowi wręczył.

— Dopytaj się waść pana podskarbiego — on ci wyliczy, co potrzeba. A pamiętaj sprezentować się po wyekwipowaniu. Chcę cię na oku mieć.

Dziękował Staszek mocno wzruszony — skłonił się zatem i chciał odejść sądząc, że obecnością swoją dłużej może być natrętnym; król jednak zatrzymał go mówiąc:

— Gdzież waszmości tak spieszno. Mater mea... a toć opowiedz że mi co o stryju, bom ciekaw, a wielką mam dla niego adoracyę...

Musiał tedy rozpowiadać Staszek, co sam wiedział o panu Tomaszu — król zasię słuchał z zajęciem, dorzucając od siebie to i owo.

Podstolic z początku rozmowy był zmięszany. zaledwie się na odpowiedzi zdobywał — następnie ośmielił się do tego stopnia, że mówił jakoby z dobrym znajomym.

— Ano... Mater mea, kochanie, przygotuj ni się wasze jak można najszybciej, bo czasu do stracenia nie mamy. Pewny jestem, że się na tobie nie zawiodę. Patrzy ci z oczu poczciwie — tak samo jak panu Tomaszowi, któremu przy okazyi pokłon załącz odemnie. Radbym go kiedy obaczyć. Dzielny, nieoceniony człek. Aksmanicki po dziś dzień go pamięta...

Łaskawie poklepał młodzieńca po ramieniu, poczem odszedł dorzucając.

— A pamiętaj, że sprezentować mi się masz kochanie...

Chwilę czasu po odejściu króla, Staszek był na dobre oszołomiony. Spotkało go takie szczęście, o jakiem marzyć dotąd nie śmiał. Biedaka na bruku siedzącego wyciągnęła na wierzch ręka bohaterskiego króla, zapewniając mu tem samem przyszłość życia.

— Widoczna opatrzność Boża — mówił do siebie. — Toż to się Nawrocki zdziwi... Bá! A stryj Tomasz... Sabinka?

Nagle zmarszczył czoło — przez myśl mu przemknęła Anulka. Ona by się rozradowała dowiedziawszy o szczęściu, które go spotkało, dopieroż to byłaby uciecha... Wyobrażał sobie Staszek, z jakiem zajęciem słuchałaby jego relacyi o łasce królewskiej, jakby oczęta jasne rozśmiały się radośnie.. Aliści gdzież szukać Anulki? Podkomorzyna ją wysłała do Kalinowa, na koniec świata, aby zapomniał o dziewczęciu... Wiedział Staszek o tem.

Westchnął, głową pokiwał.

— Nadzieja w Bogu! Toć może ją odnajdę — tuszył w myśli.

Medytacye powyższe przerwał mu Nawrocki, który wracał, ale kwaśny, pochmurny, w złym widocznie sosie.

— Jakże? Dopytywałeś się o Skaryszewskiego? — zagadnął go podstolic.

Nawrocki skrzywił twarz.

— Kat wie, jaki tu porządek. Istny chaos! Latają, wrzeszczą, krzyczą — słowa — nie można od nikogo wyrwać.

Splunął.

— Cóż tedy? — dopytuje Staszek, udając za trwożenie.

— Albo ja wiem. Straciłem głowę w tym odmęcie.

— Hm... widzę, że sam muszę się wziąć do rzeczy — rzekł Staszek.

Popatrzył na niego Nawrocki z pod oka.

— Ty?

— Ja bracie. Może łacniej od ciebie potrafię zaradzić. Ino o Skaryszewskiego pytać nie będę, a wprost do pana podskarbiego się udam...

Z czem?

— Powiem mu, że mi na wyprawę pieniędzy trza i dosyć. Od tego on podskarbi, aby pieniądze liczył. Król wojska potrzebuje — a wojsko bez porządków nic nie znaczy.

— I myślisz, że co wskórasz?

— Z pewnością. Czekaj tu na mnie, ja wnet przybiegnę.

— Oszalałeś! — krzyknął Nawrocki. — Podskarbi z tobą nie zechce gadać...

— Zechce albo nie zechce — odparł Staszek. — Zawdy pójdę do niego.

Nie słuchając powstrzymywań towarzysza śmiało ku pałacowi kroczył.

Zdziwił się Nawrocki tą pewnością towarzysza, a zdziwił się jeszcze więcej, gdy go spostrzegł wracającego z kieską, którą wesoło pobrzękiwał.

— A to co? — zapytał

— Pieniądze, jak widzisz. Kulfony jak się patrzy, jeden w drugiego... Sto pięćdziesiąt jak obszył...

— Zkądżeś ty ich wziął człowieku?

— Zkądżeby jak nie od podskarbiego. Grzeczny jest i usłużny jak mało...

— Stachu! ty kpisz ze mnie...

Podstolic nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Uściskał przyjaciela — pokrótce mu całą rzecz opowiedział.

Ten nadziwić się nie mógł.

— W czepku-ś zrodzon — rzekł. — Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno. Ha! szczęść ci Boże! Nie ma co marudzić, a szykować się, jak król rozkazał

Zawrócili obadwaj do miasta — zamierzając natychmiast poczynić przygotowania.

W drodze Staszek musiał kilkakroć opowiadać spotkanie z królem, przyczem słów nie mógł dobrać na pochwałę miłościwego pana.

XV.

Dzięki tedy przypadkowi, Staszek na pewnych stanął nogach. Wyekwipowanie zajęło mu niewiele czasu... nazajutrz po rozmowie z królem, zjechał do Wilanowa zupełnie gotów do wyprawy, a we dwa dni był w drodze do Częstochowy, kędy król najpierw pociągnął.

Wyprawy wiedeńskiej, oraz przygód, jakich podczas niej doznał nasz podstolic, opisywać szczegółowo nie będę. Mniemam, że o pierwszej każdy naczytał się do woli, a drugie nie są zbyt ciekawe. Pozwolimy sobie jednak przytoczyć kopie niektórych listów króla Jana do żony pisanych, które czytelnikowi dadzą pojęcie całokształtu wyprawy, a może dostarczą pewnych nieznanych szczegółów, cennych dla każdego Polaka.

— W namiotach wezyrskich 13 Fbr. 1683, w nocy (Salvandy).

„Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i naukochańsza Marysieńku! Bóg y Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo y sławę narodowi naszemu z iaki wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obuz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały sie w rence nasze. Nieprzyjaciel zasławszy trupem Aprosze, pola y obuz, uciekа w konfusii. Wielblondy, muły, bydle, owce, które tu miał po bokach dopiro dziś woyska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pendzą. Drudzy zaś, osobliwie des Renegats na dobrych koniach y pienknie ubrani, od nich tu do nas uciekają. Taka sie to rzecz niepodobna stała, że dziś iuż miendzy pospulstwem tu w mieście y u nas w obozie była trwoga rozumieionc, y nie mogono sobie inaczey perswadować, ieno że nieprzyiaciel nazad sie wruci. Prochów samych y amunitii porzucił wiencey, niżeli na milion, widziałem też nosy przeszły rzecz te, którem sobie zawsze widzieć pragną. Kanalia nasza w kilku mieiscach zapaliła te prochy, które całe sądny dzień representowały, bez szkody cale ludzki pokazało na niebie iako się obłoki rodzo, ale to nieszczeńście wielkie, bo pewnie na milion w nich uczyniło szkody. Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na iednym koniu i w iednev sukni. Jam został iego successorem, bo po wielkiey cześci wszystkie mi sie po nim dostały splendory, a to tym trafunkiem, że bendonc w obozie w samym przedzie y tuż za Wezyrem postępuionc, przedał mi ieden pokoiowy iego y pokazał namioty iego tak obszerne iako Warszawa albo Lwów w murach. Mam wszystkie znaki iego wezyrskie, które nad nim noszo. Chorongiew Mahometańską, którą mu dał Cesarz jego na woine i którą dziśże ieszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego poczto.

Namioty, wozy wszystkie, dostały mi sie et mille d'autres galanteries fort jolies et fort riches, mais fort riches. Lubo sie ieszcze siła rzeczy nie widziało; ni a point de comparaison avez ceux de Chocim. Kilka samych Saidaków rubinami y szafirami sadzonych, stoią się kilka tysiency czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie tak moja Duszo, iako wiesz tatarskie żony mawiać zwykły menżom, bez zdobyczy powracaioncym, żeś ty nie iunak, kiedyś się bez zdobyczy powrucił, bo ten co zdobywa w przedzie być musi. Mam y konia wezyrskiego, ze wszystkim siedzeniem, y samego mocno doieżdżano, ale sie przecie salwował. Kihaię iego, to jest pierwszego człowieka po nim, zabito y panów nie mało. Złotych szabel pełno po woisku y innych woiennych rynsztunków, noc nam ostatka przeszkodziła y to, że uchodzone okrutnie sie bronio et font la plus belle retirade du monde. Janczarów swoich odbiegli w aproszach, których w nocy wyścinano, bo to była taka hardość y pycha tych ludzi, że kiedy sie iedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta, iakosz mieli czym co poczonć. Ja ich rachuje prucz Tatarów na trzykroć sto tysiency, drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysiency y bioro proportio, trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychano liczbe. Ja iednak rachuie namiotów sto tysiency najmniej, bo kilka obozów stali. Dwie nocy y dzień rozbierają ich kto chce. Jusz y z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że y za tydzien tego nie rozbioro, ludzi niewinnych tutecznych Austryjaków, osobliwie białogłów y ludzi siła porzucili, ale zabijali kogokolwiek tilko mogli, siła bardzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych, y które żyć mogą. Wczora widziałem dzieciontko iedno we trzech leciech, chłopczyka bardzo na-

mileiszego, któremu zdraica przecioł gembe szkaradnie y głowe. Ale trefna, że Wezyr wzioł tu był gdzieś w którymsi cesarskim pałacu strusia żywego dziwnie ślicznego. Tedy y tego, aby sie nam w rence nie dostał kazał ścionć. Co zaś za delicie miał przy swych namiotach, wypisać niepodobna; miał łaźnie, miał ogródek y fontanny, króliki, koty, nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy iey poimać. Dziś byłem w mieście, któreby iusz było nie mogło trzymać dłużey nad pienć dni, oko luckie nie widziało nigdy takich rzeczy co to tam miny porobiły. Z Belnardów podmurowanych, okrutnie wielkich y wysokich, porobiły skały straszliwe y tak ie zruynowali, że wiencey trzymać nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany. Woyska wszystkie, które dobrze barzo swoią czyniły powinność, przyznały Panu Bogu y nam te wygrano potrzebe. Kiedy iuż nieprzyjaciel poczoł uchodzić i dał sie przełamać, bo mnie sie przyszło z Wezyrem łamać, konnice wszystkie, a wszystkie woyska na moie skrzydło prawe sprowadzili, tak, że iusz nasz środek albo corpus, iako y lewe skrzydło, nie miały nic do czynienia, y dlatego wszystkie swoie niemieckie posiłki do mnie obracali. Przybigały tedy do mnie xionżenta, jako to elector bawarski, Waldek, ściskaionc mnie za szyie, a całuionc w gembe, generałowie zaś w rence, w nogi. Cóż dopiro żołnierze. Officerowie y regimenty wszystkie Cawalerui i infanteryi wołały: Ah! unzer brawe Kenig! słuchały mnie tak, że nigdy tak nasi. Cusz dopiro i tu dziś rano xionże Lotaryński, Saski, bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do P. Marszałka Nadwornego przydałem był kilka Usarskich chorongwi. Cusz Comendant Staremberg tuteyszy. Wszy-

stko to całowało, ściskało, swym salwatorem zwało. Byłem potym we dwóch kościołach, tam lud wszystek pospolity całował mi nogi, rence, suknie, drudzy sie tilko dotykały wołaionc:, ah, niech te rence tak waleczne całuiemy, chcieli byli wołać wszyscy vivat, ale to było znać po nich, że się bali officierów y starszych swoich. Kupa iedna nie wytrwała i zawołała vivat pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano, i dlaczego ziadszy obiad u komendanta, wyiechałem z miasta do obozu, a pospulstwo rence wznoszonc prowadziło mie asz do bramy. Widze, że y Comendant krzywo tu patrzy na sie z magistratem mieiskim, bo kiedy mie witali to ich nawet mi y niepresentował. Xionżenta sie ziechali y cesarz daie znać o sobie, że iest za mile, a ten list nie kończy sie aż teraźnieyszym rankiem, nie daią mi tedy dopisywać y dłużey sie cieszyć z sercem moim. Naszych nie mało zginęło w tey potrzebie, osobliwych tych dwóch żal sie o których już tam opowiedział du Pont. Z wielu cudzoziemskich xionże de Croi zabity, brat postrzelony i kilku innych znacznych zabitych. Padre de Ariano, który mie sie nacałować nie mógł, powiada, że widział gołembice biało nad wojskami sie naszemi przelatuionco. My dziś za nieprzyjacielem sie ruszamy w Węgry. Electorowie odstompić mie nie cheo. To takie nad nimi błogosławieństwo Boże, za co mu niech bendzie na wieki cześć, sława i chwała. Kiedy jusz postrzegł Wezyr, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie płakał jako dziecie, potym rzekł do Hana, ty mie ratuy jeśli możesz. Odpowiedział mu Han, my znamy króla, nie damy mu rady y sami o sobie myśleć musiemy, abyśmy sie salwować mogli. Goronca tu mamy tak srogie, że prawie nie żyiemy tylko piciem. Teraz dopiro

znaleziono okrutno jeszcze moc wozów z prochami y ołowiem, ia nie wiem czym iusz oni bendą strzelali. W ten moment dało nam znać, że ostatnie kilkanaście Działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Jusz tedy wsiadamy na kuń ku Wengierski stronie prosto za nieprzyjacielem y iakom dawno wspominał, że sie da P. Bug w Stryiu asz z sobą przywitamy, gdzie P. Wyszyński niech każe kończyć kominy y stare poprawować budynki. List ten nailepsza gazeta, z którego na cały świat kazać zrobić gazete, napisawszy que c'est la lettre du Roy a la Reyne. Xionżenta Saski y Bawarski dali mi słowo y na krai świata iść zemno. Musimy iść dwie mili wielkim pośpiechem, dla srogich smrodów od trupów, koni, bydeł, wielblondów. Do króla Francuskiego napisałem kilka słów, że iako on Roy Tres Chrestien, oznaymuie de la bataille gagnee et du salut de la Chrestiente. Cesasz jusz tilko o mil półtory płynie Dunaiem, ale widze, że sie nieszczerze chce widzieć zemno, dla sweż podobno Pompy. Życzyłby zaś sobie iako nayprendzey w mieście pour chanter le Te Deum y dla tego ia mu ztond ustempuie, maionc sobie za naywienksze szczenście uiść tych ceremonii nad które niceśmy my tu ieszcze wiencey nie doznali. Fanfanik brave au dernier point.

.....

Obozu i namiotów Turcy jeszcze bronili; pod gardłem zaś zakazano zsiadać z koni, albo pieszym odbiegać od regimentów, bośmy się cale nie spodziewali, że się obróci na nas nieprzyjaciel, skoro obóz rabować zaczną i na łupy padną. Noc potem zaszła; jeden o drugim nie wiedział, w nocy tedy pozaświecali sobie tureckie świece i dopiero rabowali i zdobywali się, osobliwie ci, którym się trafiło, że

mieli czeladź przy sobie, albo ludzi takich, którzyby okupili jaki namiot i wydrzeć sobie drugim nie dali. Z namiotów wezyrskich siła rzeczy najpiękniejszych kanalija w nocy pobrała, bo choć z jednej strony broniono, to oni przerżnęli z drugiej stony namiot i wybierali co chcieli, a żołnierze w paradzie i gotowości stać musieli. Kozaczek, kuchcik chorążego jednego z pod pana Starosty Nowomiejskiego chorągwi, przyniósł panu swemu w klejnotach na cztery tysiące czerwonych złotych. Niemcom cudzoziemskim prawie się nic nie dostało, bo oni tego dnia prócz tych co przy mnie byli, nie weszli w obóz turecki; nie mają oni więźniów, ani chorągwi, ni żadnych zwycięstwa znaków, żaden z nich kawaleryi w potrzebie nie strzelił, ale tego nie głosić, bo wszystkich chwalę, a o naszych niektórych, nad wszystkie na świecie podziwienie, trzebaby cudowne rzeczy pisać, ale to da PanBóg chyba ustnie.

Posyłam też Wmci rejestr amunicyi, które zabrano w obozie tureckim i któremi się dzielić mamy. Rzecz nigdy do wiary nie podobna, jakie to było przygotowanie i co to kosztować musiało, a jeszcze połowę tego wszystkiego wojska rozebrany, bo to tylko spisywano, czego wojska przez trzy dni zabrać nie mogły: brał bowiem każdy to, co chciał, a spalono prochów tyle troje, a cóż go dopiero wystrzelano; trzeba to na różna przetłumaczyć języki i drukować w gazetach kazać. Po wojsku siła bardzo pasów dyamentowych; nie możemy zrozumieć, co tu oni z tem robili, bo tego cale sami ani nie zażywają, ani snać dla dam wiedeńskich, których się dostać spodziewali i one sobie stroić. Prawda, że w nich dyamenty cienkie i zwierciadełka pod nimi, ale robota dziwnie piękna i rzecz przecie bardzo bogata. — On dit que Mionczyński — cadet a pris une fort bel-

le, mais il en la veut pas montrer, disant, qu'il l'a renvoye. W Wiedniu też tego okrutną rzecz czeladź poprzedała za lada co, bojąc się, żeby im byli panowie ich tego nie odbierali. Wezyr, kiedy przybiegł do swego namiotu, to kazał brać wszystkich swoim dworzanom i pokojowym po kilka worków; i ci co do nas pouciekali, to każdy z nich miał po dwa, po trzy tysiące czerwonych i po koniu dobrym. Koń samego Wezyra, który był na powodzie, jest u mnie ze wszykiem siedzeniem; dostał go mój towarzysz z pod chorągwi pancernej, niejaki Ronczkowski. Mam przy tem skofiją z chorągiewki Mahometa i kaletkę pewną złota litego, ale cienkie jak pergamin, gdzie coś na nich porysowane de la cabalistique. Ja teraz w tym noszę ów maleńki obrazek Najświętszej Panny od Wmci serca mego. Skarb zaś w pieniądzach grubych, gdzie się podział, tego zgadnąć trudno, bom pierwszy stanął u namiotów wezyrskich, a nie widziałem, żeby go rozrywać miano; znać albo był między wojsko rozdany, albo go nie było nadwiedziono, albo go też przedtem wyprawiono.

Z Cesarzem Jegomością widzieliśmy się też przed wieczorem, to jest le 15-me (września), który po mojem się ruszeniu od Wiednia, w kilka godzin zaraz do miasta przyjechał. Ja tedy niespodziewajonc się z nim już widzieć, ponieważ jeszcze przed potrzebą ustawicznie go obiecowano, a odednia do dnia, od godziny do godziny odkładano, posłałem z komplementem i powinszowaniem JWX. Podkanclerzego, dawszy mu znak jeden wezyrski, na pamiątkę szczęśliwej naszej wiktoryi. Zbliżywszy się tedy JWX. Podkanclerzy pod miasto, stanął w jakimciś pustym ogrodzie, czekajonc na przyjazd cesarski, bo go był poprzedził tymczasem ten grzeczny chorąży

jego Jaskulski; który ten znak niósł za nim; postawił gdzieś ten znak tak nieostrożnie i niedbale w ogrodzie, że mu go ukradziono, z którą wiadomością dogoniono mnie już o dwie mile, i tak aż drugi, którymby był dla siebie zostawił, musiałem posłać (ale takich mam jeszcze dwa.) Przenocowawszy tedy JX Podkanclerzy tę noc na wózku, czyli na bukszpanie, bo go do miasta nikt nie prosił, (ale my i tej podobnej nocy mieliśmy ze cztery), nazajutrz rano do miasta wyjechał. Tymczasem Gałecki o północy, jako szalony przybiega do mnie od P. Szafgocza, że Cesarz wielce utrapiony, że przez X. Podkanclerzego mówić z nim nie chce, a o mnie z oratorem moim, ale ze mną samym widzieć się i rozmawiać chce, aby tedy pisać do X. Podkanclerzego, aby się zatrzymał z tą swoją u Cesarza bytnością. Napisałem tedy do X. Podkanclerzego, aby się zatrzymał aż do dalszego eclaircissement, co to, i dla czego się to dzieje. To expedyowawszy, aż w godzin dwie znowu przybiega P. Szafgocz: "Dla Boga omyłka się stała, c'est le malentandu Pana Gałeckiego, który powiedział, że X. Podkanclerzy będzie od króla perorował, nie sam król z cesarzem mówić będzie." Widząc tedy, że drwią i że żyda grzebiono pod tym pretextem, powiedziałem, że ja z monarchami i z książęty i innemi, według potrzeby sam mawiam. Ksiądz Podkanclerzy odpowiada tylko odemnie kommissarzom, miastom, kapitułom i t. d.; zaczem niepotrzebny wasz skrupuł, ale powiedzcie mi czego wy to potrzebujecie, czego chcecie i czemu koło płota chodzicie; podobno to wam o prawą idzie rękę; ale na wszystko znajdzie się sposób, tylko się zwierzyć potrzeba. Odpowiedział P. Szafgocz że tak jest, że Cesarz Jmość się tem turbuje, że prawej ręki dać nie może, ile teraz przy Elektorach, którzy reprezentują les Etats

de l' Empire. Dałem mu tedy sposób, że się ja tego dnia z wojskiem ruszę; skoro tedy Cesarz zbliżać się będzie, wyjadę od wojska ku niemu i przywitamy się na koniach i staniemy przeciwko sobie; ja od mego wojska, a on od swego i od Wiednia, on między elektorami, a ja między synem, senatorami i hetmanami. Przyjął ten sposób z wielką ochotą i tak się stało.

Przyjechał Cesarz z samym tylko Elektorem Bawarskim, bo już Saskiego nie było; kilkadziesiąt z nim kawalerów dworskich, urzędników i ministrów. Drabanci za nim, trębacze przed nim et de valets de pied sześć albo ośm. Son portrait nie opisuję, bo jest znajomy; siedział na koniu gniadym, znać hiszpańskim. Justokor na nim bogato broderowany, kapelusz francuski z zaponą i z piórami białemi i ceglastemi, zapona w szary z dyamentami, szpad takaż. Przywitaliśmy się tedy dosyć ludzko, uczyniłem mu komplement kilka słów po łacinie, on tymże odpowiedział językiem dosyć dobremi słowami. Stanąwszy tedy przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy ukłonił. Nie posiągnął Cesarz nawet ręką do kapelusza, na co ja patrząc, ledwiem nie zdrętwiał. Toż uczynił i wszystkim senatorom, hetmanom i swemu allie Xciu Panu Wojewodzie Bełzkiemu. Nie godziło się jednak inaczej aby się świat skandalizował, nie cieszył, albo nie śmiał), jeno jeszcze kilka słów mówić do niego, po których obróciłem się na koniu, pokłoniwszy się spólnie, w inszą pojechałem drogę. Jego zaś P. Wojewoda Ruski poprowadził do wojska, bo sobie tego życzył, i widział wojsko nasze, które okrótnie było żałośne i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodzono. Po tem nawidzeniu, zaraz wszystko tak się

odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano. Odjechali od nas i Szafgocz i Ablegat, który się zaraz po potrzebie tak odmienił, żeby go człowiek żaden przedtem go znający nie poznał, bo nietylko że pyszny, że stroni od wszystkich, ale jeszcze gada, opiwszy się, des impertinences. Prowiantów żadnych nie dają, na które przystał Ojciec Święty pieniądze do JWJX Bonwizego, który się został w Lińcu.

Poseł Hiszpański, który tak bardzo pragnął audyencyi, i już to był u mnie otrzymał że na audyjencyi prywatnej miano mu było dać stołek, teraz się nie odzywa. Chorzy nasi na gnojach leżą, i niebożęta postrzeleni, których bardzo siła, a ja na nich uprosić nie mogę szkuty jednej, abym ich mógł do Preszpurku spuścić i tam ich swoim sustentować kosztem; bo nietylko im, ale mnie gospody, a przynajmniej w niej sklepu za moje pieniądze pokazać nie chcieli, aby było rzeczy złożyć z wozów tych, od których konie pozdychały. Ciał zmarłych na tej wojnie zacniejszych żołnierzy w kościołach w mieście chować nie chcą, pokazując pole, albo spalone po którym zaś grobu w mieście pozwolą, trzeba nietylko pieprzem, ale i solą dobrze osolić. Pazia zamną o cztery kroki jadącego, uderzył okrutnie dragon fuzyją w nos i twarz srogo skrwawił. Skarżyłem się zaraz księciu Lotaryńskiemu, żadnej nie odniosłem sprawiedliwości. Drugiemu także zamną jadącemu, opończę moją wydarli. Wozy nam rabują, konie konie gwałtem biorą, które zostawione za górami, teraz za nami przychodzą. Rajtarów moich kilku przy działach nieprzyjacielskich zostawionych które w kupę zbierać, a potem równie się niemi dzielić, rzekliśmy sobie), lubom ja je sam prawie wszystkie pobrał, odarli z płaszczów, na których cyfry moje

były, z sukien i koni obnażyli, i tu żadnego na świecie nie uważamy ukontentowania.

Wczora po południu posyłałem mon Capitan Obar do księcia Lotaryńskiego, pytając się, co wżdy już uradzili, co czynić dalej będziemy, gdyż konie nasze już dalej nad sześć dni nie wytrwają, a jeźli deszcz, uchowaj Boże, nad trzy; jakoż to jest tak pewna, jako że słońce świeci, nigdyśmy w tak złym nie byli razie. Gdyby nas był obóz turecki nie posiłkował obrokami, już byśmy byli wszyscy zostali pieszo. Takie to jest nieszczęście, że drabiny słomy nie dostanie, ani jakiej trawy, coby się nią pożywić można; ziemia tylko sama czarna została od wielkości wojsk pogańskich, a będzie jeszcze tego mil kilkanaście, jeśli nie uczynią miłosierdzia, że nam na Dunaju nie postawią mostu, abyśmy jako najprędzej w kraj nieprzyjacielski wnijść mogli, gdzie pożywienia dosyć; oni zaś zwłóczą odednia do dnia, a sami wszyscy w Wiedniu siedzą, zażywając tychże podobno swych gustów i plaisirów, za które ich Pan Bóg sprawiedliwie karać chciał.

Tego tedy księcia Lotaryńskiego zastał kapitan Obar, u komendanta Wiedeńskiego, gdzie jedli i pili; obadwaj go dosyć na zimno przyjęli i z niczem odprawili, sprzeczając się tylko, że wy bierzecie prowianty, których oko tu niczyje nie widziało, ani o nich ucho słyszało. Nasłuchał się tam różnych dyskursów, mów pełnych niewdzięczności. Na ostatek, że Polacy cisną się dla pożywienia do miasta, aby z głodu nie umarli, postanowił komendant już ich dziś nie puszczać i kazał na nich ognia dawać, a to za to, że któryś strzelił w bramie, co mu konia wydzierano. Jam teraz tam posłał X. Hackiego, jezuitę, zabierać chorych i aby ich wykupił z gospody, a potem, aby najął po nich statek i aby ich za nami

wodą spuścił pod Preszburk. Ja dla rzeczy moich ledwom się wprosił do OO. Jezuitów i to osobnego nie chcieli mi dać miejsca, ani pod rejestrem odbierać; tak się tedy to na Bożą zostawiło łaskę. Racz-że to tedy Wmść moje serce wszystko opowiedzieć J. X. Nuncyuoszowi.

Jeżeli za taką naszą akcyę, gdzie tak wiele zacnej trupem padło szlachty, powinniśmy odpadać od koni, a potem być pośmiewiskiem. Pisał X. Kardynał Bonwizius, że na sto tysięcy wojska na ośm dni przygotowany prowiant, a teraz nas zawiódłszy, suchem jeszcze na zgubę naszą patrzą okiem, ani się tu nam nikt od nikogo nie odezwie, bo co do rządców Cesarza Jmści, ci by podobno i to nam radzi odjęli, co mamy. Druga rzecz, a cóż po tej wiktoryi, kiedy w ziemię nieprzyjacielską nie idą i nas wprzód zgubią, aniżeli tam dojdziemy. Jesteśmy teraz tu właśnie, jako zapowietrzeni, nikt się do nas nie pokaże, a przed potrzebą, przecisnąć się było, do tak wielkich moich, nie można namiotów.

Wiemy, że Ojciec Święty daje, że i sreber kościelnych nie żałuje, że i prywatni ludzie składają wielkie sumy; a na cóż się to zejdzie, by też i dano potem? Już te konie, co pozdychały i pozdychają— pewnie nie zmartwychwstaną.

Bóg widzi, że człowiek umiera tysiąc razy na dzień, uważając tak szczęśliwe okazye, pogody tak śliczne, bo tu gorąca teraz daleko większe, niżeli u nas podczas kanikuły. Cokolwiek-eśmy hazardowali, uczyniliśmy to wszystko w nadzieję obietnic Ojca Świętego, a teraz żałośnie nam tylko wzdychać przychodzi, patrząc na ginące wojsko nasze, nie od nieprzyjaciela, ale od największych, którzy nam być powinni, przyjaciół naszych.

Przyjechał P. Giża z Absolonem do mnie od Tekelego, któryby wszystko dla mnie uczynił i na słowo moje; daję o tem znać Cesarzowi; nie dbają widzę teraz już na nic. Znowu się do dawnej zwrócono pychy i podobno nawet tego, że jest nad nami Panu Bóg nie uważają.

Ja się dziś dalej ruszam, albo w takiż jeszcze, albo i większy głód, ale przynajmniej dlatego, aby się oddalić od tego Wiednia, gdzie do naszych strzelać postanowili i posyłamy tam pod miasto i chorych zbierać i zdrowych i żywności nam potrzebnej zbierać, aby zaś do jakiej nie przyszło konfuzyi. Kiedy się tam różni żołnierze przy bytności Obara skarżyli księciu Lotaryńskiemu, że tego w bramie odarto, albo wóz rozbito, albo konia wydarto, to na to nic, tylko: poznawaj sobie. Co moment przybiegają towarzystwo z płaczem, jako oni ich ratują, mijając Wiedeń, a za nami idące wozy; w koniach nawet podwodnych wielką ponoszą i rynsztunkach szkodę.

Stoimy tu nad tymi brzegami dunajskimi, jako kiedyś lud Izraelski nad Babilońską wodą, płacząc nad końmi naszymi, nad niewdzięcznością tak nigdy niesłychaną i że tak pogodną nad nieprzyjacielem opuszczamy okazyę.

. . . . . .

Książę Lotaryński bywa u mnie; nie znać na nim nieboraku ani zdobyczy, ani łaski cesarskiej... Był też tu u mnie z wielkim żalem, płaczem i skargą ledwie wymówioną, książę Saski von Lawemburg, człowiek poczciwy bardzo, pan wielki i starszy w domu swoim, który w dzień potrzeby komendując prawe skrzydło cesarskie, był zawsze przy mnie. Wielce się czując urażonym, odjeżdża z wojskiem, ludzie

jego i przyjaciele sakramentują, narzekają, grożą, ale i tym drugim ma być bardzo niemiło i dlatego i most nam podobno spóźniają, że wszyscy ręce opuścili, i pokazują się być nieukontentowanymi. Uszy tu bolą słuchać z daleka, co mniejsi mówią, nawet już i na nas narzekają, żeście go sukursuwali; niechby tu była ta pycha i z korzeniem do szczętu wyginęłă...

....

Powyższe cytaty cokolwiek obznajmią czytelników z wielką dobą dziejową Europy, w której skromniuchny udzialik przypadł naszemu podstolicowi. O działalności bohatera naszej powieści nadmienimy tylko, że spisywał się w okazyach rycerskich dzielnie i potrafił zwrócić na siebie uwagę królewicza Jakóba, który do niego poczuł dziwną sympatyę. Łatwo przewidzieć, że wskutek tego wiodło się podstolicowi pomyślnie, nie mógł marzyć o lepszej kondycyi. Po wyprawie, królewicz chciał go przy sobie zatrzymać — czego mu przyjaciele i towarzysze winszowali; on przecież za łaskę podziękował.

— Tęskno mi do swoich, miłościwy królewiczu, człeka zawdy coś tam ciągnie... Gdy z waszą to wolą zgodne — powróciłbym...

Królewicz się ociągał, perswadował — przekonać go jednak nie mógł. Staszek za sentyment dziękował... a prosił się do "swoich", jak powiadał.

Czytelnik domyśla się, co ciągnęło Staszka... Myśli młodziana zajęte były wciąż Anulką, którą postanowił odszukać.

XVI.

Uwolniwszy się ze służby królewiczowskiej, odetchnął Staszek lżej. Niezwłocznie w drogę się wybrał, mając w zamiarze Kalinowo odszukać, albowiem tam, jak sądził, przebywała Anulka. Łacno się dopytał jak ma jechać, gdyż jeden z towarzyszów broni znał okolice tego folwarku. Okazało się, że droga z Warszawy nie była zbyt daleką.

Ruszył tedy w towarzystwie jednego pacholika Pawełka, którego przed wojną jeszcze zgodził. Chłopak był sprytny, zręczny, miły — do podstolica się przywiązał i sam się prosił, aby mógł mu służyć.

Z Warszawy wyjechawszy, stanęli w Kalinowie trzeciego dnia pod wieczór.

— Będą nam radzi, proszę pana, bo konie rżą aż serce rośnie — zauważył Pawełek.

Uśmiechnął się Staszek i we wrota wjechał.

— Idź mi smyku i pytaj o pana Mikołaja Rakuzkiego, ażali doma jest — rzekł przystając. — Gdy zasię jest, proś niechaj wyjdzie... Abyś nie powiadał, kto przyjechał. Rozumiesz...

Pawełek jeno głową kiwnął — szybko z konia zeskoczył i pobiegł do schludnego dworu, zajmującego środek podwórza.

Bawił w nim niedługo i sprawił co mu kazano, bo wkrótce zjawił się pan Mikołaj, ciekawy, kto do niego zawitał.

W Kalinowie rzadko kto się zjawiał — chyba jaki zakonnik z klasztoru OO. Reformatów, albo posłaniec pani Iłowieckiej, która wciąż w Warszawie mieszkała.

— Czołem, panie marszałku!— zawołał z daleka podstolic z konia zsiadłszy.

— Czołem waszmość panu — odparł staruszek do zbliżającego się, którego z powodu osłabionego wzroku nie poznał odrazu. — Z kim mam ten zaszczyt...

Dopieroż, gdy młodzian przy nim stanął, krzyknął żwawiej:

— Mospanku, a toż to pan Stnisław!

— Jam to, panie dobrodzieju... żyw, zdrów i zawdy na usługi...

Upadli w objęcia wzajem.

— To mi niespodzianka! — wołał staruszek do łez wzruszony. — A chodź że wasze... chodź...

Porwał niemal Staszka i szybko do domu wprowadził.

Opisywać czytelnikowi sceny powitania chyba nie trza — trudno bo zresztą opisywać serdeczność z jaką go witano. Wszyscy się popłakali jak nad rodzonem — a Anulka jawne uradowanie okazywała

— Gdzieżeś się obracał? Co się działo z tobą? — obsypywał go zapytaniami stary. — Tu nam dziwy o waszmości mopanku naprawiono, jakobyś do Kamedułów wstąpił, czem Anusia tyle była umartwioną, że bodaj do klasztoru sama nie poszła...

— Wujaszek dobrodziej zawdy mi się sprzeciwia — szepnęła dziewczyna zapłoniona.

— O! o! Alboż tak nie było? Mopanku... wzdychało to po kątach, popłakiwało... Nocami gadała przez sen...

— Ależ wujaszku...

— Moja asińdźko... jużci mi kłamstwa nie zadasz. Zresztą wszystko się wyklaruje. A teraz rozpowiedz miły panie Stanisławie o sobie...

Musiał Staszek przypadki swoje dokładnie rozpowiedzieć — co do późnej nocy zeszło.

Nazajutrz gdy wstał, Pawełek krzątający się po izbie, zapytał z głupia frant.

— Widzi mi się proszę pana, że stąd nie rychło odjedziem...

— A to czemu?

— Hm... wedle mojej kalkulacyi pan się tu musi ożenić...

Burknął nań podstolic.

— Lepiej swego nosa patrz, a nie czyjego.

Pawełek jeno oczyma figlarnie mrugnął.

Po śniadaniu pan Mikołaj, umyślnie czy też nie — zostawił Anulkę i podstolica samych. Jejmość krzątała się w kuchni; byli tedy we dwoje.

— I cóż panno Anno — rozpoczął Staszek po chwili. — Trafiła się też kiedy podczas mojej nieobecności minuta taka, w którejby panna Anna pokornego służkę wspomniała?

Dziewczyna nie odrazu odparła.

— Dlaczego pan podstolic o to pyta? — ominęła...

— Bobym był nader szczęśliwy, gdyby taka minuta się znalazła...

— A gdyby nie?...

— Nie spodziewam się, bom na to nie zasłużył. Ja, Bóg świadkiem, dniem i nocą o pannie Annie myślał — a gdym się uwolnił... pędziłem jak na skrzydłach, aby się z nią obaczyć...

Anulka główkę spuściła.

— Albo to prawda? — szepnęła.

— Naturę mam stateczną i serce takie... Kogo raz umiłuję... to nazawsze.

— I cóż z tego miłowania panu podstolicowi przyjdzie?

— Ach panno Anno... godziż się tak bluźnić?! — ręce składając zawołał podstolic.

— Wcale nie bluźnię i raz jeszcze powtórzę cóżby panu podstolicowi przyszło choćbym o nim pamiętała...

— Byłoby to dla mnie szczęściem... bo panna Anna jest...

— Uboga dziewczyna i nic więcej, a takiej żony pan podstolic by nie pojął...

— Najmilsza panno Anno... o to mi nie chodzi, jedno o serduszko twoje... Niech bodaj jedno słóweczko usłyszę...

— Tylko jedno?

— Jeżeli nie łaska więcej...

Anulka popatrzyła na niego — wreszcie rzekła cicho.

— Dobrze nie pomnę, ale zdaje mi się... że takie minuty często się trafiały...

I zanim podstolic zdążył coś rzec, już jej nie było w komnatce. Tego co usłyszał było dość dla podstolica, aby go uczynić szczęśliwym. Nie ulegało wątpliwości, że Anulka go kocha.

— Niema co... Prosto z mostu... — zakonkludował po namyśle, zaczem odszukawszy pana Mikołaja na stronę go wziął.

— Cóż bo chcesz? Mopanku... domyślam się o co idzie — rzekł stary.

— Może i prawda. Nie tajnoć bowiem, że pannę Annę kocham. Mówić o tem dawniej nie śmiałem, bom był goły jak bizon — dziś... człek trochę grosza ma. Radbym tedy o dwie rzeczy pana a dobrodzieja mego prosić: inprimis o zezwolenie, jako opiekun waćpan prawo do tego masz, na związek małżeński z panną Anną — item o poradę...

— Poradę?

— W tej materyi. Grosza mam niezbyt wiele, ale zawsze na łebski folwarczek starczy. Chciałbym się tu w pobliżu gdzie osiedlić... zagospodarować, i w tem rady waćpana dobrodzieja upraszam.

Stary tabaki zażył.

— Mopanku... mówisz pięknie. Co do drugiej materyi... chętnie ci poradzę, bo w okolicy kilka fortun do zbycia jest i to wcale pięknych; ale co do pierwszej... sam nie decyduję...

— Czemu to? — zafrasował się Staszek.

— Wiadomo ci, że Anulka ma ojca — odparł stary. — Miał on tu fortunę nieopodal, stąd wiorst trzy... i to fortunę wcale intratną... Traf chciał, że niejaki Trzciński Bartłomiej, imiennik twój, a zapewne mopanku z innej gałęzi, połakomił się na oną fortunkę... ile, że z jego folwarkiem graniczyła. Trzciński człek skąpy... pono za grosz duszę by djabłu sprzedał — wynalazł jakiś kontrowers w starych dokumentach i Witeckiego pozywa... Witecki uparty — zresztą nie bez racyi — nie pardonuje... Koniec końców Trzciński tak malwersował, że Witecki proces przegrał, a za koszta sądowe sprzedano mu wioskę. Został bez grosza. Z łaski OO. Reformaci w klasztorze naznaczyli mu mieszkanie i żywią go... Aliści nieszczęście tak go złamało, że się rozpił na potęgę. Anulkę wzięliśmy jako blizcy krewni, wszelako on rodzicielskie prawo za sobą ma... O decyzyę tedy do niego udawać się musisz.

Słuchał Staszek zasępiony — opowieść go mocno zmartwiła, aż zauważył to Rakuzki.

— Mopanku, cóżeś waść nosa na kwintę spuścił — zapytał. — Decyzyę z pewnością uzyskasz pomyślną... A starego Witeckiego spotkasz byle

dzień, bo często tu zachodzi. Do klasztoru niedaleko...

— Czy nie w Oborach mieszka on Bartłomiej Trzciński? — nie odpowiadając, ozwał się Staszek.

Rakuzkiego to zdziwiło.

— Albo go znasz?

— Na moje nieszczęście! — westchnął Staszek. — Toż to mój rodzony stryj!

— Nie może być!!

— Tak jest, panie marszałku dobrodzieju. Nie bronię go, ani też bronić nie myślę, znając dobrze. Wstyd rodzinie naszej i imieniowi przynosi. Skąpstwo zeń wytworzyło jakąś dziwną istotę...

— To prawda! To prawda! — potwierdził Rakuzki.

— Znasz mnie waćpan dobrodziej i łatwo ztąd wywnioskować możesz, ile cierpię przez to. Stryjem mi jest — ale... nabożeństwa do niego nie mam... Choć zgrzeszę — otwarcie powiem, że sknera obrzydliwy...

— Mopanku... wierzę ci zupełnie — ścisnąwszy go, odparł pan Mikołaj. Ano, niema co gadać o jegomości stryju, niech go tam Bóg sekunduje... Zasię do przedmiotu naszego consylium wracając powiadam ci, że pro forma o decyzyę co do ręki Anulki musisz do Witeckiego się udać. Zdragać się nie będzie, bo powodu nie ma. Idzie tylko o formę. Jaki jest taki jest... zawsze rodzic i prawa swoje ma.

— Ale z racyi krzywdy przez stryja wyrządzonej, może odmówić — zauważył Staszek.

— Ot! zachciałeś... Chyba by głupi był! A cóżeś winien ty? Za stryja miałbyś cierpieć? Stryj insza kategorya — a ty znowu insza. Dobrej bądź myśli, powiadam.

Pomimo zapewnień zacnego staruszka, podstolic zaniepokojony był mocno. Przypuszczenia i obawy wydawały mu się słusznemi.

— Obaczymy zresztą — powtarzał w duchu.

Jako rzekł, pan Mikołaj, Witecki zjawił się nazajutrz pod wieczór i nadspodziewanie zupełnie trzeźwy.

— Wyrwałem się do ciebie, panie Mikołaju — mówił—choć na chwilkę. Mnichy na rekolekcyę mię wzięli, od kilku dni ledwie się wyproszę, że puszczą za furtę. Życie mi obrzydło, dalipan...

— Możeś waszmość co przeskrobał, tedy wedle kanonów z tobą postąpili — zażartował Rakuzki.

— Przeciem nie mnich jeno człek świecki i wolny, jak się patrzy. Dobrzy ludziska ci Ojcowie, ale rygorzyści. Chcieliby ze mnie świętego zrobić. Ono, człek do grzechu przylgnął... Ale widzę, że masz gościa? — dodał spostrzegając Staszka.

— Prawie domownik — przedstawił Rakuzki. Pan Stanisław Trzciński.

Usłyszawszy to, szlacheic brwi nasunął.

— Jak? — zapytał.

— Trzciński Stanisław... który ma honor złożyć admiracye i attencyę powinną waszmość panu dobrodziejowi, polecając mu swe służby łaskawe.

Chłodno go oczyma zmierzył Witecki.

— Waćpan tu zapewne w odwiedzinach u Bartosza Trzcińskiego w Oborach? — syknął.

— W odwiedzinach mości dobrodzieju, ale nie u pana Trzcińskiego, jeno u szanownego pana Mikołaja, któregc przyjaźnią mam honor się szczycić... Co się zaś tyczy Trzcińskiego, ten — pomimo, że stryjem jest — niema w sercu mojem zachowania... co mi z wielką przykrością powiadać przychodzi.

— A wiesz waszmość, że stryj twój infamis? łotr?

— To, com powiedział, aż nadto starczy do poznania ile go znam; wszelako upraszam miłościwego waszmość pana, iżbyś stryja mego w obecności mojej nie plugawił przez wzgląd na poczciwe imię, które nosi...

Wyrzekł to Staszek z wielką powagą — Witecki zaś wąsa przygryzł.

— Waszmości nie uchybiam — a o nim w oczy i za oczy powiem, że łajdak...

— Ale mój stryj, brat rodzony ojca, który plamy synowi na honorze nie przekazał. Z tej racyi proponuję zmianę materyi rozmowy, która jak dla mnie wielce jest niemiłą...

Siedział Witecki parę godzin, wcale się dnia tego dobrze prezentując. Snać na trzeźwo bywał do rzeczy i statek wtedy potrafił zachować. O Bartoszu nie wspominał — wszelako do podstolica odnosił się zimno i kwaśno. Dał mu to nawet odczuć, gdy odchodził. Staszek, żegnając się, a chcąc go dla siebie skaptować, ozwał się z grzeczną przymówką.

— Waszmość dobrodziej pozwoli, że go odwiedzę w zaciszy. Mam bowiem zamiar osiąść w tych stronach, zaczem chciałbym utrwalić z tak miłą i poważną personą stosunek...

Na co odparł Witecki zgryźliwie.

— Nie potrafię dotrzymać waćpanu kompanii, bom stary — a młodzi potrzebują równych wiekiem aby się bawili... Przytem nawykłem do spokoju i nierad takowy przerywam...

Przełknął Staszek tę gorzką pigułkę i z pewnością, gdyby nie wzgląd na Anusię, inaczej byłby się obszedł z Witeckim — pięknem za nadobne odpłacając. To jedno go wstrzymało.

Rakuzki zauważył to; gdy więc odszedł Witecki, szepnął Staszkowi.

— Niemasz czego mopanku, do serca brać tej odezwy... Człek stary, zgryziony i pognębiony. Takiemu się wiele wybacza. Zresztą... Bogiem a prawdą... Bartosz winien! O winien! Niech co chce będzie, a obszedł się z nim nie po chrześcijańsku... nie po ludzku...

— Dlatego też urazy nie czuję... — mruknął Staszek.

— I chwalę ci to mopanku. Nie miałbyś o co. Zawdyć rana tak ciężka, jak nieprawnie wydarcie ojcowizny i jedynego dostatku, boli srodze... Czasem człek syknie, burknie i splugawi nawet tego, kto zupełnie nie winien i balsam na nią kładzie. Co chcesz... ból nie głaszcze... trucizna nie daje zdrowia, a krzywda — boli! — Ano... nie myśl o tem... powoli, powoli Witecki się do ciebie przekona. Pozna cię to i, mopanku, pokocha. Jestem tego pewny.

— Bogdajby się złote słowa waćpana dobrodzieja sprawdziły — szepnął podstolic.

Niemniej z przykrością patrzyła i Anulka, jak ojciec jej zimno traktował podstolica. Dziewczyna szczerze rozmiłowana, zrozumiała w jak nieprzyjemnem znalazła się położeniu.

Spłakała się biedna w nocy, główkę do poduszki przyłożywszy, aby jej żalu nie usłyszała pani Mikołajowa, — nazajutrz wszakże wstała z oczyma opuchłemi i czerwonemi, co nie uszło bacznej uwagi pani marszałkowej.

— Co ci jest Anulku... czyś nie chora?

— Głowa mnie jakoś boli — odparła krótko.

— Głowa kochanie? A czy czasami serduszko nie więcej?

Anulka zasromała się — padła w objęcia staruszki, rozpłakała się w głos.

— Wujenka o wszystkiem wie — szepnęła.

— Wiem kochanie ty moje — uspokajała strapioną dziewczynę zacna staruszka — i powiadam tobie, że wszystko będzie dobrze. Jeno mi się nie martw, nie troszcz i nie dręcz, boć przecież kawaler w domu. Jakże na niego spojrzysz?...

— Ojciec go tak surowo przyjął....

— Wiesz jak rzeczy stoją. Stryj podstolica go pokrzywdził, tedy, wspomniawszy o tem, nie mógł być wesołym. Ale to przejdzie. Czas wszystko złagodzi. Bądź wesołej myśli i spokojną.

Tak oboje staruszkowie pokrzepiali młodych, pragnąc gorąco ich szczęścia. Jak pan Mikołaj tak i jejmość patrzyli na nich, jak na zupełnie do siebie należących, tego będąc przekonania, że Witecki sprzeciwiać się nie będzie.

Staszek tymczasem po okolicy jął się rozglądać, zazierać tu i ówdzie, dopytując się o folwarki na zbyciu. Dzięki łasce królewicza i własnej zapobiegliwości, z wyprawy grosza przywiózł sporo, za który można było gospodarstwo kupić i wyekwipować się wcale porządnie. Okolica mu się podobała, ziemie były pszeniczne, rodzajne — nic do życzenia.

Pan Mikołaj był też tego przekonania, że nigdzie lepszego kąta znaleźć by nie można.

— Znam ja te okolice od dawien dawna i z serca ci życzę, osiedlaj się tu. I sąsiedztwo jakie takie... żyć można wygodnie... po bożemu. Wierz mi.

Potwierdzał Staszek, nic atoli nie przedsiębrał z tej racyi, że chciał się wprzódy przekonać, czy stary Witecki córkę mu odda. W przeciwnym razie nie mógłby tu zostawać.

— Rozmówię się z nim stanowczo i to jak najprędzej — mówił.

— Można... Choćby jutro. Gdy chcesz, do klasztoru pójdę z tobą i tam dekretu wysłuchasz. Formę zachować trza. Odmówić nie odmówi z pewnością, bo by oleju we łbie nie miał. Dziewka by z umartwienia chyba zmarła, tak się rozmiłowała w tobie.

— Gdyby tak było...

— Tomaszu niewierny! — pogroził mu pan Mikołaj. — Dziwny z waszmości człek... Ano... też się przekonamy.

XVII.

Stanęła narada ostateczna na tem, że zaraz nazajutrz z panem Mikołajem iść miał Staszek do klasztoru, gdzie Witeckiemu prośby swe przedłoży, a następnie gniazdko uściele i ożeni się...

— Chodźmy z rana — zauważył Rakuzki. — Później mógłby pałkę zalać i byłby do niczego.

Wnet tedy po śniadaniu wybrali się pieszo. — Klasztor — jak rzekł Rakuzki — był niedaleko w niespełna pół godziny w nim stanęli. Zakonników Rakuzki znał wszystkich i w dobrej był z nimi komitywie. Staszka przedstawiwszy pytał pan Mikołaj o Witeckiego, azali jest.

— Jest, jest łaskawco — odparł O. Aureli, ten sam, z którym-eśmy się już raz spotkali. — Ma gościa od samego rana.

— Gościa? — powtórzył Rakuzki. — Czy nie Kobiałkowskiego?

— Jegomość odrazu zgadł — śmiejąc się odparł zakonnik. — A kogóżby inszego? Wszakci to oba

dwaj kompanowie od pewnego czasu nierozłączeni.. Niema dnia prawie, żeby się jeden z drugim nie spotkał...

— I nie trącił kieilchem? — dorzucił pan Mikołaj.

— A jakże!

— Cóż to za Kobiałkowski? — spytał podstolic.

— Waszmość, jak uważam, go nie znasz — mówił O. Aureli. — Sąsiad niedaleki... Ma Krzeszowice i Tłuczki... Z Jacymirskim graniczy...

— Z którym Jacymirskim? — przerwał Staszek...

— Ano — cześnik nasz z Przybogowa. Od J. W podkomorzyny zastaw trzyma...

— Chyba sprowadził się niedawno?

— Niedawno. Waszmość go znasz?

— Zdaje mi się... Jeżeli to ten, który w Warszawie przy podkomorzynie się kręcił...

— Ten sam — przerwał Rakuzki. — Sekundował ci przecież... Ano, jeżeli mamy iść to chodźmy, bo nam pan strukczaszy gotów spłatać figla i albo zabrać pana Jana, albo go też spoić... a sprawę naszą musimy na trzeźwo rozpatrzeć...

— Cóż to za sprawa? — zagabnął O. Aureli.

— Wyjawiać przed czasem nie możemy...

Figlarnie się uśmiechnął zakonnik, tabaki zażył i szepnął na ucho Staszkowi.

— A gdybym też odgadł? Hę? Jegomość bodaj nie z oświadczynami?

Staszek w ogniach stanął.

— Nic złego! Nic złego, proszę ja waszmości. Sukcesu życzę, bo z oczu waszmości dobrze patrzy... Dobierzecie się oboje jak raz...

I kontent, że z mańki zaszedł podstolica, zado-

wolniony z jego pomieszania — jowialny zakonnik wstał dodając.

— Wskażę drogę, bobyście waszmoście nie trafili. Przetranzlokowaliśmy naszego lokatora do innej celi. Proszę za mną.

W niezbyt obszernej celi za stołem siedział Witecki i pan strukczaszy Kobiałkowski, zajęci gorącą rozmową. Przed nimi blaszane miarki stały i spora baryłka, znać pod koniec się mająca co można było poznać z humoru obudwóch biesiadników.

Kobiałkowski się podstolicowi nie podobał. Był to gruby, opasły szlachcic — z łbem wielkim, łysym, twarzą obrzękłą, czerwoną, szklanemi oczyma bez wyrazu stanowczego, karkiem żylastym,, krótkim — podobny do beczki pękatej. Ruszał się z trudnością, mówił głosem przyciszonym, często kaszlał pokazując zęby spróchniałe, czarne, których co prawda wiele nie miał, a które sterczały w dziąsłach jak pieńki na polesiu, a gdy strukczaszy mówił lub ośmiał się — latały mu tak, że zdawało się, że wylecą lada chwila.

Dziadzisko, słowem szkaradne, do obrzydliwości.

Gdy O. Aureli gości wprowadził, Witecki z ławy wstał. Rzuciwszy okiem na wchodzących, stracił na minie, nasrożył się, coś burknął.

Kobiałkowski chciał wstać również, ale człapnąwszy nogami, opadł na ławę.

— Nogi słuchać nie chcą — tłómaczył się. — Pewnie zmiana aury. Darują waszmość panowie, że ich siedzący przywitam.

Sprezentował O. Aureli Staszka, który na boku szepnął Rakuzkiemu.

— Nie mamy co tu robić dziś...

Przyzwoitość wszakże nakazywała zostać choć chwilę.

— Jegomość mi psujesz pana Jana — rzekł O. Aureli do strukczaszego. — Dalipan rewidować cię będę gdy przyjedziesz...

— Ojciec dobrodziej z morałami wyjeżdża... — na to Witecki. — Ano... jedynać pociecha, gdy samotnika przyjaciel taki odwiedzi... Przynajmniej człek o trosce zapomina na chwilę...

Mówił kwaśno — z ukosa przytem spoglądając na podstolica.

— Wszystko dobre, byle w miarę — oponował zakonnik, — tymczasem waszmoście nie trzymacie się tej reguły. Ejże, panie Janie... rekolekcyę nakażę święcie i suchoty...

Witecki westchnął.

— Ot! prawi ojciec byle co z pozwoleniem... Bez miary nie pijemy nigdy — tu kubki wskazał. — A rekolekcye odbywam nie od dziś, ale od czasu, gdy mnie niepoczciwy człek fortuny zbawił... Grzeszę... wiem — ale z musu. Bóg widzi z musu...

Kobiałkowski łbem tylko kiwał, śmiejąc się bez myśli. Staszek na wspomnienie stryja zadygotał z pasyi, pokrywając to spokojem przymuszonym.

Po niedługiej chwili Staszek kiwnął Rakuzkiemu — co ten zrozumiawszy wstał i pożegnał się z Witeckim.

Nie zatrzymywał ich gospodarz celi — owszem znać było, że ich rad żegnał.

Staszkowi podawał rękę niechętnie, a patrzył nań z wyraźną ironią, która nie pozwalała wątpić, że stary niewiele sobie go uważał.

— Nic straconego — mówił Rakuzki. — Nie dziś... to jutro. Byle go trzeźwym złapać.

Po drodze podstolic był dziwnie zamyślony —

słowem się nie odzywał, w ziemię patrzył, wzdychał... co pan Mikołaj za skutek niepowodzenia brał.

Tego samego dnia, nie mówiąc nikomu, po obiedzie siadł na konia i do Obór pojechał, nawet Pawełka z sobą nie wziąwszy.

Jak zwykle z trudnością się dostał po za bramę — Skuba od pana Bartosza przyniósł odpowiedź, że z jegomością widzieć się nie można wcale. Staszek przecież odjechać nie chciał i przez gwałt, nie słuchając tłómaczeń sługi, do zameczku wszedł.

Na wchodzącego napadł stryj z pasyą.

— Waszmość z czem znowu?

— Stryja powitać przychodzę i służby mu swoje złożyć.

— Nie masz po co! Jam słaby, zchorowany... spokoju potrzebuję... Nie miałeś poco przyjeżdżać...

— Wszak-eśmy krewni — i to blizcy... — dorzucił Staszek, którego pasya stryja więcej śmieszyła, niż oburzała.

— Krewni... krewni... Cóż z tego? Na kark mi się złazić będziecie... męczyć... spokoju nie dawać... życie truć... A może waść przyjechałeś po wsparcie jak braciszek Tomasz? Hę?... ani myśl o niczem... O niczem.

Na to Staszek powoli.

—Uprzedzam stryja, że dostatku jego nie pożądam i wcale nie dlatego rzychodzę. Mam co prawda interes, ale ten korzyść jedynie stryjowi przynieść może...

Złagodniał sknera.

— Jaką tam korzyść! — mruknął do siebie.

— Ano... przyjechałem z tem, że Zagrobę chcę nabyć, którą stryj Witeckiemu wydarł.

Pan Bartłomiéj oczy wytrzeszczył i gębę otworzył, jak gdyby chciał młodzieńca połknąć.

— Ty? Ty? Chcesz kupić?

Staszek potwierdził.

— A nie daj Boże pożaru — ciągnął Staszek. — Wszystko za nic... Gotówka rzecz pewna. Do skrzyni się chowa i na oku jest.

Argumenta były przekonywujące — Bartosz widocznie ustępował.

Chwilę trwało milczenie, podczas którego Staszek niedbale coraz to nową garść dukatów wyciągał, a Bartosz, widząc to, chrząkał, spluwał, ręce tarł i uśmiechał się.

— Powiedz że do czego ci Zagroba? — spytał wreszcie. — Zachciało ci się tak nagle, jak dzieciakowi z nieba gwiazdy? Tu musisz w tem coś mieć? Hę?...

— Cobym miał mieć? — odparł wzruszając ramionami podstolic. Zebrałem trochę grosza i chcę osiąść na roli jak należy. Nic innego. Wiem, że stryj, posiadając prócz niej jeszcze cztery folwarki, z chęcią sprzeda... Od krewniaka wolę kupić, aniżeli od człeka obcego...

— Może myślisz. że ci się pieniądze wrócą nie zadługo, bom stary i niedołężny? — podejrzliwie chwycił sknera.

— Za to mogę stryjowi zaręczyć, że anim po myślał. Nie należę do tej kategoryi ludzi, chciwością się brzydzę, jako obrzydliwością szpetną.

Namyślał się Bartosz — kombinował tarł czoło, podbródka gładził.

— Nie sprzedam — rzekł w końcu. — Zagroba folwark niby złote jabłko... Więcej wart. Nie sprzedam...

— Niechże stryj dobrze rozważy. Takiego kupca jak ja — niełatwo.

— Nie sprzedam. Przecież mnie nie zmusisz, bo folwark mój... mój własny...

— O tem wieleby gadać! — z przekąsem szepnął podstolic.

Rzucił się Bartosz.

— Jakto? Może zaprzeczysz?

— Jużci w grunt wnikając, folwark wedle sumienia należy do Witeckiego... Stryj mu go wyrwał bezprawnie...

— Nieprawda! Nieprawda!... Prawnie go posiadam i udowodnić mogę... Ludzie gadają... bo mi zazdroszczą tego nędznego grosza, com go zebrał, ale fałsz! gadają kłamstwo. Niech procesują, niech skarżą... Obaczymy kto wygra! Obaczymy!

— Szeroko by wtenczas król Dawid o tem pisał — roześmiał się Staszek. — Ano... dołożę dwadzieścia dukatów.

— Idź ty z twojemi pieniędzmi i nie kuś po próżnicy — odparł Bartosz łagodnie. — Sprzedawać nie potrzebuję.

— Ha... to i pójdę — wstając rzekł Staszek. — Nie miła księdzu ofiara, pójdź cielę do domu.

To mówiąc dukaty zgarnął do trzosa — co widząc stary śpiesznie zawołał.

— Czekaj! Czekaj! Gorączka jesteś... impetyk... ogień... Możemy z sobą pogadać.

— Ja czasu nie mam.

— Czekaj, trza rzeczy na uwagę wziąć... Powoli może i do ładu przyjdziemy. Folwark nie bagatela. Złote jabłko...

Wpatrzył się w Staszka i z cicha szepnął.

— Za tysiąc możebym sprzedał...

Ten głową wstrząsł.

— Nie wart. Tego co daję nadto.

— Nadto, nadto... Gdybyś widział Zagrobę... obejrzał, dopiero byś powiedział czy warto. Tysiąc... tysiączek dasz i będzie twoja. Nie mogę taniej bobym stracił.

Otarł czoło spocone.

— Szkoda czasu, stryjaszku łaskawy; wolę inną fortunkę... właśnie mi tu stręczą Pepłowo...

— Takżebyś wygrał. Pepłowo... piaski.. maź... chudeuszczyzna... Boże zmiłuj się... Ani porządków, ani korzyści. Grosze byś w błoto rzucił. Tysiączek daj i... kwita. Bóg mi świadkiem, że taniej nie mogę.

— Dziewięćset dwadzieścia — nieugięty odpowiadał Stach.

— Nie mogę. Zamało.

— To żegnam stryja — rzekł Staszek, za czapkę biorąc.

Sknera go za ramię chwycił.

— Może nie masz, to ci poczekam... Skrypcik mi tylko dasz...

— Mam, ale nie dam, bo niewarto...

Wzdychał Bartosz, zaklinał się, że traci, narzekał, ręce łamał — wreszcie gdy Staszek nie postępował, zawołał.

— Ano... dla ciebie jedynie... Licz pieniądze...

Odetchnął podstolic — powtórnie wyliczył pieniądze — które sknera w szmaty setkami zawijał.

Przystąpili zatem za spisania kontraktu. Tu przetrwał podstolic istną mękę, gdyż stary warunkował sobie niepodobne do zatwierdzenia rzeczy.

O mały włos oburzeniem nie buchnął.

Pomiędzy innemi zastrzegał Bartosz, aby nawet jaja, które indyki, kury, kaczki i gęsi zniosą w

miesiąc od daty aktu, zwracać mu jako słusznie należne.

Kilkakroć Staszek pióro rzucał i pieniądze brał za każdym razem stryj go wstrzymywał. Obadwaj zmęczyli się tak, — że im pot z czół aż po twarzach ściskał.

Nareszcie stanęła ugoda, nic nie brakło, jeno świadków i podpisu mecenasa, a potwierdzenia grodu.

— To twoja rzecz — skwapliwie podchwycił stary — Ja się do niczego już nie mięszam.

Zgodził się Staszek i na to. Prosił stryja by się przygotował — nazajutrz bowiem do Sabinki chciał z nim pojechać i tam odpowiednich formalności dopełnić...

— Byle załatwić szybko — zastrzegł stryj. — I to sobie pamiętaj, że koszta konfirmacyi i akceptacyi do ciebie należą... Zrobiłeś dobry interes. Zazdrościć ci będą...

— Przesoliłem — lakonicznie roześmiał się pod stolic.

— Zachciałeś... Dadzą ci półtora raza więcej, gdy zechcesz sprzedać... — wzdychał Bartosz. - Jam ci ustępował boś mi krewny... ale dla nikogo bym innego tego nie zrobił...

Pożegnał go Staszek i wyszedł.

Sknera długo za nim patrzył mocno zamyślony. Ocknął się, następnie westchnął, zwijki z dukatami do poły zgarnął i miał chować, znać do sobie tylko znajomej kryjówki — gdy wszedł Skuba. Zobaczywszy go, krzyknął jak oparzony.

—Po co leziesz? Po co? Woła cię kto? Hę... Wynoś mi się, ty... chamie jeden... Precz...

— Łotry — mruczał, gdy Skuba z pośpiechem uciekł. — Aby podstrzegać... Przewąchali może...

XVIII.

Na prośbę Staszka, Rakuzki wraz z nim i z panem Bartoszem do Płocka pojechał. Zdziwiło staruszka owo nagłe kupno, które podstolic bez jego wiedzy uskutecznił — ale je aprobował. Folwark, według jego zdania, był kupiony nie tanio, ale i nieosobliwie drogo.

Opowiadał Staszkowi, że można było w nim żyć jak w ulu, byleby samemu ręki i oka dołożyć.

Niemniej się zdziwił rejent Sabinka, który Staszka za straconego uważał, obaczywszy go zdrowym i dobrze się mającym.

Formalności prawne ułatwiono niebawem — nowonabywca mecenasowi, stryjowi i świadko sprawił festyn należyty, poczem w swoje wrócił strony.

Obiecał Sabinka do Zagroby zjechać, skoro się Staszek urządzi.

Zagroba podobała się naszemu podstolicowi — musiał atoli ład zaprowadzać, bo go wszędzie brakło. Na oko zdawało się, że wszystko w porządku, w gruncie zaś rzeczy... żal się Boże!

Bartosz był tego rodzaju gospodarzem, że ciągnął zysk z ziemi, ssał go jak truteń miód z kwiatów, co jeno mógł, nie zwracając uwagi na nakłady.

W kilka tygodni zjawił się Staszek u Rakuzkiego.

— Mopanku, dziedzicowi czołem! — witał go pan Mikołaj. — Jakże ci się wiedzie na nowem gospodarstwie? Co? Opowiadaj, bo mnie jak syn rodzony obchodzisz...

Chwalił sobie Staszek, mówiąc, że złego kupna nie zrobił.

— To wiem, mopanku, i powiadałem odrazu. Ha! Bóg ci zresztą pobłogosławi. Teraz. . myślę... nic innego nie pozostaje do roboty, jak z oświadczynami do pana Jana się udać. Jesteś mopanku i bene natus i — possessionatus. Możesz uważać jako A nulka twoja.

— Mam tę błogą nadzieję, że przy pomocy bożej dopnę zamierzonego celu, wszelako chciałbym przedtem jeszcze jedną kwestyę załatwić, a to za poradą i pomocą pana marszałka, który mi w smutnem sieroctwie ojca zastępuje.

— Coż to za kwestya?

— Owo rzeczy się tak mają — pocznie Staszek. — O kupnie przezemnie poczynionem nie wie tu nikt, prócz państwa marszałkowstwa, stryja i mnie...

— No, Anulki też — wtrącił stary.

— Żałuję mocno, żem wprzódy nie uprosił dobrodzieja mego o sekret w tej kwestyi. Sam wszakże suplikować będę Annę o ten wzgląd.

— Na co? po co? — podytywał staruszek. nie mogący skombinować celu tej przemowy.

— Chciałbym, iżby Witecki odebrał Zagrobę na własność.

Pan Mikołaj uśmiechnął się.

— Chyba mu ją darujesz, bo on biedak bez grosza.

—Właśnie myślę to zrobić, jeno tak: iżby on nie wiedział, że to darowizna...

Zdziwienie Rakuzkiego nie miało granic prawie; odstąpił, popatrzył chwilę na podstolica, ramionami wzruszając.

— Alboś nieprzytomny ty, albo ja.

— Idzie mi o to, aby Witecki odebrał Zagrobę, którą mu stryi mój nieuczciwie wydarł, a odebrał

jako wygranę w procesie, tak samo jak mu była wydarta. Jedynie zaś waćpan dobrodziej uskutecznić to możesz.

— Zważ-że panie Stanisławie — perswadował staruszek.

— Wszystkom zważył. Czy tak, czy siak, Zagroba zostanie moją, boć mi Witecki córki nie odmówi, a cześć poczciwego imienia, które noszę, nie będzie szwankować. I wilk ostanie syty i koza cała. Wykombinowałem stanowczo.

Długo rozważał pan Mikołaj to dziwne proroctwo podstolica, — wreszcie rzekł z rozrzewnieniem szczerem.

— Uczciwyś... Rogatą masz duszę... Ale jakże to zrobić?

— Bardzo łatwo. Wypiszemy list do Witeckiego, który udamy, że pisał mecenas jego, broniący sprawy przeciw stryjowi memu, że sam on (to jest mecenas), zakładał apelacyę na własne rezyko, i że na skutek tej, pretensye Trzcińskigo usunięto i folwark Witeckiemu ostatecznie przyznano. Mecenas ten — Żmijewski — zmarł temu dwa miesiące w Płocku, o czem-em się przypadkiem od Sabinki dowiedział... zaprzeczyć tedy nie może. Witecki (ilem go poznał) za ciężki do sprawdzania tej kwestyi... Jednem słowem — krzywdę wynagrodzimy, ja nie stracę, a stryj... ostanie pieniaczem, ale nie krzywdzicielem...

— Rozumnieś wykombinował — potwierdził pan Mikołaj.

Wzięli się do rzeczy krótko. Wystosowali do Witeckiego pismo, w którem Żmijewski upoważnia go do zajęcia natychmiastowego folwarku, dodając iżby używalności i korzyści za czas posiadania folwarku przez Trzcińskiego nie dochodził, albowiem

on, Trzciński, sumę odpowiednią za prowadzenie procesu, quasi koszta od Witeckiego należne, Żmijewskiemu w zupełności opłacił...

Anulka na prośby podstolica, przyrzekła rzecz całą trzymać w jak największym sekrecie.

Staszek prócz tego, miał się oświadczyć z eks kuzą i przeprosinami od stryja, nadto w jego imieniu Zagrobę w używalność Witeckiemu oddać.

Ładziło się wszystko pomyślnie.

W klasztorze — kędy nazajutrz po uplanowaniu całej sprawy przybyli — zastali samego Witeckiego, który się do Kobiałkowskiego wybierał. Gościom uprzejmości wielkiej, tak samo jak zeszłym razem, nie okazywał.

Pan Mikołaj zagaił rozmowę ni tem, ni owem... spozierał na Staszka, chcąc, iżby on pierwszy o wygranym w rzeczy procesie Witeckiemu oświadczył, lecz ten milczał uporczywie.

Wreszcie staruszek na odwagę się zdobył, co mu z trudnością przyszło, bo kłamać był nienawykły.

— My tu do waszmości, mopanku, z nowiną...

— Z jaką tam nowiną! — mruknął niechętnie Witecki. — Kat mi po niej...

— Przeczytaj jeno waszmość co do mnie Żmijewski pisze — i wraz z tem pismo mu podał wiadome.

Machinalnie do ręki je wziął Witecki; rozprostowawszy, czytać począł.

Próżnoby się kto mozolił nad opisaniem wrażenia, jakie na nim wywarło pismo. Zadrżał... krzyknął... za głowę się chwycił i rozpłakał z radości tak rzewnie, że aż obecnym łzawo się zrobiło.

Mówić nic nie mógł, jeno urywkami bąkał.

— Zagroba... moja Zagroba... Bóg miłosierny... sprawiedliw...

Na ten krzyk rwetes się zrobił w klasztorze... Do celi wpadł O. Aureljusz, O. Marek i sam przeor O. Walenty.

— Co się stało? Co? — dopytywali.

Rzucił się do zakonników Witecki, całował ich, ściskał z płaczem, bełkocząc niezrozumiale.

Mnichy spoglądali po sobie zdziwieni.

— Kyrie elejson, panie święty — rzekł przeor poczynając zwykłem swem przysłowiem. — A toż co się dzieje?!

O. Aurelijusz pytająco na Rakuzkiego i podstolica spozierał.

— Miłosierdzie Boże wielkie jest — szepnął Witecki oprzytomniawszy. — Sprawiedliwość Jego zawdy bez granic.

— Ale co? Co?

Witecki list im podał.

Odczytał przeor w głos pismo, złożył je i głową pokręcił.

— Niespodzianka, panie święty, winszować waszmości...

Wszyscy nadziwić się nie mogli tej nowinie.

Staszkowi serce rosło, gdy patrzył na swoje dzieło. Mimowoli łzę w oku poczuł, ale ją otarł szybko, odwróciwszy się w bok.

— Trzciński z tego pewnie nie kontent — zauważył O. Marek. Będziesz miał z nim waszmość tęgą przeprawę.

Roześmiał się Witecki.

— Trzciński? A on mnie co? Pal go kat!! Nauczy się gwizdać po kościele... Łotr jest skończony... ale — ustąpić musi... Ha! ha!

Pomiarkowawszy się do Staszka zwrócił.

— Waszmość się nie raź do mnie, że krewnego ci besztam, bo wart tego. Sam przyznasz. Znają go tu wszyscy...

— Więcej o nim może prawią, jak jest w rzeczy samej — odparł Staszek powoli. — Wiem, że skąpy nad miarę i tego mu za dobre nie uważam, alebym go łotrem nie nazwał...

Machnął ręką Witecki — spojrzał na zakonników, ci z kolei ramionami wzruszyli patrząc w zie mię.

— Kyrie elejson, panie święty — mruczał prze or — nie obmawiam krewniaka acana, ale i... nie bronię, nie bronię...

— Dajmy spokój tej kwestyi — przerwał Witecki. — Mam go po gardziel, a co wart... mnie pytaj. Przysłużył mi się tak, że go póki życia nie zapomnę... Obaczysz waszmość, co powie na decretum sądowe.

— Na to ja waszmość panu za niego odpowiem, gdyż właśnie posłem jestem w tej sprawie.

Rakuzki jeno słuchał, uśmiechał się i wąsa kręcił.

— Waszmość?! — powtórzył Witecki i odął się.

— Ja sam — odparł Staszek.

— Anom ciekaw — mruknął stary. — Praw waszmość.

Skrzywił usta i ironicznym uśmiechem, ręce w tył, pochylił głowy i nogę jedną naprzód wysunąwszy, tupał nią o podłogę.

— Owóż stryj kazał mi oświadczyć, że szczerze żałuje tego co zrobił, prosi waszmość pana, byś w niepamięć puścił jego pasyję pieniacką, gdyż z tego jedynie powodu zaszła cała ta chryja — czemu się

nie dziwić, bo człek jest sam, tedy zdziwaczał. Nadgnął Staszek. — Wszelako...

— Dziwak jest, stetryczały, samotnik—ciągnął to przezemnie upoważnia waszmość pana do zajęcia swojej własności, którą mu bezspornie oddaje.

Wszyscy milcząc po sobie patrzyli.

— Nowina za nowiną! — bąknął O. Aurelijusz.

— Kyrie elejson, panie święty... za katy rzeczy się zmieniają.

A Witecki zbliżył się do Staszka, za rękę go ścisnął.

— Tegom się nie spodziewał, aliści skoro tak... to i Bogu chwała. Zalał mi sadła za skórę... ba! gorącego... pal go kat! Dziwny człek jest... i kwita...

Zatarł ręce.

— Wszelako, nie od rzeczy by było, gdyby nam O. Walenty pozwolił upamiętnić ten ważny trafunek. Dziś jeszcze nie mam grosza przy duszy, a sucho takie święta obejść się nie może. Księże Walenty... jest racya?

Przeor palcem mu pogroził.

— Ot! czego się waszmości zachciewa — rzekł!

A O. Aurelijusz żartem dorzucił:

— Pan Jan zapewne chce najprzód Bogu podziękować, i prosi O. przeora, iżby mszę świętą odprawił na tę intencyę...

Już to dobrodziej zawdy mnie sromasz. Prawda, że to uczynić należy, ale nie dziś. Ojcowie się na mnie skarżyć nie będziecie, potrafię dobroć waszą odwdzięczyć. Teraz co innego na uwadze mam. Ojcze przeorze... użyczcie mi napoju z waszej piwnicy. Wrócę wam z nasypem.

Nie zadługo zapijano tę sprawę wesoło.

Rakuzki do domu wracał niezbyt w humorze.

— Wolałbym żeby inaczej się stało — mówił do siebie. — Chłopak prawie że koszulę z grzbietu własnego ściągnął i gołe cielsko Witeckiego okrył... bo ten marzł sromotnie — cóż z tego? Z Anulką się pobrawszy, prawda, że swoje odzyszcze, ale... zawdy stary za dobrodzieja będzie się uważał, a chłopak bodaj na dybiącego za wianem wyjdzie!

Spoglądał na towarzysza i wzdychał.

Ten — przeciwnie, patrzył wesoło... czuł się lekkim, swobodnym i niezwykle rzeźkim.

Wracających spotkała Anulka, która znać umyślnie naprzeciw wybiegła.

— I cóż? I cóż — dopytywała ciekawie.

— Wszystko jak najlepiej — odparł Staszek.— Ojczysko się ucieszyło... rozpłakało... Pewnie go jutro tu będziemy mieli.

Jużci do dziedzictwa wróci, córkę zabierze...

— Młodzi oczy spuścili — Rakuzki fuknął żartobliwie.

— Mopanku, jużci pomartwili się oboje... Słyszaneż to rzeczy? Zagroba nie Ukraina, a pan Stanisław pewnie o nie nie zapomni. Dziewczyno... toż wesoło mi patrz... boś szpetna gdyś płaczliwa. Ano... śmiało, rzeźko.

— I waszmość żałobnikiem nie bądź... Do czegóż bo to podobne? Nie rozłączacie się na zawsze, i — bodaj... nie na długo.

— Mnie każda chwila nie wiem jak długą wydawać się będzie — zawołał podstolic.

— Anulce też? Nieprawdaż? — podchwycił staruszek. — Powiedz że mu dziewko; patrz jak na ciebie spoziera miłosiernie i o te słów kilka niby o największą łaskę prosi...

— Pan Stanisław wie co myślę... — odparła z cicha.

Rakuzki dobrodusznie jej pogroził.

— Mopanku... wszystkie do siebie podobne, jak dwie krople wody... kubek w kubek. I moja asindźka swego czasu nie inaczej mi odpowiadała... Wie, co myśli! Hm... prawda mopanku. A zawdy człowieka na uwięzi trzymają, z pozwoleniem, jak żyd kozę, gdy ją na jarmark prowadzi...

— Oj niewiasty, niewiasty! Ziółkaście wy wszystkie!

Zostawił młodych samych, wiedząc, że tem im przykrości nie sprawi.

— Niech się nagadają — myślał. — Toż teraz pora dla nich najmilsza.

Młoda para weszła do sadu tuż za dworkiem położonego. Oboje szli zamyśleni — jedno i drugie czuło słowa na ustach, wszakże na śmiałości im zbywało.

Anulka przerwała to milczenie. Podniosła wzroczek i spojrzała na podstolica. Spojrzeniem tem wyrażała, co czuła.

— Kocham cię, boś szlachetny... — zdawały się mówić jej modre oczęta. — Kocham i podziwiam.

Podstolic za ręce ją chwycił, których nie broniła...

— Panno Anno... od pani nie usłyszę nic? — zapytał.

— Wstydzę się pana — odparła.

— A toż się co ma znaczyć?

— Tak jest. Wstydzę się, bo nigdy nie potrafię ci odwdzięczyć tego, coś zrobił dla ojca... Nikt inny do czegoś podobnego nie byłby zdolnym...

Staszek się zmięszał.

— Panna Anna przecenia to, co było moim obowiązkiem — rzekł.

— Obowiązkiem?

— Najświętszym. Stryj mój obszedł się z wami nieuczciwie, skrzywdził was, chleba pozbawił.... byłem w możności naprawić to, i... naprawiłem.

— Aleś sam teraz... — przerwała Anulka.

— Biedny? — podchwycił Staszek. — O nie, Anusiu, jam teraz możniejszy, aniżelim był dawniej — bo wiem... że mnie kochasz... Nieprawdaż?

Głos mu drżał, twarz płonęła, serce omal, że nie rozerwało piersi, tak dygotało gwałtownie.

Anulka milczała.

— Kochasz mnie... — powtórzył Staszek. — Powiedz, powiedz sama Anulku... Gdy to usłyszę — nic mi już do szczęścia nie braknie.

Dziewczyna ścisnęła mu dłonie.

Uścisk ten — dreszczem przejął młodzieńca... Krzyknął!... zatrząsł się... oddech mu w piersiach się zaparł. Nie wiedząc sam, co robi, przyciągnął Anulkę do siebie.

— Panie Stanisławie — szepnęła.

Ale on jej nie słuchał. Nie widział przed sobą nic... nie słyszał też...

Przyciągnąwszy do siebie, objął ją i ustami dotknął jej ust koralowych.

Rozległ się odgłos pocałunku... Zabrzmiał w powietrzu podobny do pieśni strzelistej, wyrwanej z duszy, opojonej zachwytem. Zabrzmiał i ucichł — bo porwały go między siebie liście drzew i ukryły.

— Anulku moja... Anulku... jakże się miłuję — szepnął podstolic. — Gdybyś ty miłować potrafiła równie....

Dziewczyna nie odpowiedziawszy wyrwała mu

się z objęcia i pobiegła do dworka. Czuła się dziwnie usposobioną, nigdy nie doznawała czegoś podobnego.

Podstolic został sam. Stojąc ze złożenemi, jak do modlitwy rękoma, patrzył na Anulkę zapomniawszy o wszystkiem, co się w około niego działo.

Sceny tej nie dojrzał nikt z ludzi... jeno plotka sroka, która podówczas latała — siadła na płocie przed dworkiem i wrzeszczała po swojemu, jakby odurzona. Aliści ktoby ją zrozumiał?

XIX

...Niebawiem do Zagroby się przeniósł zabrawszy z sobą Anusię — Stasiek zasię przygotowywał się do formalnych oświadczeń. Nie chcąc rzeczy przeprowadzać zbyt nagle, wyczekał kilka tygodni, aż Witecki ochłonie z doznanej radości.

Na swata Rakuzkiego uprosił.

Wybrawszy pogodny dzionek do Zagroby się udali.

Staszek na się co najlepsze odzienie wziął, aby godnie przy tak uroczystej chwili wystąpić. Więc żupan bławatny, za nim kontusz aksamitny różowego koloru, opasany dziwnej roboty pasem bawolim. Przy żupanie pod szyją zapona, brylancikami kamoryzowana, a klejnot rodowy wyobrażająca — guzy koralowe perłami utkane. Szablę miał o głowni nader misternej kształt i pozór potworu mającej, suto złotem nabijanej, buty żółte ze srebrną podkówką i czapkę tegoż koloru co żupan, z piórem czaplem, przyszpilonem niemniej kosztowną zaponą.

Rakuzki też poważnie się odział.

Zastali Witeckiego z gośćmi — tymi zaś byli:

pan Kobiałkowski i pan Klicki mostowniczy "oczaj duszą" zwany na okolicę. Siedzieli, gwarząc wesoło, ma się rozumieć przy dobrze zastawionym stole.

Gości powitał gospodarz rad, uściskał jak jednego tak drugiego serdecznie. Od czasu jak do Zagroby wrócił nie okazywał niechęci Staszkowi.

Przybyli niechętnie spostrzegli kompanionów, woleliby Witeckiego zamego zastać.

Rakuzki szepnął ,aby na inny czas oświadczyny odłożyć, podstolic przecież się uparł.

— Bądź co bądź dziś trzeba skończyć — powiedział.

Uważał pan Mikołaj, że im prędzej sentyment podstolica Witeckiemu opowie — tem będzie lepiej. Później zaś biesiada nań mogła źle wpłynąć — łatwo stać się mogło, ile, że za kołnierz nie wylewał. Wyczekał tedy stosownej chwili i nie zważając na obecnych począł w ten sens:

— Miłościwy panie Janie, a bracie nasz... zgołać może nie pora jest ku temu, co chcę wyrazić; zważając jednak, że sprawa, którą przedłożyć mam, jest uczciwą... a więc nie kryjomo, jeno przy świadectwie obecnych panów, a braci sąsiadów, posłuchaj łaskawie supliki, którą ci wyłuszczam. Któż nie potwierdzi tego sensum, że matrimonium, jako zakonu Boskiego instytucya, jest cnotą, godną wszelkiej chwalby. Toć że to w raju gdy Adam rodu protoplasta, wieleć się samotnością frasował, sam Bóg mu był niejako dziewosłębem i żonę mu dał, bo rzekł, że smutno człowiekowi samemu żyć. Owóż nie karygodną jest zatem rzeczą, a przeciwnie wielce chwalebną, gdy dwoje ludzi się kojarzy, poczuwszy efekt wzajemny. Tego waszność, miłościwy gospodarzu, nie powinieneś za złe uważać, ani też się dziwić, skoroć prosić będę obecnego tu pana Trzci-

ckiego, o rękę twojej Anny dla niego. Oboje związali się gorącą miłością... racz tedy im dać swe pozwolenie i konfirmacyę ojcowską. Już się wtedy in Labirynto afektów błąkać nie będzie Thezeusz, bo znalazł, rozumiem ex-filo Boskich predestynacyi Aryadnę... I ufam w to, że waćpan dobrodziej zechcesz confirmare hoc Foedus amicite i wstąpisz w koligacyę z tak sławnym domem, z jakiego wychodzisz pan Trzcińskich. Na przeszkodzie nie stoi nic... Pan Trzciński rozmiłował się gorąco w córce waćpana dobrodzieja i tak jak Hypomenes nie o złoto z Atlantu, jeno o metę afektów konkuruje.

Od samego początku tej mowy, Witecki się namarszczył. Słuchając głowę spuścił, rękę po stole stukał.

Kobiałkowski zaś wielkie jakoby zdziwienie okazywał.

— Z temeści przyjechali? — rzekł gospodarz — gdy Rakuzki siadł.

— Nie byle jaki termin — mruknął strukczaszy z przygryzkiem.

— Jakiż tedy respons waszmości? — nie zważając dopytywał pan Mikołaj.

Na to Witecki.

— Z responsu mego nie będziecie waszmość panowie kontenci. Afektów pana Trzcińskiego przyjąć nie mogę...

W Staszka jakby piorun uderzył.

— I proszę, iżby dalszych konkurów, oraz wszelkich starań w tej materyi zaniechał — kończył Witecki.

— Panie Janie... a toż czemu? — przemilczawszy zapytał Rakuzki.

— Mam swoją racyę.

— Mopanku... nie widzę żadnych. Córki nie zamarynujesz ani nie zakwasisz... Trzcińskiemu nic chyba nie zarzucisz... Człek ze statkiem i jak rzadko pomiędzy młodzieżą... Namyślij się mospanku...

— Jużem się namyślił.

— Ależ... powiadam ci, że oboje miłują się wzajem...

Witecki ręką rzucił...

— Skąd waszmość wiesz?... Córka moja należy do mnie. Ja nią rozporządzam, a nikt inszy. Proszę tedy waszmości, dajmy pokój tej rozmowie.

— To nie może być! Nie może być! — oponował Rakuzki.

A Kobiałkowski się ozwie.

— Niesłychana rzecz, iżby kto ojcu nakazywał, jak ma z córką postąpić!

Porwał się Staszek na to i buchnął gwałtownie do mówiącego przypadłszy

— Niesłychana rzecz, iżby obcy człowiek do tak ważnych spraw nieproszony nos wściubiał!

Prychnął Kobiałkowski.

— Co — zawołał.

— To... że niezdrowo czasami wdawać się w nieswoje rzeczy... Jeśliś waszmość nie wiedział o tem — to się dowiedz.

Zarzucił wylotów podstolic i wąsa kręcił, patrząc na dziada wyzywająco.

Kobiałkowskiemu ślepie krwią zaszły, tchnął mocno.

— Słyszysz waszmość, co się dzieje? — do Witeckiego rzekł.

— Mospanie Trzciński — waszmość się zapominasz — przerwał Witecki poważnie.

A Klicki pod ten czas łbem kiwał i różne miny twarzą wyprawiał okazując podziw.

— Waszmość się zapominasz — powtórzył Witecki. — Postępujesz tak, jak nie na honorowego kawalera przystało...

— Wybaczysz waćpan dobrodziej... sam przyznaję, żem nieco za gorąco sprawę tentował ,ale na wzajem i to przyznasz, że wtrącanie do kwestyi podobnych osób nieproszonych, wcale nie na miejscu jest...

Wyrzekł to Staszek szybko i drżąc od gniewu, który nim miotał.

— Uwaga waszmość pana możeby i słuszną była, gdyby nie to, iż pan strukczaszy do wtrącania się ma najświętsze prawo — odpał Witecki.

— Jakie prawo? Co?

— Nie widzę potrzeby przed waćpanem się tłómaczyć...

— Wszelako raz jeszcze zwracam się z prośbą... Toć waćpan dobrodziej ojcowskie posiadając serce, nie zechcesz krwawić serca swej córki... — boć tyranem nie jesteś... Racz ją tedy przywołać, a gdy mą suplikę odrzuci... bezsprzecznie pożegnam ten dom i do smutnego decretum się zastosuję.

Witecki ramionami ruszył.

— Po co ta historya. Waćpan słyszałeś moją odpowiedź i kwita — odparł.

Zaalterowany strukczaszy mruknął potwierdzająco...

— Ojcem jestem — ciągnął Witecki. — Sam wiem, co mam robić. Do rady nie wzywam nikogo. Anulka pójdzie za tego, którego jej sam wybrałem. O tem masz waćpan wiedzieć...

— Ot... koniec końców i ja swoich praw będę bronić — wtrącił Kobiałkowski. Po nosie grać sobie

nie dam! Nie dam... Waszmość od panny Anny zdaleka bądź — bo inaczej rozprawisz się ze mną. Jako ten kubek wypijam — tak pewnym bądź, że ze mną nie żarty... Oho!

— Waszmość panie strukczaszy, tak prawisz, jakobyś moim rywalem był!...

Kobiałkowski łbem kiwnął i pięścią o stół uderzył.

— Chcesz wiedzieć... ano, to wiedz, żem ci rywal.... Sam byś się waszmość i bezemnie wkrótce dowiedział. Ot, co jest... Rywal, ino szczęśliwszy...

Zaczął się śmiać podstolic — a Rakuzki do Witeckiego podszedł...

— Panie Janie... co to za komedya?

Ten odął usta.

— Nie komedya, ino prawda — rzekł.

— Czyżby strukczaszy miał zamiar się ożenić?

— Nie tylko zamiar mam, ale się ożenię. Ot, co jest... Nie wolno mi, czy co? — podchwycił Kobiałkowski.

— Waszmość? — zawołał podstolic.

— Ja! Ja! — sapnął strukczaszy.

— Chybaby ,z pozwoleniem, oczu w głowie panna nie miała gdyby, z waszmością na kobiercu stanęła...

— Panie Janie... skończ no waść zwadę między nami, bo mnie ostatnia pasyja porywa — krzyknął perząc się Kobiałkowski.

— Mości panowie... dość tych przymówek... Jako ojciec oświadczam że Anulka, córka moja, od dnia dzisiejszego, jako narzeczone pana strukczasznego się liczy...

Zbladł Staszek.

— Na miłego Bogać niech waćpan dobrodziej tego nie powiada — rzekł.

— Panie Janie... Panie Janie — perswadował Rakuzki. — Do czego podobne...

Rozprawa stała się gorącą — wszyscy zapalali się coraz to bardziej. Jeno Klicki siedział popijając, z rzadka bąknął słówkiem jakiem ,ale tak, jak gdyby do siebie.

— Więc waszmość mi stanowczo odmawiasz?— zawołał w końcu czapkę mając w ręku Staszek.

— Odmawiam....

— I za starego dziada pannę Annę chcesz wydać?...

Porwał się Witecki.

— Mościpanie to gwałt...

— Za starego niedołęgę, któremu prędzej o trumnie, a nie o żonie myśleć? — prawił Staszek. — Słyszaneż to rzeczy.

— Miarkuj się panie młody, bo nie wstrzymam... Anusi ci nie dam i kwita.

— A ja powiadam, że Anulka będzią moją... zasię pan strukczaszy prędzej uszów się pozbędzie, zanim z nią do ołtarza odejdzie... Tak mi Boże dopomóż...

Pociągnął za sobą Rakuzkiego i wyleciał z komnaty.

Gospodarz i dwaj kompanowie jego ze zdumieniem po sobie patrzyli — Kobiałkowski trząsł się gniewny, mruczał aż mu ślina z gęby leciała z zajadłości.

Klicki go podburzał.

— Młokos, śmiałek nielada! Daj go katu. Zbeształ waszmościa haniebnie... Niech go nie znam...

— Nie daruję... Jak mi Bóg miły nie daruję — odgrażał się Kobiałkowski. — O furfant!...

— To napaść... to gwałt na publicznej drodze — wołał Witecki. — Nie powinieneś panie strukczaszy płazem tego puścić.

— Z pewnością! z pewnością! — dogadywał mostowniczy.

— I nie puszczę — srożył się strukczaszy. — Co on sobie myśli... ten!... ten!... Stary! Niedołęga! Dziad! Poczekaj paniczu... Nauczę ja ciebie w pliszki grać... Hm...

— Już bo to znać Trzcińscy wszyscy tacy... Zadziery... Szaławiły... Przybąknął się czort wie skąd i dawaj w konkury... Kto go tu zna? Kto? Jeden stary Rakuzki... a więcej? Nikt. Swoim stryjem świadczyć się nie będzie, bo by mu to na dobre nie wyszło...

— Pokażę ja mu dziada! — mruczał Kobiałkowski.

— A ja domyślam się z jakiej racyi do waszmościny córki uderzył — półgębkiem przemówił Klicki. — Jespan znać jak bizon goły... poczuł pierze i w nie się chce ustroić... W tem sęk!

— Niedoczekanie jego — pogroził Witecki. — Chybabym łba postradał... Jużci pewnie tak jest jak waszmość powiadasz, ale... niedoczekanie!

— Nuż awanturnik jaki... — szepnął Klicki.

— Co z tego? Nie przyjdzie wszakci teraz. Czoła by nie miał. A zechce się naprzykrzać... fora ze dwora!...

Strukczaszy potwierdził.

— Waszmość moje słowo masz. Anulkę ci daję z serca...

— Uściskali się przyszły teść z zięciem.

Zapito sprawę.

— Jabym uważał, żeby tego Trzcińskiego nie

lekceważyć, bo mu źle z oczów patrzy — wtrącił Klicki.

— Furda mospanie!

— Wcale nie furda. Gadajcie sobie co chcecie, a ja od swego nie odstąpię. Ludzi znam. Wypadki się przytrafiają różne... Kat go wie co za człowiek... Mnie się niespodobał...

— I mnie też — dodał Witecki.

— Strukczaszny niema co zwlekać... Do rzeczy się wziąć i skończyć historyę... Radzę jak myślę.

Przy kielichu znowu wszczęli naradę — przyczem projekty różne sypały się jak z rękawa. Zakonkludowano zaś że o ile można obrzęd ślubny należy przyspieszyć.

Kobiałkowski nazajutrz się miał z afektem pannie oświadczyć, następnie wnet dać na zapowiedzie.

Chodziło głównie tylko Witeckiemu o wyprawę dla córki; ale strukczaszny którego Klicki podbechtał—wolał wyprawę później otrzymać, a wprzódy do sakramentu przystąpić, na co się się Witecki zgodził.

XX.

Ani Staszek, ani Rakuzki podobnego zbiegu rzeczy się nie spodziewali. Do domu wracali smutni, nie patrząc na siebie. Młodzian wrzał cały, w głowie mu kotłowało, niby w młynie wodnym. Wszystkie nadzieje, całą przyszłość widział zwichniętą...

Czuł pan Mikołaj — jak wiele cierpieć musiało młode serce... potrafił tedy uszanować te boleść.

Na połowie drogi pożegnał podstolic Rakuzkiego — a na dopytywania, gdzie jedzie? — prawie że nie odparł. Zbył było czem.

Rakuzki puścić go nie chciał, w obawie, by z desperacyi głupstwa jakiego nie zrobił — ten atoli gwałtem mu się wyrwał.

Rychło dam znać o sobie — rzekł tylko. — Niech się jegomość nie turbuje...

Po drodze o Przybogowo dopytał i we wskazanym kierunku zmierzył.

Będąc wielce wzburzonym, nie patrzył przed siebie. Gnał konia galopem — pomimo, że szkapa aż się zapieniała.

Nagle koń stanął, zarżał i cofną łsię, udezywszy o łeb konia, na którym cwałował szlachcic jakiś.

Opamiętało to Staszka.

Tymczasem naprzeciw jadący burknął dość głośno.

— A toż co za kraj, w którym ślepi na koniach jeżdżą...

Chciał Staszek odpowiedzieć równie szorstko, wszelako się wstrzymał, bo mu głos szlachcica wydał się znajomym. W zamian tedy przymówki zapytał:

— Ktoś ty taki?

— Co tobie do tego — odparł szlachcic. — Jedź w swoją drogę i bacz żebyś komu łba nie rozbił, abo żeby tobie nie rozbito...

A Staszek zamiast się urazić, krzyknął radośnie.

— Nawrocki... co tu robisz?...

Jeździec konia wstrzymał.

— Trzciński... Toż trafunek...

— Zeszli na ziemię i serdecznie powitali.

— Jam u siostry był i do siebie wracam — prawił Nawrocki. — Wiedz bo, żem na forwarku osiadł, który mi ojciec dał na własność...

—A ja... ba! długa historya...

— Gdzież jedziesz?

— Chciałem do Przybogowa, ale skorom cię spotkał...

— Do Jacymirskiego? — przerwał Nawrócki.

— Tak. Znasz go?

— Jeszczeby. U siostrym go poznał. Człeczysko niezgorsze...

Trzcińskiemu jakaś myśl przyszła.

— Wiesz co? Jedź ze mną. Mam ci wiele do powiedzenia, a może mi i pomożesz...

— Czemu nie. Do domu mi nie spieszno... jedźmy...

— Ile był przygodą wyżej opisaną zgryziony podstolic — tyle go znowu uradowało niespodziane spotkanie przyjaciela i towarzysza z pod chorągwi pancernej. Otuchy jakiejś nabrał, poweselał...

Do Przybogowa z wiorsta się jeszcze pozostała drogi, którą przejechali młodzi towarzysze w mgnieniu prawie oka. Dopytywaniom końca i miary nie było. Staszek atoli nie opowiadał wszystkiego — czekał aż u Jacymirskiego staną.

Cześnik przyjął ich z rozwartemi rękoma... Zastali u niego i Ratułta, który skwitowawszy z zamiarów co do podkomorzyny Iłowieckiej, a nie mając kąta własnego — tu i ówdzie się włóczyć, najwięcej u Jacymirskiego przesiadując.

Starzy znajomi powitali się serdecznie.

— Skądże się cześnik tu wziął? — dopytywał Staszek. — Nie wierzyłem skorom się dowiedział.

— Rekolekcye odprawia — wtrącił Ratułt. — Po harbuzie odebranym z rączek podkomorzyny, skoczył z Warszawy i aż tu się oparł.

Obruszył się Jacymirski.

— Rotmistrz zawdy drwi, a trefne żarty stroi. Jam bo nie za harbuzem, inom naprzykrzył sobie stolicę i wyprosiłem u podkomorzyny dzierżawę,

którą mi puściła... Ale waść, panie Stanisławie? Jak grzyb wyrosłeś?...

— Niespodzianie — dokończył Staszek. — Mówi gadka: góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie zawdy z sobą spotkać się muszą...

— A jabym może zgadł z jakiej racyi mamy cię w tych stronach — pochwycił cześnik. — Jużcić ona Anulka Witecka to lep... przymanka... wabik...

— Nie wypieram się i wypierać nie myślę— szczerze, odparł Staszek. — Zresztą... w tym względziem przyjechał...

Obecnie zaciekawieni skupili się wkoło niego.

Zachęcony serdecznością Ratułta i Jacymirskiego, bo o Nawrockim wiedział, że mu duszą i ciałem oddany — począł wynurzać się z całą otwartością.

— Waszmość panowie wiecie, że mi się Andzia Witecka spodobała. Z wyprawy na Turczyna wróciwszy, zajechałem w te strony, powziąwszy za miar ją pojąć... Chudy pachoł jestem... zaledwie kilkaset czerwonych przy duszy mam... aleć przecież z tem można coś począć... Zanim jednak zdołałem się obejrzeć... tu dowiaduję się, że jakiś Kobiałkowski już ma ją przyrzeczoną...

O kupnie Zagroby milczał Staszek — a mówi zresztą prawdę. Uciułanego grosza miał jeszcze dc czterechset przeszło dukatów, za które chciał co obmyśleć.

Jacymirski skoro o Kobiałkowskim usłyszał śmiać się do rozpuku począł.

— Masz rywala nielada... Aleć to chyba nic podobna...

— I jabym nie uwierzył, skorobym na własn uczy od samego Witeckiego nie słyszał...

Tu rozpowiedział Staszek całą scenę, jakiej był uczestnikiem w Zagrodzie...

— Zwaryował dziad! — mruknął Jacymirski.— On... żenić się?... tfy! piątej chyba klepki mu nie dostaje...

— A jednak prawda — poparł Staszek.

Umilkli wszyscy — rotmistrz na wąsie coś motał...

—Sęka ci w głowę zabili — ozwał się Nawrocki. — Dyablo twardy orzech...

— Ja tego nie dopuszczę... nie dozwolę! — gorąco zawołał Staszek. — W oczy im to powiedziałem...

— A panna? — spytał Ratułt.

— Panna za mną .Tak jakby mi słowo dała.

— I to coś znaczy — bąknął Jacymirski. — Wszelako przypuszczasz sam, że sprawa zawiła.... Nuż stary uparty... przy swoim stanie i... mimo tego, że cię panna miłuje... za Kobiałkowskiego pójdzie.

— Niepodobna! — szepnął Staszek.

— Dla ciebie niepodobna, a małoż dziejów takie na świecie? Ojciec do córki prawo ma wszelakie.

Osowiał Staszek.

— Wiem o tem — rzekł. — Aliści... nie mogę bezczynnie siedzieć i patrzeć jak mi ktoś całą przyszłość rujnuje...

— Cóż poczniesz?

Ręce rozpostarł podstolic.

— Jak na razie... stanowczego nicem nie powziął. Po głowie mi rozmaite chodzą myśli, a jedna drugą zabija.

Umilkł — po chwili zaś zawołał:

— Wyzwę go na rękę...

Jacymirski w śmiech...

— Bój się Boga.. a gdzieżbyś ty sumienie miał? Na rękę? Odrazubyś go na kapustę posiekał. Dziadzisko ledwie nogami powłóczy... szabli w ręku nie utrzyma... Nic potem..

Rotmistrz potwierdził skinieniem głowy, zauważywszy:

— Bezbronnego rąbać nie zechcesz. Siły wasz mościne i tamtego nierówne... Toć nie Otocki.

Wspomnienie to zachmurzyło Staszka.

— Po cóż mi w drogę lezie dziad? — mruknął

— Waszmość doskonałyś jest... Alboż to on nie człowiek. Woli i serca niema? Tak samo jak i ty mógł się rozmiłować, więc chce dopiąć celu...

Poczęto żarty stroić ze Staszka, które ten niechętnie znosił — co spostrzegłszy gospodarz tak zagaił.

— Ano... dla was śmiech, panowie bracia, a komu innemu wspak... Nie godzi się z cudzego nieszczęścia naigrawać... Skorośmy się dobrali w kompanii i skoro pan podstolic tyle w nas ufności położył, że nam swój żal wyspowiadał, godzi się radą go wesprzeć...

— Aby ty nie radź, bo głupstwo powiesz — wtrącił Ratułt.

— Rotmistrzu... — upomniał się cześnik.

— Wiem z góry — ciągnął Ratułt. — Jeżeli chcesz podstolicu rady mojej posłuchać, dam ją. Zawierz, że chcę ci z serca dopomódz, bo ilem cię dawniej nie lubił, tyle przekonawszy się, coś wart, miłuję cię teraz...

Dziękował Staszek za sentyment.

— Owóż tedy... moje zdanie... jechać ci na leży samemu do ojca panny i raz jeszcze stanowczo z afektami się oświadczyć... gdy zaś to nie poskut

kuje... wszyscy razem jak jesteśmy... do strukczaszego.

— O! o... waryactwo — wzruszył ramionami Jacymirski.

— Słuchaj do końca. Możemy dobrac sąstadów... ręczę, że każdy się zgodzi... choćby Kozłowskiego z Elżbiecina, Tarkowskiego... Sominkiewicza... Michałowski nam też nie odmówi... a bodaj obudwóch Chrepczyńskich wziąc...

— Chryste Panie, a toż na co?... — zawołał cześnik.

Rotmistrz kończył nie zważając.

— Kobiałkowskiego najedziem i póty go będziem trzymać, aż się słowa zrzeknie.

— A gdy nie zechce? — ozwał się Nawrocki.

— Ao... zawdy w gromadzie sposób wynajdziemy... Posłuchaj mnie podstolicu, a przekonasz się, że racyę mam.

Mówił to rotmistrz z wszelką pewnością i mimo żywych z początku protestacyj, wszyscy uznali plan jego za odpowiedni.

— Strukczaszy słowo oddać musi — kończył Ratułt ożywiony. — Jużci trafimy mu pod żeberko.

Nawrocki — szaławiła jak mało, tak się do tego projectum zapalił, że gotów był chociażby dziś przystąpić do wykonania. O odjeździe ani myślał... kwaterę u Jacymirskiego zamówił, a Staszkowi przyrzekł, iż go nie opuści, ,aż po zrękowinach jego z Anulką.

Późno wrócił podstolic do państwa Mikołajów, wymówiwszy się sprzymierzeńcom swoim słuszną racyą, że musi zacnemu staruszkowi o sobie znać podać, boby nie wiedząc, co się z nim dzieje, gotów się zaniepokoić. Obiecał nazajutrz wrócić do Przybogowa z relacyą co od Witeckiego usłyszy, do któ-

rego rankiem miał wnet zajechać i, raz jeszcze szczęścia próbować.

Pan Mikołaj w istocie był zaniepokojony nieobecnością Staszka. Oświadczyny do tyla niefortunne zgryzły go — poczciwiec miejsca dla siebie znaleźć nie mógł.

— Oszalał! — mruczał, chodząc na wpół rozebrany po izbie. — Rekuzą częstować takiego konkurenta...

— Co i raz — to na ganek wychodził nadsłuchując, ażali nie nadjeżdża Staszek; wreszcie go się doczekał.

Wrócił Staszek nieco weselszy, patrzył raźniej nadspodziewanie pana Mikołaja, który na perswazye się przygotował. Opowiedziawszy co uplanowali w Przybgowie — pytająco na niego spojrzał.

Staruszek milczał krcąc palcami.

— Hm... mopanku... niepewna droga... ślizga... chybił trafił... albo — rzekł po chwili. — Jabym radził inaczej.

— Jakże mi pan dobrodziej radzisz?

— Poprostu... Witeckiemu oczów nie mydlić... powiedzieć jak rzeczy stoją z Zagrobą... Jedyna rzecz.

Podstolic stanowczo zaprzeczył.

— Tego nie uczynię, choćbym Anulkę miał stracić.

— Źle zrobisz mopanku... Uważaj, że się prędzej czy później ludzie dowiedzą... Cóż ci z tego przyjdzie? Sam będziesz nieszczęśliwy i dziewczynie świat zawiążesz... Czyż to sens w tem?

— Mam nadzieję, że się bez tego obejdzie. Zresztą... do jutra niedaleko.

— Niedaleko... Zawdy pewną drogą radziłbym

iść. Mopanku — żal by mi was obojga było, boście mi do serca przypadli... Bóg świadkiem.

— Obaczymy co Bóg da!

— Obaczymy! — westchnął pan Mikołaj.

Nie próbował już zmienić postanowienia młodzieńca; czekał jutra.

Podstolic mało co spał; nad rankiem jeno rzucił się na łoże, przykazawszy Pawełkowi, iżby go co rychlej zbudził.

W Zagrodzie Witeckiego nie zastał, powiedzano mu, że do klasztoru pojechał i dopiero na obiad miał wrócić. Odparł na to, że zaczeka i kazał słudze, panienki prosić, mówiąc, że pilną ma sprawę.

Niebawem wyszła i ona...

Przez krótki czas wielce się zmieniła, aż żal podstolica wziął, gdy ją obaczył. Posmutniała, pobladła — oczki zaczerwienione i spuchnięte dowodziły, że niedawno płakała... Szła niepewnie, zatrwożona — znać było, że hamowała głośny żal.

— Panno Anno... Anusiu... zawołał podstolic, rzucając się ku niej.

A dziewczyna w płacz. Rozpłakała się biedaczka tak rzewnie, że omal jej Staszek nie przywtórował.

— Panno Anno... Anulku — powtarzał, nie mogąc innych słów znaleźć.

Przez chwilę stali w objęciu, oddani żalowi, aż pierwsze wzruszenie minęło.

— Co się dzieje Anulku — mówił podstolic. — Nie wierzę sobie samemu... Ojciec za Kobiałkowskiego chce cię dać!?

— Wczoraj mi solennie zapowiedział — odparła. — Prosiłam... błagałam... padałam do nóg... wszystko napróżno!... Jużem chciała mu powiedzie coś dla nas zrobił panie Stanisławie...

— Tego proszę nie powiadać, panno Anno, chociażby w ostateczności — żywo przerwał podstolic. — Inaczej honor naszej rodziny byłby splugawiony... szlachcic dla ojczyzny i honoru winien poświęcić wszystko, bodaj życie...

— Ale ten Kobiałkowski... ten Kobiałkowski — westchnęła, łamiąc ręce.

— Stary niedołęga... bodajmy się udławił!... Ależ... nie jego wina! Panna Anna spojrzała nań — zasię wiadoma rzecz, że oczkom jej niepodobna się oprzeć. Na kogo spojrzy — oho! już po nim. Kobiałkowski nie drewno... serce ma... ino że dziadzisko haniebnie szpetny...

— Niech pan Stanisław mi o nim nie mówi, bo się doprawdy zamartwię. Jak sobie wspomnę... nie mogę się od płaczu wstrzymać... A ojciec musi!

— Dziś się jeszcze z nim rozmówię.

— Z góry wiem, że napróżno, bo ani słuchać o panu nie chce. Wczoraj, gdym mu nadmieniła, to w pasyę taką wpadł, że myślałem upadnie... Nieszczęśliwa moja godzina...

— Panno Anno... zaniechaj płaczu... w Bogu nadzieja... Toceśmy oboje nie grzesznicy, ani zbrodnie, by nas tak ciężko karał. Złe przeminie. Ion odważnie... na sercu nie upadać, a o Kobiałkowskim nie chcieć słuchać. Przemocą do ołtarza cię nie zaprowadzą... a zresztą przysięgi ksiądz pytał; wtedy na ostatek można powiedzieć, że go nie chcesz...

— Ojciec! ojciec! — szepnęło dziewczę.

— Trudno! Bez urazy powiem... że się po nim tego nie spodziewał przenigdy; zasię gdy te okoliczności wypadły, musimy sobie radzić inaczej.

— Krucha jest nadzieja!

— Ale zawsze jest...

Cieszył podstolic Anusię, dodawał otuchy, choć sam jej wiele nie miał. Serce mu się rwało w kęsy, przecież pozornie był wesoły, i pewny siebie.

Siedzących tak zszedł Witecki.

Porwali się z miejsc oboje. — Anulka nieco zatrwożona, z oczyma spuszczonemi twarzą pobladłą.

Witecki spostrzegłszy gościa, przystanął — zmierzył go wzrokiem, z którego można było wnosić, iż w zły humor wpadł.

— Waszmość jeszcze tu? — mruknął na przywitanie.

— Tu, panie skarbniku — odparł Staszek, tytułując tak Witeckiego z powodu, że pono ojciec jego skarbnikiem był. — I spodziewam się, że nie po raz ostatni.

— A ja... spodziewam się, że waćpana widzieć nie będę — szorstko rzekł stary.

— Przyjęcie takie nic mi dobrego nie wróży.

— Jak się waćpanu zdaje.

— Ojczusiu — szepnęła Andzia; lecz jej Witecki drzwi wskazał surowo — wyszła tedy.

Stali naprzeciw siebie gość i gospodarz obadwaj źle usposobieni. Pierwszy podtrzymywał impet przez wzgląd na misyę, z którą przyjechał, drugi wcale się o ceremonię gościom należną nie troszczył.

— Przyjechałem do pana skarbnika, pragnąc się rozmówić — szepnął Staszek.

— Jużeśmy się rozmówili dostatecznie wczoraj... próżna zatem fatyga waćpana...

— Wszelako...

— Ejże do kaduka — huknął Witecki — waćpan darmo sobie i mnie krew psujesz! Lepiej dajmy temu pokój... Wiem, z czem przyjeżdżasz i z góry uprzedzam, że nic z tego. Com powiedział wczoraj, powtórzę dziś.

Zasapał się.

Staszek na cierpliwość wziął.

— Panie skarbniku dobrodzieju, przedstawiasz się waszmość gorszym aniżeli jesteś...

— Kłamstwo mospanie... co mówię, to czuję... Na androny mnie waćpan nie złapiesz...

— Gorszym, powtarzam — ciągnął uparcie Staszek, boś ojcem jest, a nie tyranem i dziecka zabijać nie zechcesz...

— Waćpan zemnie zbója robisz! Proszę! — bąknął Witecki.

— Posłuchaj głosu rozsądku, panie skarbniku... Toć przecie każdy przyzna, że strukczaszy nie dla panny Anny ,ani też ona dla niego... Jakaż jej przyszłość? Zmarnieje... zasuszy się... zwiędnie.... zamartwi się... Strukczaszy z lat wyszedł... zniedołężniał... Kufisko jest winem nalane, więcej nic. Czas by mu o trumnie myśleć, nie zaś o żonie.... Panie skarbniku dobrodzieju... na imię miłości ojcowskiej zaklinam, zaniechaj zamiaru tego, bo córkę stracisz...

— Mecenasujesz za nią waćpan dzielnie... — ironicznie przygryzł Witecki. — Ino nie może mi się w głowie pomieścić: z jakiej że to racyi?

— Bo ją miłuję na równi z życiem... bom sobie zaprzysiągł oddawna, że moją będzie...

— Prawda, że oddawna — bo jakiem do dziedzictwa wrócił — wtrącił stary.

Spąsowiał Staszek — krew mu do głowy uderzyła.

— Panie skarbniku to fałsz...

— Co?

— Fałsz ,który łacno zbić mogę. Jeszcze przed wyprawą na Turka znaliśmy się gdy w Warszawie bawiła.

Tu rozpowiedział całą historyę zapoznania z Anusią. Słuchał Witecki wąsa kręcąc; zasie opowiadania do serca nie brał, mimo uszu je puszczając.

— Jeżeli to prawda coś waćpan rozpowiedział — rzekł w końcu — to żal mi bardzo, że tak gorący i stały sentyment pozostanie bez sukcesu. W zamian jeno dobrą radę mogę waćpanu dać, której — życzę — posłuchaj, bo inaczej możesz dla siebie zła napytać... A rada taka: zostaw nas w spokoju... do rozporządzeń cudzych się nie wtrącaj... i podobnej jak dotąd śmiałej samowoli zaniechaj... Rakuzkiemu powiedz zasię odemnie, że niepoczciwie postąpił gachów przyjmując w domu, w którym córkę moją chował. Niespodziewałem się tego. Córką rozporządzam sam... A uparty jestem... to wiedz!

— Panie skarbniku,... to wasze ostatnie słowo? — zapytał ponuro Staszek.

— Ostatnie.

— Anulkę Kobiałkowskiemu dasz?

— Pomimo opozycyi waćpana opiekuna...

— I pomimo jawnego oburzenia ludzi... Boć wszyscy skoro się dowiedzą, źle o waszmości będą trzymali....

Witecki mu drzwi wskazał.

— Odchodzę panie skarbniku, ale... przysięgam, że Anulka za Kobiałkowskiego nie pójdzie, pókim ja żyw...

Do drzwi szedł.

— Radzę się namyśleć, panie skarbniku — zatrzymawszy się dodał.

— Drzwi otwarte — oparł Witecki.

— Ano... obaczymy...

Wyleciał z dworku wzburzony — na konia siadł i popędził do Przybogowa.

Anulka przysłuchiwała się rozmowie tej za drzwiami. Gdy Staszek odjechał — nie mogła głośnego płaczu powstrzymać — co usłyszawszy ojciec, ofuknął ją ostro.

Waćpanna mi w domu theatrum nie rób... Bardzo proszę... Szlochy psu na budę się nie zdadzą... Słowo rzekłem i kwita... Ja tobą rozporządzam... Ja!... ojciec!...

XXI.

W Przybogowie czekali na Stacha z niecierpliwością. Kłopot jego wziąć do serca osobliwie Ratuła, który wszelkiego rodzaju awantur był wielkim lubownikiem. Ten plany rozmaite kreślił, jeden od drugiego szaleńszy, a w końcu dowodził, że gdy nic nie pomoże, całą okolicę poruszy, strukczaszego najedzie i pannę gwałtem porwie...

Jacymirski na to z politowaniem głową kiwał dogadując:

— Zawdyś waryat i szalona pałka...

— A ty zawdyś ślamazarny i do niczego — odpowiadał Ratułt. — Jużci przekonasz się, jakim ja waryat.

I ręce zacierał, nie mogąc w miejscu usiedzieć.

Gdy Staszek wrócił i relacyę zdał — nie zdziwiło go to bynajmniej. Uśmiechnął się tylko dodawszy:

— Tego można się było spodziewać. Ano... dalejże do roboty... Waszmość panowie... ręczę za sukces mego planu... Proszę, słuchajcie mnie we wszystkiem, a będzie dobrze...

Wziął podstolica na stronę i żywo jął mu coś gadać.

Ten słuchał uważnie, od czasu do czasu przeczące — aliści Ratułt potrafił go przekonać, bo podali sobie ręce w końcu, poczem rzekł w głos.

— Mościpanowie... skorośmy dali parol dopomódz podstolicowi, należy go dotrzymać. Za przyzwoleniem interesowanego, ja dowodzić od tej chwili zaczynam... Na koń... i w drogę... Jeno bez zwłoki...

Jacymirski dopytywał się co zamyśla — nic mu nie chciał powiedzieć.

— Co komu do tego. Wziąłem odpowiedzialność sukcesu na siebie... Na koń powiadam i tyle...

Niedługo wszyscy czterej wyjechali z Przybogowa.

Rotmistrz ich zawiódł do Elżbiecina, gdzie mieszkał niejaki Kozłowski. Tam stanęli — Staszka przedstawiono ,następnie Ratułt Kozłowskiemu rozpowiedział całą kwestyę, do pomocy wzywając, na co ten się zgodził chętnie.

Z Elżbiecina z Kozłowskim już ruszyli do Nagórek, skąd zabrali panów Włoda i Tomasza Chrepczyńskich, zaczem z kolei wstępowali do Tarkowskiego, Sominkiewicza, Michałowskiego, Grudki — na ostatku zaś do Wolmina, gdzie sędzic Batuchowicz siedział.

Zbieranina taka trwała tygodni bez mała dwa; wszędzie bowiem popaść musiano, sprawę rozpowiedzieć i każdego do udziału skłonić. Podczas niej Staszek przypadkiem z Sominkiewiczem się zmówił i nabył od niego folwarczek, za pieniądze, które mu się zostały.

Falwarczek był niewielki; nosił miano Bezlesie.

W Wolmirzu ostatecznie uradzono iżby więcej

szlachty nie zbierać, — dwunastu tak już było — i do Kobiałkowskiego in gremio jechać, gdzie mu każdy z osobna w głowę kłaść będzie, że głupstwa haniebne robi, a gdy mu nie zdołają wyperswadować... zagrozić mieli, iż ręki mu nie podadzą.

Wszyscy tego byli przekonania, że strukczaszny stchórzy i słowo sam zwróci. Człek był niestały... zmiennego zdania... ociężały, lubił nadzwyczaj spokój i wygody, bez czego obejść się umiał.

Tedy w sobotę, po dobrem śniadaniu, przy którem Batuchowicz wina nie żałował, wszyscy z ani muszem ruszyli do Tłuczek.

Jechali ochoczo pośpiewując; po drodze wstąpili jeszcze do karczmy jakiejś, gdzie na fantazyę Staszek kazał miodu postawić kilka garncy.

Bodaj do piekła poszliby teraz szlachcice; ze łbów im się kurzyło, hukali wesoło, a Kobiałkowskiemu requiem z góry nucili po niedoszłem matrimonium.

W Tłuczkach jak na złość gospodarza nie zastali.

Zaczęto rozpytywać, gdzie jest? — na co stary znać włodarz z podziwem odparł.

— Na ślub pojechał...

— Na jaki ślub? — zagabnął Chrepczyński Włodek.

— Owo na swój własny z panną Witecką z Zagrody.

Szlachta stanęła jak wryta.

— Kiedyż ten ślub? — pytał rotmistrz.

— Dziś ma być w klasztorze u OO. Reformatów — odparł sługa.

Staszek słuchał jak martwy... szlachta pomrukiwała, zbita z tropu. Jeden rotmistrz na minie nie stracił.

— Panowie bracia! — zawołał. — Skorośmy tak niefortunnie trafili... nie dawajmyż za wygraną... Do wieczora mamy daleko... Pan młody pewnie na przenosiny się przygotował... nie będzie się tedy gniewał, gdy pokosztujemy cukrowej wieczerzy... a potem... na ślub.

— Szlachta nie dała sobie dwa razy powtarzać — weszli do dworu, gdzie w istocie znaleźli wszelkie przygotowania.

Osobliwie wyborne było wino, którego całą baryłkę wysuszyli.

Po tej "przekąsce" trwającej godzinę z górą — rotmistrz zakomenderował: na konie!

— Jedziemy na ślub mościpanowie — rzekł — ale nie na Kobiałkowskiego... za co ręczę...

Z kopyta ruszyli.

Nie potrzeba powiadać, że usposobienie gromady było rozbujałe do wysokiego stopnia. Gdyby napotkali Kobiałkowskiego, z pewnością by go w razie oporu z jego strony na szablach roznieśli.

Rotmistrz już wniósł w Tłuczkach, podczas gdy wieczerzę przez strukczasznego na przenosiny przygotowaną zjadano — toast na zdrowie "pana podstolica Trzcińskiego i jego zacnej małżonki".

Przed klasztorem stanęli z wieczora. Księżyc nie świecił — czas był pochmurny, wietrzny... Do wnętrza wchodzić nie chcieli ,albowiem gwałtu w przybytku bożym każdy się strzegł.

Staszek dopytać się zdołał od jednego ze służby zakonników, że ślub odbędzie się dopiero za godzin dwie co najmniej, i że państwo młodzi jeszcze nie przyjechali.

Po krótkiej naradzie postanowiono zaczekać a co dalej należało czynić... zostawić czasowi.

Na dworze było zimno — szlachta zaś tego nie czuła, bo winem była rozgrzana tęgo.

Rotmistrz około Staszka stojący, pocieszał go i nadziei dodawał.

— Obaczysz! — mówił — Strukczaszy jeno ślepie wybałuszy, a z panny skwituje... Jeno mnie słuchaj...

Podstolic patrzył na niego szklannemi oczyma nie odpowiadając. Podobnym był do machiny, która za poruszeniem misternych sprężyn porusza się, ale myśli mu się mięszały... nie wiedział sam co się w koło dzieje.

Grudka wysunął się na zwiady — czy państwa młodych nie dopatrzy; szlachta tymczasem gwarzyła po cichu, żarty czyniąc trefne z Kobiałkowskiego, który — mówiąc nawiasem — poszanowania w okolicy nie miał, ile że był dziwak, a samolub wielki. Przy okazyi tedy chętnie każdy rękę przykładał, aby mu figla wypłatać.

Sominkiewicz cięta i dowcipna sztuka, do strukczasznego osobliwy assumpt miał z racyi, że ten mu woły kilkakroć zajmował... W oczekiwaniu przy klasztorze, naprędce śpiewkę takiego kształtu ułożył:

Pan strukczaszny grzeje łoże,
Małżeńskiej uciesze gwoli...
Ano... zmylił się nieboże,
Bo panna innego woli...

Szlachta śmiejąc się, podchwyciła chórem:
Bo panna innego woli...
A rozochocony poeta zaintonował znowu:
Wybrał się strukczaszny... do kobierca zmierza,
A będzie jeść musiał polewkę z talerza,...
Do kobierca zmierza... kręci się jak fryga...
A panna mu na to... strukczaszeńku: figa:

O mało nie pękali ze śmiechu szlachcice — tumult się podniósł... gdy nagle Grudka wrócił krzycząc:

— Jadą! Jadą!

Obstąpili go wszyscy dopytując.

— Daleko są? Kto z nimi?

Zanim jednak odpowiedzieć zdołał, już pierwsza kolasa przed klasztor zajechała — a w niej strukczaszy, Klicki i Chlebowski.

Rotmistrz, jakby go kto warem oblał, szarpnął za rękę Staszka.

Klicki i Chlebowski wyskoczyli z kolasy, — strukczaszemu niełacno to szło....

Nagle rotmistrz pchnął Staszka.

— Siadaj do kolasy... Ino prędzej...

Zwrócił się potem do Sominkiewicza.

— Siadaj na kozioł... co żywo... dalej... Lejce bierz i jedź do lasku za Obory...

Nie zdołał się trukczaszy opamiętać — gdy Staszek znalazł się przy nim, Sominkiewicz na koźle.

— Co to jest? — jął wołać — ale Soninkiewicz wyrwał lejce forysiowi i konie popędził.

Jak raz właśnie zajeżdżała druga kolasa, w której panna młoda siedziała...

Rotmistrz już nie mówiąc nic — na kozieł sam wskoczył i nie zważając na krzyki kobiet ruszył z kopyta.

— Mości panowie... zamną! — krzyknął do swoich.

Szlachta ruszyła z miejsca.

Wszystko to stało się tak niespodziewanie, że Chlebowski i Klicki nie zdołali się opamiętać. Dopiero gdy nadjechał Witecki z gośćmi weselnymi, opowiedzieli mu wszystko...

Tumult się wszczął nie do opisania... gwałt... z klasztoru powybiegali zakonnicy, dopytując o przyczynę awantury. Ten i ów o rozbójnikach bąkał — jeden Witecki zrozumiał, że to nikt inszy, jeno rekuzowany konkurent był sprawcą tej chryi.

— On! On! — zawołał w głos. — Panowie bracia... mieliście być świadkami obrzędu ślubnego mej jedynaczki, a tymczasem jesteście świadkami sromotnej podłości, którą mi wypłatał niejaki młodzik Trzciński... Jeżeli przecież istnieje starodawna jedność szlachecka... wzywam was w imię onej, byście niedopuścili, iżbym ja... człek siwego włosa, miał być szpetnie poniewierany... Tedy na rany Chrystusowe zaklinam was... w pogoń za łotrami...

Zanim się weselnicy rozejrzeli — zanim Witecki rozpowiedział z jakiej racyi Trzcińskiego obwinia i kto on zacz jest, przeszło sporo czasu. Opieszałość może z tej racyi wypływała, że prawie wszyscy goście weselni nie byli już młodzi.

Witecki pilił — zaklinał, prosił... przemawiał jak mógł najgoręcej... wreszcie cała kompania za zbiegami w ślad ruszyła.

Zachodziła przecież trudność niemała w pogoni, gdyż nieopodal klasztoru stał lasek spory, a przed nim droga rozchodziła się na trzy koleje, — czwarta zaś biegła lasem. Dojechawszy więc tego miejsca musieli przystanąć radzi nieradzi.

— Czort ich wie, gdzie pojechali... — mruczał Klicki. — Ciemno... wietrzno... Takie mi wesele... daj go katu.

Ojciec panny młodej włosy z głowy darł, ręce łamał, wrzeszcząc z pasyą straszliwą.

Stali tak niepewni, gdzie się mają udać... zda-

nia były podzielone. Jeden tylko Chlebowski napewno twierdził, że drogą przez las skierować należało.

Klicki po cichu klął.

— Ano... nic nie zrobimy stojąc — ozwie się Przybyszewski. — Mamy gonić zbiegów — to i gońmy. Koście jeno marzną i skóra cierpnie...

— Mądryś waćpan! — niechętnie przerwał Klicki. — Jakże mamy gonić, kiedy nie wiemy w której są stronie...

— To się rozdzielmy. Jest nas bodaj dwa dziesiątki, po sześciu w każdą stronę inech jedzie...

— Po sześciu w każdą stronę! — zawołał Witecki. — Co żywo... Panowie a bracia miłościwi, nie dopuszczajcież krzywdy siwym włosom...

Wołał z prawdziwą rozpaczą.

Podczas gdy się rozdzielano na trzy partye, z lasu turkot dał się słyszeć, a po chwili zauważono, iż ku nim się zbliżał.

— A nuż wracają? — sezpnął Klicki.

Wstrzymali się oczekując.

Po niedługiej chwili z lasu wyjechała kolasa ta sama, w której panna młoda z druchnami siedziała. Na razie odetchnął Witecki — sądząc, że znachodzi się zguba, trwało to przecież niedługo.

W kolasie znaleźli druchny wszystkie... okrom panny młodej.

— A Anusia? Anusia? — dopytywał Witecki.

Kobiety tak były przestraszone, że mówić zaledwie mogły... Wszystkie razem poczęły objaśniać dopytujących, ale urywanie, wykrzyknikowo, z czego nic nikt nie zrozumiał.

— Anusia? Strukczaszy? Gdzie oni są? Gdzie? — powtarzał Witecki.

Foryś dopiero opowiedział całą historyę. Mówił, że przed samym kościołem szlachcic jakiś niespodzianie na kozieł wskoczył... lejce mu z rąk wyrwał i konie popędził galopem. Zatrzymał je aż w lesie, gdzie kolasa strukczaszego stała, otoczona ogromną mocą (przesadzał biedak, boć strach ma wielkie oczy), jakichciś ludzi... Ci wnet otoczyli pojazd... pannę młodą z niego porwali... ów szlachcic z kozła zeskoczył i kazał mu jechać napowrót.

— A oni? — przerwał Witecki.

— Nie wiem, proszę pana... Śmieli się wesoło wszyscy i krzyczeli "wiwat"... Zresztą nic nie wiem, bom zawrócił czemprędzej...

—Trzciński! — wrzasnął niedoszły teść strukczanego. — Jak mi Bóg miły, Trzciński...

— Jużci, najwyraźniej on... — mruknął Klicki.

— A łotr... infamis... napastnik... Słyszanoż to, aby w rzeczypospolitej podobne rzeczy się działy?!...

Radzi nieradzi, musieli wracać do klasztoru, bo kobiety z silnego wrażenia pomdlały... trza je było trzeźwić... a wnet potem znowu w pogoń udać się mieli...

XXII.

Wszystko to ,cośmy w poprzednim ustępie opisali, stało się piorunem. Nikt sobie nie zdawał sprawy z tego co czyni, ile że położenie było rozpaczliwe... ostateczność niejaka zaćmiła zdrowy rozsądek, a nadto cała kompania rozgrzana była całodzienną pijatyką.

Kobiałkowski tak się przestraszył... że słowa wyrzec nie śmiał. Z początku oponował, krzyczał, wydzierał się, wreszcie zamknął usta, bo mu Sominkiewicz z kozła kneblem pogroził, a Staszek pogróżkę poparł, ręką zatykając.

Co się tycze Anusi... nie rozumiała z początku nic, dopóki Staszka nie spostrzegła. Gdy pojazd stanął i podstolic przypadł do niej, uspokoiła się, — przemówiwszy jednak:

— Panie Stanisławie... co się to znaczy?

— To się znaczy, mościwa panno — odparł rotmistrz — że my wszyscy, jako tu stojemy, mamy ci się honor sprezentować, jako jej słudzy i obrońcy. Nie mogliśmy dopuścić, aby się taki crimen stał iżby młodziutka panienka wbrew woli i przekonaniu, przy starym dziadzisku marnieć miała...

— Ale ojciec... — szeptało dziewczę.

— Z ojcem uładzimy; zresztą niech pani będzie zupełnie spokojną...

Poczem, jak już wiemy, wysadzono Anusię z pojazdu, kobiety odprawiono napowrót.

Rotmistrz strukczaszego na kozioł drugiego pojazdu przesadził, wewnątrz zaś wskazał miejsce Staszkowi i Anusi.

— Jakiem prawem — warczał Kobiałkowski. — To napaść... gwałt...

— Asindziej nie rezonuj — ostro zawołał Ratułt. — Na kozieł i kwita... Ani słowa... Subordynacya mospanie!...

Widział strukczaszy, że nie poradzi nic, był sam jeden przeciwko dwunastu... Klnąc w duszy na kozieł się w gramolił, zdając na łaskę i niełaskę.

Ino spytał pokornie.

— Co waszmość panowie zamyślacie? Z jakiej racyi te gwałty?

— Tyś gwałt popełnił, strukczaszeńku, kusząc się o takie jabłuszko rajskie... — odparł Sominkiewicz.

— A co zamyślamy?... obaczysz — dodał Ratułt...

Złożono krótką naradę, na której zawyrokowano, aby do pierwszego napotkanego dworu wstąpić, spocząć do rana, a nazajutrz jechać do Przybogowa, gdzie proboszcz tamtejszy ślub dać miał młodej parze.

— Nie tęgą będziemy mieli gościnę — zauważył Sominkiewicz. — Tuż za lasem Obory Trzcińskiego, gdzie gospodarz... panie odpuść... chociaż krewny naszego towarzysza, aliści sknera aż strach.

— Przyjąć nas musi... Marznąć przecież na dworze nie będziem — zaprzeczył rotmistrz.

Jako rzekł Sominkiewicz, Obory tuż za lasem leżały; stanęli nasi szlachcice przed zapartemi wrotami i dobijać się zaczęli gwałtownie.

Prócz psów nikt nim nie odpowiadał.

Musiał Batuchowicz przez płot wysoki przeleźć i stróża nocnego na dziedzińcu zwoływać, który atoli wystraszony tą nagłą wizytą, z miejsca się nie ruszał, cofał; ani otworzyć bramy, ani kluczy dać nie chciał.

Za kark go chwycił Batuchowicz i klucze wyrwał, poczem cała kalwakata ta w dziedziniec się wtoczyła.

— Bramę zamknąć... — komenderował rotmistrz — kto wie czy nas nie gonią. Ostrożność nie zawadzi.

Tumult rozbudził gospodarza domu, wyleciał z latarnią w jednej, a pistoletem w drugiej ręce.

— Kto? Co? Jak? — wołał. — Rabusie... Łotry... Złodzieje...

— Cicho... sza... sąsiadku — rzecze Chrzepczyński stary. — W gościnęśmy zajechali... Nie złodzieje ino uczciwi ludzie... swoi.

— Uczciwi po nocy... — nie przestawał krzyczeć pan Bartłomiej. — Czego tutaj chcecie? Pocoście przyjechali? Na co? U mnie nie ma nic... Nie mam nikogo.

— Ale mój mosanie, próżno gardła nie psuj — ozwie się rotmistrz. — Przyjechał tu nie obcy, a twój rodzony siostrzan z narzeczoną i o gościnę do rana prosi. Wszakże tego waćpan nie odmówisz...

— Jaki siostrzan? Skąd?... Znać go nie chcę, ani na oczy widzieć... Cóż to? Zajezdny dom u mnie? austerya? Z Panem Bogiem jedźcie pókim dobry...

Rotmistrz nasrożył się, stanął tuż przed Bartoszem i patrząc mu w oczy, tak rzekł:

— Słuchaj waćpan... Wiemy o tem, żeś skąpy niemiłosiernie, aliści dziś rad nierad musisz nas przyjąć. Radzę, nie przecz, bo pogorszysz sprawę. Jutro cię odjedziem w spokoju, za co ręczę.

Przerwał mu sknera.

— To gwałt... violentia — wrzeszczał.

Widząc rotmistrz, że się z nim nie rozmówi uczciwie, machnął ręką, skinął na swoich, zaczem pierwszy pomimo protestacyi gospodarza wszedł.

Pan Bartosz włosy sobie pozostałe na głowie rwał, ręce łamał, pięście zaciskał, wrzeszczał, ludzi zwoływał... słowem tartasu wielkiego narobił.

Nikt przecież na to nie zważał.

Szlachta się z niego śmiała i drwinkowała, dogadując, iż siostrzan umyślnie po błogosławieństwo z narzeczoną do niego się wybrał.

Widząc, że tym sposobem nie poradzi nic, Bartosz przycichł i za gośćmi do zameczku się wsunął.

— Tu — w obszernej izbie, która snać swego czasu za jadalnię służyła, zebrali się przybyli. Rotmistrz widząc, że na przyjęcie gospodarza nic liczyć nie może, sam sobie postanowił radzić...

W jednej chwili przyniesiono stół z czeladniej i ławy stamtąd, — światło się znalazło. Ratułt zaspanego Skubę o spiżarnię dopytywał.

Tymczasem Bartosz, patrzący na to wszystko z kąta, Staszka spostrzegł i do niego przypadł.

— Toś ty?! Toś ty! Niecnoto jeden... Zdrajco... Łotrze....

Pięście obie mu pod nos podsunął.

— Stryju dobrodzieju — jął się sumitować Staszek.

— Ani mi się waż stryjem mnie tytułować smyku ty... — przerwał mu Bartosz. — Z racyi pokrewieństwa kołki mi ciosać chcesz? Obierać? Okradać... Ani mi się waż...

— Mój stryju — stanowczo lecz groźnie ozwał się podstolic. — Dziwna przygota zdarzyła, żeśmy tu zawitali, ręczę że nie z mojej winy.

—Trudno mi teraz wszystko stryjowi opowiedzieć... ile że wzburzony jest niesłusznie i narzeczoną mam, przy której moje miejsce...

— Z czyjej? z czyjej?

Tu do pana Bartosza przystąpił Skuba — oznajmując, że goście do śpiżarni się dobrali już, a i do piwnicy szturmują wchód odnalazłszy, co usłyszawszy Bartosz z krzykiem wybiegł...

Podstolic do Anusi wrócił.

Rotmistrz gospodarował jak we własnym domu, kluczy do śpiżarni dopytał, aliści nic tam nie znalazł prócz stęchłego chleba, połcia słoniny i krup

jęczmiennych, tedy poszedł do piwnic, sądząc, że tam może co napatrzy, gwoli pokrzepienia sił i animuszu.

Siedziała dzieweczka przy zaimprowizowanym stole jak nieswoja, z podziwieniem patrząc na to, co się działo dokoła. Pierwszy raz była w podobnem otoczeniu... no, i w podobnym wypadku. Nic tedy dziwnego, że ją to wszystko oszołomiło.

Gwar panował pomiędzy zgromadzonymi nie do opisania. Jeno Anulka, Staszek i Kobiałkowski nie podzielali ochoty kompanii. Ten ostatni w kąt się wcisnął, nasępił, ale milczał... Znać było, że cały wrzał, po purpurą nabiegłej twarzy i drgających wargach. Od czasu do czasu ten lub ów ze szlachty dociął mu złośliwym żartem, na co nie odpowiadał, jeno kąsając usta.

— Panie podstolicu... co też z tego będzie? — zapytała Anulka Staszka, gdy ten do niej się zbliżył.

— Sam nie wiem — odparł zapytany. — Tuszę jednak, że nic złego...

— Ojciec... ojciec... Zmartwi się biedny, zgryzie... gotów zachorzeć.

— Panno Anno, stało się — rzekł z rezygnacyą. — Dalipan nie myślałem o czemś podobnem, anim nawet przypuszczał. Wola znać Boża jest.

— Lepiejby pono be ztych awantur — szepnęła Anusia.

— Ostateczność nas popchnęła... Gdyby nie to... już byś Anusia zaprzysięgła dozgonną wiarę temu oto dziadowi. A to byłożby lepiej?

Nic nie odparła.

W trakcie powyższej rozmowy, rotmistrz z piwnicy powrócił zły, bo wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi. Przytem gospodarz chodził za

nim wciąż, dogadywał... mruczał... klął... sądami groził, co mu także nie była wielce miłem.

— Ano... mości panowie... konkluduję, że nie mamy tu co robić — ozwał się w głos. — Człek z głodu może zamrzeć, dzięki gościnności tutejszego gospodarza... Dalejże w drogę...

— Gdzie? — zagabnął Staszek.

— Chociażby do Jacymirskiego... Jużcić i tego znam... nie wyrzuci nas z domu, a przyjmie jak na szlachcica przystało...

— A wszak u strukczaszego stoły gotowe — wtrącił Sominkiewicz.

— Prawda! Racya twoja panie bracie... Gapeusz ze mnie formaliter, co wszem wobec przyznaję... Strukczaszy wszak nam też gościnności nie odmówi...

— Do strukczaszego... Do strukczaszego! — huknęła szlachta wstając z rumorem.

Nie namyślając się długo, w kilka minut wszyscy byli na koniach.

Staszek z Anusią jechał w kolasie, do której wsiadł Nawrocki i cześnik.

Kobiałkowskiego zostawiono w Oborach.

— Lepiej że zostanie... oszczędzi sobie przykrego widoku — tłómaczył rotmistrz.

Na protestacyę niedoszłego pana młodego nikt nie zważał. Pożegnano go drwinkami, jakoby szczere współczucie okazując.

Został tedy strukczaszy sam z panem Bartoszem.

Milczeli obaj — Kobiałkowski siedział, dysząc ciężko, w ziemię patrzył... pięście zaciskał — pan Bartosz latał po izbach, nie mogąc ochłonąć z wielkiego gniewu, jakim go dziwny przypadek dotknął.

Skubie się porządnie dostało, Bóg wie za co;

wytuzował go sknera porządnie, całą niedyspozycyę na niego zwalając.

Nagle stanął przed Kobiałkowskim.

— A waszmość tu co? Hę?

— Jakto co?! — powtórzył strukczaszy. — Sameś waść widział...

— Radzęć w swoją drogę jechać... Tu niemasz co robić. Za kompanami! Za kompanami!

— Dajże mi waćpan święty pokój z tą przeklętą kompanią... Niech odtchnę...

Bartosz coś mruknął.

— Chociaż przez litość kąta mi pozwól i posilić się czem daj — ozwał się strukczaszy. — Ci... rozbójnicy... bodaj ich zabiło... ledwie mnie o śmierć nie przyprawili... Pięknego masz krewniaka... niema co mówić!

— Krewniaka! krewniaka! Jaki on krewniak... Szołdra jest... szaławiła... nicpoń... Na sucho mu to nie ujdzie...

— Że nie ujdzie — ręczę — potwierdził strukczaszy. — Z piekła go wydobędę a odwet dam! Jakem szlachcic...

Tu Kobiałkowski grzmotnął w stół.

— Waćpan jak widzę niebardzo go estymujesz? — zagabnął Bartosz.

— Ja?

— Cóż ci takiego zrobił? Hę?

W oczy mu spojrzał Kobiałkowski.

— Kpisz waszmość, czy o drogę pytasz?

— Z jakiej racyi miałbym kpić?

— Słyszałeś przecie co się tutaj działo...

— A kat by was zrozumiał — machnął ręką Bartosz. — Nic poczciwego to wiem, ale co?...

Kobiałkowski rad, że ma kogo, przed kim wyżalić się może, jął rozpowiadać swoją przygodę.

Mówił powoli, tchu zaczerpując — co chwila odgrażając się podstolicowi, na którym suchej nitki nie zostawił. Nazwał go furfantem, burdą... gwałtownikiem, któremu jeno stryczek założyć i na najwyższem drzewie powiesić.

Sknera zaczął się śmiać.

— I porwał waćpanu żonkę z przed nosa? Hę? Wyborne... Ha... ha... Z przed nosa porwał...

— Waćpana to śmieszy? — oburzony zawołał Kobiałkowski.

— Jużci nie smuci... Z przed nosa porwał... ha! ha!... Przyznaj waćpan, że to zabawne... Łotr jest... niepoń — to przyznaję... ale zuch.

— Waćpan jako niedojrzałego rozumu człek, powinieneś inaczej tę rzecz ocenić...

— A mnie co do tego? — przerwał Bartosz. — Może chcecie mię do tej awantury wmieszać? Mnie co do tego? Jam człek spokojny... o niczem nie wiem... Niech robi do chce...

Ramiona skulił.

— Zawdy stryjem jesteś...

— On swój rozum ma... Co mnie do niego? Stryj! stryj! Palcem nie dotknę tej sprawy... Jego to rzecz i waćpana który też rozum swój masz...

Przeszedł się po izbie.

— Ano... waćpan tu wszakże nie masz co zostawać... Późno jest — jam chory... potrzebuję wypoczynku... Przyjąć cię nie mam czem, ani gdzie przenocować...

Ku drzwiom spojrzał.

— Na litość bożą, dasz mi waćpan kąta i posiłek — jęknął strukczaszy miłosiernie.

— Skąd? Ubogi jestem... ubożychny... Ostatni cham lepiej się odemnie ma... Do klasztoru

radzę waszmości... niedaleko stąd... Wszystkiego milka mała... Reformaci ludzie uczciwi...

— Chociaż koni mi pożycz bo piechotą nie dojdę...

— Koni! Takżeś waćpan trafił. Mam wszystkiego parę, a i te chore. Do roboty nie mam co brać, aż od ludzi zajmować muszę... Skąd ja waszmości konia bym wziął...

— Ano... jeszczem podobnego sknery nie widział, — rzekł wstając Kobiałkowski. — Brudny człek jesteś, jakiego chyba nie bywało...

— Co ty mi będziesz głupstwa plótł?! — zaperzył się Bartosz.

— Mówię ci prawdę, mosanie... Bierz cię sęk z twoją gościnnością i końmi... Pluję na ciebie, boś kutwa...

— A tyś stare waryacisko, któremu dobrze, że nie pozwolono owaryować więcej... Patrzcie go... kutwa... Niechaj kutwa... Uczciwie ci zrobili, pannę z przed nosa sprzątając... Dziad stary... kutwa!... Panny mu się zachciało... Masz za swoje...

— Ejże... cicho mi bądź skąpcze haniebny, bo cię płazami poczęstuję — rzekł Kobiałkowski, który już przy drzwiach był.

— Ejże... wynoś mi się panie młody, bo ludzi zawołam i wyrzucić cię każę... Grochowinami mi nie śmieć...

Zgrzytnął jeno zębami strukczaszy i wyszedł, czapkę ze złością nacisnąwszy.

Bartosz za nim na przedsienie wymyślając, co mu ślina na język przyniosła.

Wróciwszy do swej izbiny siadł, ręce na piersiach złożył i w portret kobiety na ścianie wiszący się wpatrzył. W miarę tego twarz sknery inszy niż

zazwyczaj przybierała wyraz... Łagodniała... z pod marszczek i wyschłej skóry powoli jął się dobywać odcień jakiegoś nieokreślonego uczucia.

Inny się stał człowiek z pana Bartosza...

Wreszcie w oczach poczerwieniałych coś błysło... a po chwili dwie łzy spadły na pargaminowej barwy policzki.

Sknera poczuwszy je zerwał się z fotelu... otarł je szybko... mruknął coś... rękoma począł machać biegając po izbie...

— Głupi... głupi... — powtarzał. — Po co mi to? Dlaczego? Zapomniałem już... wszystko przeszło, minęło... Po co mi wspominać... Głupi...

Słowa mu z ust się wyrywały gorączkowo... znać odpędzał jakieś myśli; chciał je stłumić, rozwiać...

— Minęło — dodał uspokoiwszy się. — Czasy dawne... Inszy człek był... a dziś...

Roześmiał się — westchnął.

— Sknera... kutwa... skąpiec — mruknął. — Ha! ha! Głupi...

Osunął się w fotelu i drzemać począł.

XXIII.

Staszek, Anulka i cała gromada szlachty z Obór wyruszywszy, nie pojechali do Kobiałkowskiego, ale wprost do Przybogowa. Racyja do tego była — ile że sam podstolic pierwszy zauważył: że złośliwość języków ludzkich niepohamowaną jest... mogliby niepoczciwie obmówić Anulkę i złą sławę jej przypisać... Dla uniknięcia więc wszystkiego, wyłuszczywszy całą historyję rotmistrza — prosił go: iż gdy już rzeczy do tego punctum doszły...

skończyć z honorem, bez zwłoki ślub wziąć, aby tym sposobem zapobiedz wyrodzić się mogącym plotkom.

Jak rotmistrz, tak wszyscy przyznali uwagę tę za słuszną. Poczciwy Jacymirski ofiarował się chętnie, z gościną sam. W Przybogowie stanąwszy, z podróży nieco się otrząsnęli i wnet na plebaniję o niecałą wiorstę odległą skierowali. Godzina była po północy druga — wszystko na plebanii spało...

Na probostwie w Przybogowię siedział ksiądz Kajetan Rymsza, staruszek poczciwości wielkiej, niezmiernie lubiany i szanowany w całej okolicy. Wesoły, jowialny, każdego z uśmiechem witał, szczerze, serdecznie, wedle słów Chrystusowych, każdego za brata uważając. To też bogaty czy biedny, chłopek czy szlachcic, jak w dym do niego się udawali w potrzebie wszelakiej. Ks. Rymsza dla stroskanego pociechę miał, dla kłopotliwego radę i pomoc... zgoła... pasterz był wzorowy.

Fanatykiem nie był. Sam powiadał, że wadą jest fanatyzm i ściśle go się wystrzegał. W kościele... na stanowisku — człek był święty, po za tem — światowiec, kompanista, jakich mało.

Kielichem się nie brzydził, a przy okazyi i sutannę umiał podkasać a w tan iść.

Gdy mu pan Żaboklicki z Wykny dogryzł pewnego razu — powiadając, że kapłanowi zabawy świeckie nie przystoją — odparł:

— Mój mosanie... za głupca uważam tego, kto w pacierzach od rana do nocy się grzebie. Bóg dał ludziom śmiech na zdrowie... byle go w miarę używać. Uczciwa zabawa nikomu wstydu nie przynosi, i sukni kapłańskiej nie hańbi... Takie moje zdanie, a kto inaczej trzyma — niechaj dowiedzie, że prawda po jego stronie.

Znając proboszcza — wiedzieli szlachcice, że im przysługi nie odmówi. I nie zawiedli się w przypuszczeniach.

Rozbudzony poczciwina zdziwił się tym najazdem... odrazu dorozumiał się awantury.

— Co się stało? Konfederacyę waszmość jakową zawiązujecie? — pytał. — Turek bodaj wtargnął, albo inszy poganin?

Rotmistrz z oracyą wystąpił, objaśniając całą sprawę.

— Awantury, mój mosanie, awantury... Tfu... na psa urok... pan skarbnik owaryował, a strukczaszemu piątej klepki brak... Taki oto kwiatek miałby spróchniałemu przy dziadzisku marnieć? Oponuję! Oponuję!

— Ale — dodał — czyby nie można było inaczej poradzić?

— Jakżeby jegomość myślał? — zagabnął Nawrocki.

— Skarbnika do kompromisu skłonić... Raźniej by się odbyło. Wprawdzie aśćka pełnoletnią jesteś, ano... błogosławieństwo rodzicielskie zawdy się zda.

Tu rotmistrz opozycyę założył.

— Minemam — rzekł — iż Witecki później udobrucha się bądź co bądź... zasie dziś owe rzeczy wzięły obrót taki, że niepodobna przez wzglad na sławę panny skarbnikówny, inaczej począć...

Szeroko wyłuszczył racyę podstolica, którą za sprawiedliwą ks. Rymsza przyznał.

— Zaraz... zaraz... jeno kościelnego zbudzą — zakończył. — Kanony po waszej stronie...

W godzinę potem, Anulka i Staszek odchodzili od ołtarza, związani dozgonnym węzłem.

Jacymirski wszystkich na ucztę weselną zaprosił — ofiarując nowożeńcom swój dom, dopóki podstolic w Bezlesiu się nie urządzi.

Można powiedzieć, że humory wszystkich były jak najlepsze, tembardziej, że cześnik piwnicę na ścieżaj otworzył.

Oracye sypały się jak z rogu obfitości, jedna za drugą... wiwatów wypito co niemiara... wymyślając Bóg wienie jakie.

Była może godzina ósma rano, gdy kozaczek pana Sominkiewicza oznajmił weselnikom, że od grobli kalwakata jakaś wprost do Przybogowa zmierza... Dodał przytem... jako najwyraźniej pomiędzy innymi poznał pana Witeckiego.

Zerwali się wszyscy od stołów.

— Co? Gdzie? Jak? Wielu?! — rozległy się pytania.

— Liczyć nie liczyłem... na oko z piętnastu wypadnie, a może i więcej — odparł kozaczek.

— Przewąchali snać i śladem za nami — mruknął Sominkiewicz.

— Jak raz potrzebni...

— Czegóż oni chcą tutaj?

— Ano, panowie bracia... fakt jasny jak słońce... Toż to zajazd najoczywistszy. Żądać będą tego, czego im zrobić na żaden żywy sposób nie możemy — huknął rotmistrz. — Niema co... trza się bronić do ostatka.

— Rotmistrz, kochanie... czyś się aby nie przeracñował z impetu? — powstrzymywał Jacymirski. — Może warto rzeczy wyklarować... Kto wie z jakiemi jadą zamiarami...

— Ot! zachciałeś! Jakieżby zamiary mieli inne, jak pannę Annę... to jest panią podstolinę dobrodziejkę z sobą zabrać. Rzecz jasna jak słońce.

Spór się wszczął — jak kwestyę tę traktować... przyczem zdania były rozdzielone...

Aliści wyjaśniła się ona sama — bo do komnaty wszedł Klicki, znany już nam przyjaciel, a poplecznik strukczaszego i skarbnika. Stanąwszy pośrodku wąsy rozgarnął dłońmi, odchrząknął i pierwszy się ozwał.

— Czołem, mościpanowie...

— Czołem waszmości — odparł Jacymirski. — Czemu przypisać mam to święto oglądania figury waszej na mej chudobie?

— Hm... prezentować się potrzeby nie widzę, bośmy niejako wszyscy znajomi, a przypadek, który mnie tu sprowadził, nie omylę się, gdy powiem, że waszmość panom dobrze wiadomy...

Szlachta spojrzała po sobie.

Jecymirski do kielicha zaprosił przybyłego, na co ten skinieniem głowy odparł... Siadł, przepito kolejkę, poczem sprawę tak zagaił.

— Owóż... macie mościpanowie wiedzieć, żem posłem dzisiaj z ręki przyjaciela mego Im. Witeckiego Jana, któremuście z dziwnej okazyi niesłychany gwałt wyrządzili... a dlaczego on satysfakcyi się domaga...

Sominkiewicz zasie:

— Mospanie Klicki... znam cię jako człeka rozsądnego i dobrego sąsiada i dziwi mię dlatego mocno, że tentujesz sprawę o której słuszności szeroko król Dawid pisał. Rozsądź bo wedle rozumu... Stać się miało głupstwo wielkie, nikt przecież inaczej ma ryjażu młodej panienki ze starcem by nie nazwał). Owóż sądzę, że pan Witecki jeno wdzięcznym nam powinien być za to, żeśmy dziecko jego od nieszczęścia uratowali — i w zamian roszczenia pretensyi grzecznie podziękować...

Namarszczył się Klicki, nasrożył — wstał i hu knie:

— Przyszedłem tu nie na żarty, o czem proszę waćpanowie pamiętajcie...

— Ba! i my z siebie żartować nie pozwolimy, a w razie potrzeby nauczyć potrafimy żartownisia...

— Jako posłowi należy mi się attencya — za uważył Klicki. — O tem wszyscy na świecie wiedzą...

— My też waszmości w niczem nie uchybiamy — odparł Nawrocki.

— Koniec końców czego wasze chcesz? — przerwał rotmistrz. — Wyłuszcz swoją racyę i kwita.

— W imieniu pana Witeckiego żądam, abyście waszmość panowie porwaną dziwnym gwałtem córę mu zwrócili i tłómaczyli się przed nim z bezprawia i rankoru wyrządzonego... W przeciwnym razie sami sobie damy radę...

— Jakżebo? — z ironią zagabnął Batuchowicz.

— Szablą, mój mosanie — odparł irytując się poseł i zarzuciwszy wylotów, rękę na karabeli położył.

Pomiędzy szlachtą huczek się wszczął.

— Ho! ho! Za katy nas pan poseł straszy — ozwie się Cherepczyński.

— Niema co, ino w piersi się tłuc i mea culpa wołać...

— Tatar nielada...

A rotmistrz po krótkim namyśle z powagą odparł:

— Mospanie Klicki... masz wiedzieć o tem, że pomimo szczerej chęci zadosyć uczynić wymaganiom pana skarbnika nie możemy. Prawda jest, żeśmy wbrew jego woli zerwali związek ze strukczaszym, ale i to prawda, że córka pana skarbnika należy od dziś wyłącznie do swego małżonka, Ip. Stanisława

Trzcińskiego, wedle wszelkich praw boskich i ludzkich...

Klicki szeroko gębę otworzył, niezrozumiałym wykrzyknikiem odpowiadając na tę nowinę.

— Do niego się tedy udaj po konkluzyę — dodał rotmistrz — wiedz przecie, że pana podstolica, jako przyjaciela naszego i sąsiada, do upadłego bronić będziemy...

Nastało milczenie, podczas którego Klicki kolejno na obecnych spoglądał, jakoby nierozumiejąc opowieści rotmistrza.

— Co ja słyszę? przez Bóg żywy?! — zawołał.

— Co waszmość słyszysz jest dokumentem, którego świadkami jesteśmy wszyscy a czego zresztą dopytasz się w aktach tutejszego probostwa...

— To bezprawie... o pomstę wołająca krzywda, przeciw której solennissime oponuję!!!

— Bez skutku — zakończył Staszek. — Skoro zaś jesteś waćpan posłem, wracaj do pana skarbnika i powiedz mu od nas obojga: że prosimy się do jego ojcowskiego serca... Jeżeli nam ono rozewrze, przyjmie jako dzieci, potwierdzając związek rodzicielskiem błogosławieństwem — gotowiśmy w tej chwili o przebaczenie go błagać... A mniemam, że pan skarbnik nieszczęścia swej córki nie żąda i chętnie rękę do zgody poda...

— A gdyby nie zechciał?

— Ha... obaczymy, co Bóg da.

— To ostatnie waćpana postanowienie?

— I niezmienne, mospanie Klicki.

— Żegnam tedy waszmościów, a co się stanie... wina będzie wasza!!

Poczem wyszedł Klicki; wnet zaś gwar powstał między szlachtą nie do opisania.

Roztrząsano pytania — co miało znaczyć poselstwo Klickiego? co zamierza Witecki — i zresztą jak sobie nadal radzić miano? Stanowczo nie orzekał nikt... Zawiła była sprawa...

Na to jedynie Staszek liczył, że Witecki da się przebłagać i pobłogosławi... inszego punktu wyjścia nie widział.

Aliści, podczas gdy radzono nad tą kwesyą, tak się zagorączkowali szlachcice, że nie spostrzegli, jak na dziedzińcu zjawiła się gromada ludzi — nie mniej nad trzy dziesiątki głów licząca.

Dopiero gwar, tentent koni i rumor przyjezdnych zwróciły na się uwagę rozprawiających.

Porwano się do szabel — rotmistrz czeladź zwoływał... biegł tarasować drzwi... na nieszczęście zaś wszystko było zapóźno. Przybysze — a była to klika Witeckiego — wpadła znienacka... siłą przemagała... Nadto zastała kompanów Staszka wcale nieprzygotowanymi.

W mig osaczyli wszystkie wyjścia — reszta zaś weszła do komnaty, w której zebrani siedzieli biesiadnicy.

Powstała istna wieża Babel... Co się działo — niepodobna piórem opisać.

Rotmistrz bronić się chciał... inni też... przecież rozbrojono wszystkich niezadługo, przybysze zwyciężyli z kretesem.

— To zdrada! zdrada! — wrzeszczał rotmistrz, na co Klicki, przyskoczywszy do niego, powie.

— To odwet! odwet mości panie i do tego godziwy... Zdradą była wasza zasadzka przy klasztorze i porwanie córki skarbnikowi... Myśmy działali otwarcie, uprzedziwszy was o wszystkiem...

Dictum było słuszne, nie dopuszczające opozycyi żadnej.

— Panowie bracia — zawołał Witecki — skorośmy przy szczęśliwej okazyi zdobyli stanowisko, niejako nieprzyjacielskie, upraszam o posłuszeństwo w sprawie, do której słuszną roszczę pretensyę...

Tu wśród ogólnego milczenia do córki i Staszka się zwrócił.

— Waść jesteś sprawcą całej gorszącej awantury... innych uniewinniam... Waść jeden odpowiesz za to...

— Panie ojcze... on jest mężem moim — przypadłszy mu do nóg, jękła Anulka.

— Ani słowa i precz odemnie wyrodne dziecko... Ślub nieważny... Mężem ci nikt inszy być nie może, jeno przezemnie wybrany... Jego nie broń... bo to człek nieuczciwy...

Towarzysze Staszka opadli ze wszech stron Witeckiego i nuż w prośby a perswazye; stary atoli był nie ugięty. Słuchać nie chciał o zgodzie, i błogosławieństwie; powtarzał jedno wciąż:

— Wszystkich z przewiny kwituję, jeno tego ptaszka (Trzcińskiego wskazywał przytem) w jasyr biorę. Co z nim zrobię — moja rzecz... Waszmość panów upraszam, abyście się do tego nie mięszali...

Zjawił się i ks. Rymsza — próbował zmiękczyć upór skarbnika, wszystko przecież okazało się bezskutecznem.

Rotmistrz swoich na stronę wziąwszy złożył krótką naradę — azali mają się zgodzić na wydanie Staszka Witeckiemu, czy nie.

— Łba mu nie utnie — szeptał Sominkiewicz.— A kto wie, nuż z pierwszego impetu ochłonąwszy, przeprosić się da i pobłogosławi.

— Kat wie szlachcica, co myśli — mruczał Chro-

pczyński. — Czasami ludziom nie wiedzieć skąd bzik do głowy przychodzi i niesłychane przez to wytwarzają rzeczy...

— Ano... cóż waść zamyślasz poczynać z zięciem swoim? — wystąpił rotmistrz w głos do Witeckiego.

Ten szarpnął pasa, tchnął, z całej mocy wrzasnąwszy:

— Ino mi wasze zięciem takim nie przymawiaj. O to suplikuję jak najuniżeniej!!

Spokojniej zaś dodał:

— A co z nim zrobię — moja rzecz. Otrzyma to, na co zasłużył. Niechaj nikogo głowa nie boli...

Przyjaciele podstolica znowu do narad — adwersarze także w kupę się zbili rozprawiając gorąco.

Zdanie ks. Rymszy przemogło wreszcie.

— Idź waćpan, panie podstolicu; nadzieję miej. Witecki się chmurzy, burczy, grozi, ale to minie. Człek niezgorszy w gruncie... Ułagodzić się da... Cóżby ci zrobił? Ślub ważny. Znieść go może jeno konsystorz, a Witecki rozmazywać awantury nie zechce. Ano... przecież swoichbędziesz miał w odwodzie... Jedź waszmość z Bogiem...

Zgodził się Staszek.

Jacymirski skarbnika z towarzyszami do stołu prosił; nie chciał Witecki atoli zaproszenia przyjąć, chociaż Klicki i insi miłosiernie na pełne gąsiory patrzyli.

— Inszym razem. Słusznebym miał prawo do wszystkich waćpanów urazy; powtarzam jednak, że kwituję z niej. Głównego sprawcy mi dość.

Ceremonialnym ukłonem pożegnał zgromadzonych, córkę za rękę wziął i pierwszy wyszedł. Za

nim wszyscy, trzymając w pośrodku Staszka, jakoby srogiego jakiego winowajcę.

Wyprowadził tych nie nader pożądanych gości ks. Rymsza, który na ostatku jeszcze Staszkowi szeptał, otuchy dodając.

Cała ta scena byłaby dla bezstronnego spektatora wielce zabawną. Wszyscy zebrani byli dobrze wzajem znajomi i w serdecznych zostawali stosunkach — naraz stają naprzeciw jako adwersarze.

Nikt przecież o tem nie myślał — bo sprawa była świeża... każdy przepełniony był mocnem wrażeniem, niedozwalającem zdrowej i rozsądnej kombinacyi.

Pozostali w milczeniu patrzyli na siebie, pytając oczyma, co się z tego wszystkiego wywiąże? Miny mieli pokwaszone, powarzone, jak zwykle po nie udanej pracy...

Jeden ks. Rymsza uśmiechał się wesoło dogadując:

— Obaczycie, że się pogodzą dziś — jutro! Obaczycie!...

XXIV.

Witecki z całą kalwakatą do Zagroby wrócił, gdzie córkę zamknął w alkierzyku, podstolica w piwnicy, sam zasię z towarzyszami do biesiady zasiadł. Trwała ona z rzędu dni cztery, a ciągnęła się z niezwykłą ochotą... której dostarczył sukces pomyślny całej tej fatalnej awantury.

Piątego dnia po północy rozjechali się wszyscy do domów.

Utrudzony, niewywczasowany, tyloma przejęty wrażeniami, położywszy się na łożu, zasnął go-

spodarz twardo, zaledwie nazajutrz około południa się zbudził.

W gościnnej komnacie czekał na niego już gość.

Był nim strukczaszy Kobiałkowski.

Te kilka dni wpłynęły na niefortunnego adepta ślubnego kobierca wcale niekorzystnie. Wyglądał — gdyby z krzyża zdjęty — nawet cokolwiek schudł.

— Przecieżem się doczekał — bąknął, gospodarza zoczywszy. — Myślałem, żeś się umyślnie przedemną ukrył.

— Poczciwy strukczaszy! — witał gospodarz uściskiem — Gaudeamus! Victoria po naszej stronie. Ptaszka mamy w klatce... He! he!

Strukczaszy się skrzywił.

— Nie cieszysz się? Strukczaszeńku, co tobie? Powiadaj...

— Co mi jest — począł, zapalając się gość. — Nawet nie wiem, jak możesz waść o to pytać... — Prędzejbym się śmierci, aniżeli despektu takiego spodziewał... A! a! Toż to casus paskudeus, strach jaki! Fatalność... A za wszystko pokutuje kto? Ja, ja... nikt inny.

Zasapał się.

— Aliści wszystko się skończy dobrze. Łotr siedzi u mnie w piwnicy... Anusia rekolekcya w alkierzyku odbywa...

— Co mi z tego? Siedzi łotr, siedzi i Anusia... a ślub wzięli... wzięli...

— Ślub nieważny! — żywo podchwycił Witecki.

— At! co waść prawisz... — niechętnie odparł Kobiałkowski. — Nie ważny! Trza po konsystorzach się włóczyć... zwalać... tędy, owędy.

Machnął ręką.

Witecki spojrzał na niego uważniej.

— Niema co mówić — gadał strukczaszy. — Uwinęli się gracko. Nie darmo Klicki mnie ostrzegał... było go słuchać... Młokos jest... ano... wykierował ci mnie na franta, na dudka wystrychnął...

— Waszmość mu tego płazem wszak nie puścisz? — seryo zagabnął Witecki.

Strukczaszyc ramionami ruszył.

— Płazem... płazem... Pal go kat! Płazem... Zadrzeć z nim? Znowu mi kurtę skroi. Gracz nielada... Niech tam kto chce z nim zaczyna, ja ręce umywam...

— Cooo? — zawołał przeciągle Witecki.

— Ręce umywam — powtórzy strukczaszy. — Nie chcę z nim do czynienia mieć. Kwituję waszmość pana ze wszystkiego, słowo zwracam... i... niech go trzysta dyabłów bierze!...

Pierścień, który na palcu miał (zaręczynowy

— Nie chcę nic. Wolę w domu siedzieć spokojnie, aniżeli z takimi, jak on się drzeć. Kto chce? — wolna wola. Ja za wygranę daję... Gotów mi jeszcze gorszego bigosu nawarzyć...

— Co się z waszmością stało? — powoli spytał Witecki.

— Ano, co się miało stać? Rozum mi do łba przyszedł i kwita. Poczciwy ks. Rymsza, klepkę mi wprawił, której się pozbawiłem, do maryażu zmierzając... Waszmość się nie dziw. Człek może zgłupieć, ale może i do rozumu przyjść. Stary jestem... za ciężki do młodej żonki. Pannę Annę, a raczej panią podstolinę, szacuje wielce, aliści Bóg z nią. Z młodym będzie jej lepiej. Ja kwituję z honoru i rad jestem, że się tak stało...

Mówił to strukczaszy nie z własnego przeświadczenia, jeno z perswazyi poczciwego księdza Kajetana, który umyślnie do niego zjechał i w głowę mu nakładł, iż do głupstwa się brał... i że jedynie honor może uratować przez to, gdy sam pierwszy słowo skarbnikowi zwróci. Strukczaszy człek zdania chwiejnego, łatwo dał się przekonać — przy czem ks. Rymsza argumentował silnie, zebrawszy wszystkie zasoby elokwencyi.

— Za złe mi tego miły panie Janie nie bierz — kończył. — Jesteśmy sami... w cztery oczy. Gdy łaska, o swój pierścień proszę, to i skończy się wszystko. Proboszcz racyę ma świętą, nie dla psa kiełbasa — powiadał — nie dla kota sadło.

Słuchał go Witecki, głową zaczął kiwać... splunął nareszcie, mruknąwszy.

— A to z waszmości kapitalny głupiec!

— Jeno mi waszmość podobnych duserów nie praw! — obruszył się Kobiałkowski. — Gniewać się nie masz o co, bo racya moja... Skończmy i kwita...

— Skończmy, gdy chcesz. A żeś nic innego jeno tchórz, to sobie zapamiętaj. Córki ci nie narzucam teraz, po tem, coś rzekł... za żadne w świecie pieniądze bym ci jej nie dał... A byłoby się uładziło wszystko przewybornie...

— Jużci — szepnął z ironią strukczaszy.

— Uładziłoby się. Młokos dziewczynę odurzył, zresztą gwałtem ją porwał... Punkt do rozwodu najjaśniejszy... Ona chętnie na to przystanie.. a i on... on też.

— Ba! ba! Przystanie, albo i nie przystanie.

— Wątpisz? A no, mogę cię przekonać — zasapał się Witecki. — Chcesz? Zaraz... W tej chwili...

Zostawiwszy gościa samego — wyszedł.

Wkrótce wszedł prowadząc Anusię i Staszka.

Spostrzegłszy Kobiałkowskiego, ten ostatni się uśmiechnął mimowoli, co widząc Witecki, surowo do niego:

— Nie na śmiechy wezwałem waćpana...

Zwrócił się potem do córki.

— Mościa panno... widzę, że żałujesz postępku, którego się dopuściłaś, a któregoś zresztą nie była ani winą, ani chęcią. Masz tu oto przebaczenie rodzicielskie, gdy dopełnisz warunku, jaki ci przedstawię... Z góry wiem, że się zgodzisz. Cała rzecz w tem, byś głośno i wyraźnie teraz powiedziała: jako posłuszną córką moją i ślub za nieważny uważasz, oraz jako chętnie proces rozwodowy zaaprobujesz.

Staszek się poruszył... Witecki z niecierpliwością odpowiedzi czekał, patrząc na dzieweczkę, która przez chwilę walczyła sama z sobą... Twarzyczka jej podtenczas to bladła, to rumieńcem tryskała... a podobną była do cudownego zjawiska, które "zorzą północną" uczeni zwą.

— Śmiało! śmiało! — podniecał Witecki, widząc jej pomięszanie.

— Panie ojcze... ślub był ważny... — szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem.

Witecki się za głowę chwycił.

— Co? co? — zawołał.

— Ślub za ważny uważam, a obecnego pana Trzcińskiego za mego małżonka.

— Co ja w zupełności konferuję i czego nie odstąpię nigdy! — dorzucił stanowczo i dobitnie Staszek.

— Milcz waćpan, gdy do ciebie nie piję!! — wrzasnął Witecki.

— Panie ojcze — nie zważając na pasyę teścia odparł Staszek — klamka zapadła. Życie oddam... Anulki wyrzec się nie wyrzeknę... Miłujemy się oboje... Nie tamujcie nam szczęścia...

Posunął się do skarbnika, który się cofnął.

— Waćpan łotr jesteś! — odpowiedział trzęsąc się wszystek.

— Łotr chyba oto ten dziad stary, który w leciech podeszłych zmysły postradał — zawołał Staszek zbliżając się groźnie do Kobiałkowskiego.

Ten jak oparzony skoczył.

— Ja do waćpana nie mam nic! Bóg świadkiem — bełkotał. — Aprobuję wszystko, byleś się mnie nie czepiał...

— Waćpan się słowa zrzekniesz?! — ozwał się Witecki.

— Nigdy — odparł Staszek.

— Zrzekniesz i to zaraz! W tej chwili!

— Prędzej umrę, na co przysięgam...

— Zrzekniesz się, albo cię do temu zmuszę — ryknął wściekle skarbnik z poczerwieniałemi oczyma od pasyi.

— Nie zmusi mnie do tego nikt...

Witecki jak szalony wrzasnął na ludzi.

Zbiegło się kilku wnet — gwałt się zrobił w całym domu.

— Na miłość Boską, co waszmość chcesz wyprawiać? — szepnął strukczaszy.

— Rozciągnąć mi tego łotra... Batogi! Batogi! Rozciągnąć wnet! Co żywo... Słyszycie... — nawoływał Witecki.

— Panie skarbniku... zważ co czynisz — przestrzegając rzucił Staszek.

Witecki nie słyszał — krzyczał na ludzi, drżącą ręką wskazując podstolica.

Czterech rosłych parobków podsunęło się do tego, chcąc spełnić znać rozkaz pański... Kobiałkowski ręce załamał... Anulka do kolan ojca się przyczepiła.

— Batogi! Batogi! — chrzypiał stary rozszalały. — Słyszysz... Wnet!!!

Ze Staszkiem przecież sprawa nie była łatwa — cofnął się, odsadził... Zauważywszy wiszącą na ścianie szablę w węgorzówce, zerwał ją, dobył i śmignąwszy młyńca płazował jął parobków...

Płazował nie żartem, bo wszyscy odskoczyli jak jeden, i pomimo nawoływań Witeckiego, żaden przysunąć się do młodzieńca nie śmiał.

— Pierwszy kto podejdzie... trupem padnie! Jakiem żyw! — wołał napadnięty.

Bóg wie, czem by się scena skończyła, gdyby się był w komnacie nie zjawił gość nowy.

— Na rany Chrystusa.... a co się tu dzieje?— zawołał przybyły. — Panie Janie! Panie Janie!

Ale Witecki nie zważając na nic, wrzeszczał jak opętany, wymyślając parobkom, podstolicowi...

Rakuzki — gdyż on to był — zrozumiał o co rzecz idzie,)uwiadomiony został o wszystkiem, gdyż wieść o niefortunnej przygodzie strukczaszego szybko po okolicy się rozniosła, do tego Anulka podbiegła do niego i w kilku słowach rzecz objaśniła), dwrócił się do parobków i jednego po drugim za drzwi powyprawiał.

To opamiętało nieco Witeckiego.

— Waćpanu do tego co? — krzyknął.

— Panie Janie... toceśmy koligaci bliscy — perswadował Rakuzki. — Mopanku opatrz się, opamiętaj, zastanów...

— Co mi waćpan w domu moim będziesz rządził — przerwie Witecki.

— Nie rządzę, ino uwagę zwracam... Bo i co poczynasz? Co? Zamiast wdzięczności, tak się odpłacasz temu zacnemu młodzieńcowi... Ej... mopanku... wstyd! wstyd!

— Kpisz wasze — mruknął skarbnik.

— Owóż kiedy rzeczy tak stoją, powiem wszystko! — oburzony podniósł głos Rakuzki. — Nie dopuszczę, mopanku, krzywdy zacnego serca! Jak mi Bóg miły, nie dopuszczę... Dobrodzieja swego... chlebodawcę... najzacniejszego z ludzi, taka ma zapłata spotykać?...

— Co waszmość prawisz za ambaje?!

— Ambaje mopanku? — prowadził Rakuzki coraz więcej się zapalając, przyczem nie zważał na znaki, które mu podstolic dawał. — Jużci nikt by temu nie uwierzył. — Toć że on ci, panie Janie, Zagrobę dał... Własność swoją, którą umyślnie dla ciebie kupił...

Rozpowiedział zatem całą rzecz jak się miała, w głos i dobitnie...

Słuchając Witecki, pokorniał... głowę spuszczał... Trudno opisać, co się z nim działo.

Zrazu uwierzyć nie mógł, aż go pan Mikołaj solennissimo zapewnił.

— I tak mu się odwdzięczasz? Mopanku, na psa urok — ale... nieuczciwie... — kończył.

Witecki stał jak wmurowany, spoglądając od czasu do czasu na Staszka, który jakby się wstydził swego czynu, oczy spuścił w ziemię. Po chwili milczenia... zachwiał się... tchu raptem zaczerpnął, zapłakał wołając:

— Przebacz że mi... mój synu!...

Ręce do podstolica wyciągnął.

Staszek i Anulka oboje do nóg mu się rzucili.

— Ojcze najmiłościwszy... Rodzicu... — szeptali prawie razem.

— Przebacz mi mój synu.. i... niech was Bóg błogosławi!! — łkał starzec.

Witeckiemu na łzy aż się zbierało. Strukczaszy ustami ruszał, chusty dobywając z rękawa...

EPILOG.

Jak zakończono ten dzień w Zagrobie — opisywać chyba nie trza. Czyż zresztą da się wysłowić doba szczęścia? Można ją tylko odczuć...

Nazajutrz zjawił się do Staszka posłaniec z Obór. Był nim Skuba, zaufany pana Bartosza, który oznajmił: "że panicza jegomość dwa dni już szukają, a doczekać się nie mogą". Na zapytanie Staszka — po co stryj go wzywa? Skuba odpowiedzieć nie umiał. Powtarzał jedno i to samo.

— Musiało się ważnego coś stać — pomyślał Staszek, — niezwłocznie więc na konia siadł i do Obór pojechał

Zastał pana Bartosza siedzącego w fotelu, lecz zmienionego do niepoznania. Zgięty był w pół, twarz mu zapadła głęboko... oczy pod czoło się wsunęły. Oddychał szybko, co chwila wilżąc usta językiem spieczonym i do wióra podobnym.

Spostrzegłszy Staszka, poruszył się.

— A! jesteś przecie... Nareszcie!

Wskazał mu ławę.

— Stryj chory? — zapytał troskliwie Stach.

— Tybyś może chciał, żebym zdechł? — Hę, - -

powoli, z trudnością cedził Bartosz. — Miły siostrzan... Ot! byleby spadek zagarnąć...

— Ależ stryju...

— Słuchaj... nie przerywaj! Widzisz — lada chwila położę się do trumny. Tak jest... czuję... wiem... nie perswaduj, bo nic nie pomożesz. Kolej rzeczy taka. Tu masz papier... testament.

Podał przytem Staszkowi zwitek papierowy.

— Hę? co powiadasz? — zapytał nagle.

— Stryjowi się zdawało — odparł Staszek.

— Może... może... Ot, daj mi rękę. Testament masz. Wszystko tobie oddaje. Nie zmarnuj... pamiętaj. To ciężka praca... krwawa.

Wsparty na ręku Staszka doszedł kąta, obejrzał się — kazał łóżko odsunąć. Pod łóżkiem okazały się drzwiczki, sztabami żelaznemi opatrzone.

— Otwórz — kazał Bartosz.

Spełnij rozkaz Staszek.

Po otworzeniu drzwiczek — dojrzał szufladę obszerną, pełniutką po brzegi najrozmaitszej monety, przeważnie złotej.

Skąpiec schylił się, przysiadł i z miłością przypatrywał się swoim długoletnim zbiorom.

— Testament masz — jął naszeptywać. To wszystko twoje... wszystko... Pamiętaj nie strać, bo to praca... ciężka praca.

Nachylił się jeszcze więcej nad szufladą i z chciwością, z zachwytem prawie pożerał wzrokiem nagromadzone pieniądze.

— Zbierałem sam... sam wszystko... Daję ci teraz... masz... bierz... to twoje... to two...

Nagle się zatrząsł, zakaszlał.

— Nie! nie! nie dam. To moje! to moje! Nie dam... Nie dam!! — krzyknął i wraz z tem upadł twarzą na gromadę złota.

— Stryju!! — zawołał Staszek, chwytając go za ramiona

Aliści, gdy go podniósł — pan Bartosz już nie żył...

Z przerażeniem patrzył chwilę Staszek na twarz konwulsyjnie wykrzywioną, oczy rozwarte szeroko, szklanne — i szczerniałe wargi, które zdawały się wołać:

— To moje! To moje!

Wzdrygnął się i przeżegnał.

— Wieczny odpoczynek... — jął szeptać nabożnie, a skończywszy molitwę, trupa na łoże dźwignął, szufladę zamknął i ludzi zwołał, aby im oznajmić o śmierci pana.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pogrzeb stryjowi wyprawił podstolic wspaniały. Zjechali na ten obrzęd i pan Tomasz i stary Sabinka. Ze spadku zaś — albowiem testament go czynił jedynym spadkobiercą pana Bartosza — nie chciał w zupełności korzystać. Gotówkę, której znalazło się sporo OO. Reformatom oddał, sam pozostawiając sobie ziemię.

W miesiąc po pogrzebie, w kościółku parafialnym w Przybogowie, ksiądz Rymsza uroczyście błogosławił Staszka i Anulkę, ,wobec licznego zgromadzenia okolicznych sąsiadów. Obrzęd niezwykle poważnie się odbył... Jedna go tylko okoliczność zaniepokoiła, na którą jednakże nikt nie zwrócił uwagi. Za filarem bowiem, naprzeciw ołtarza, przy którym ksiądz Rymsza powtarzał błogosławieństwo młodym małżonkom, stała czarno ubrana niewiasta, która pod koniec, gdy kapłan krzyż nad głowami ukorzonej pary kreślił, zadrżała, osunęła się na ziemię, z cichym jękiem...

Nikt tego nie spostrzegł, nikt jęku jej nie słyszał... chyba — Bóg jeden tylko...

Była to niegdyś pani Iłowiecka podkomorzyna, zaś wtedy już: siostra Teresa reguły panien Benedyktynek.

Bieżuń. W październiku 1882 r.

KONIEC.

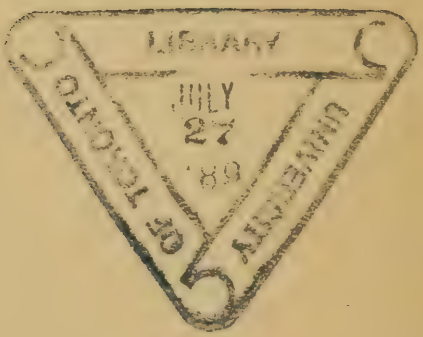
LIBRARY
JULY
27
'89
UNIVERSITY OF TORONTO

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

PG
7158
S7754R6
1918
c.1
ROBA